

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 7 (298) • ROK XXVI • LIPIEC 2020



ZAPISANE  
W PODRÓŻY



fot. Tomasz Bieniek



Entuzjaści sportów wodnych i żeglowania nie muszą wcale udawać się nad morze w celu realizowania swoich pasji. W województwie śląskim sieć rzek i zbiorników wodnych pozwala przeżyć żeglarską przygodę niemal tuż za progiem domu. Na zdjęciu rezerwat ptactwa wodnego w biegu Kanału Gliwickiego.

Szczegóły str. 8

fot. Eleonora Jozsko



Współczesne zaprzęgi konne mają dwa oblicza. Powożenie tradycyjne to próba odtworzenia barwnej przeszłości, a powożenie sportowe to pełna emocji konkurencja jeździectwa wyczynowego. Obecne niemal po sąsiedzku na Górnym Śląsku oferują bliskość natury i prawdziwą podróż w czasie...

Szczegóły str. 55

fot. Zbigniew Lubowski



29-kilometrowa Biała, prawobrzeżny dopływ górnej Wisły, to rzeka niebanalna. Niegdyś była polsko-czeską granicą państwową, a przez wieki odgradzała historyczne ziemie Śląska i Małopolski. Dziś jest ważną częścią składową sieci rzecznej Śląska Cieszyńskiego.

Szczegóły str. 48

fot. Muzeum Miejskie „Sztynarka” Dąbrowa Górnicza



Średniowieczne piece do wytopu srebra, rozmaite akcesoria hutnicze, narzędzia i naczynia z tej epoki – ale przede wszystkim tysiące srebrnych monet to plon prac archeologicznych z ostatnich lat, prowadzonych m.in. w okolicach Dąbrowy Górniczej.

Szczegóły str. 52

Nr 7(298). Rok XXVI. LIPIEC 2020

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
RYSZARD JASNORZEWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
JULIA MONTEWSKA  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
DARIUSZ PIETRUCHA  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
JOANNA WAROŃSKA  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGZ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na [www.sbc.org.pl](http://www.sbc.org.pl)  
oraz na [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)  
Nakład: 1700 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA  
4 *Stefan Zabierowski* JOSEPH CONRAD I ROK 1920  
8 *Edward Wieczorek* Z ŻAGLEM I WIOSŁEM  
12 *Marian Uherek* ŚLĄSKIE RZĘKI PAMIĘCI  
16 *Henryk Szczepański* ZETOWIEC Z ZAŁĘSKIEJ HAŁDY  
20 *Stefan Gierlotka* GÓRNICZE OBSERWATORIUM MAGNETYCZNE  
28 *Ks. Henryk Pyka* JERZY WARCHAŁOWSKI I INNI  
30 *Anita Skwara* WOKOŁ „DOLINY BOGÓW” – ZAPISKI Z IZOLACJI  
35 *Lech Krzyżanowski* AUTONOMIA WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO – IMPULS POSTĘPU CZY HAMULEC ROZWOJU?  
42 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* ZAGŁADA KRESOWEGO ŚWIATA  
46 *Marian Kisiel* TADEUSZ JACEK MAKLES 14 SIERPNI 1943 – 26 CZERWCA 2020  
48 *Zbigniew Lubowski* BIAŁA – RZĘKA NIEBANALNA  
52 *Agnieszka Ziełińska* SREBRNE ZAGŁĘBIE  
55 *Eleonora Jozsko* BRYCZKĄ PO ŚLĄSKU  
58 *Piotr Skowronek* AKT, KTÓRY WSZYSTKO ZMIENIŁ  
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PROUST, BOY I „WYDANIE DLA DZIECI”  
68 *Anna i Krzysztof Wieczorkowie* TERESA TRZECIAK (1941-2019)  
74 *Antoni Wilgusiewicz* Z MOJEGO KSIĘGOZBIORU  
76 *Marek Skwara* TRYPTYK JASNOGÓRSKI III – REALIZACJA PRZESTRZENI KONTEMPLACYJNEJ

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK – MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Michał Bzinkowski* LATARNIK  
14 *Michał Bzinkowski* WIERSZE  
24 *Ilja Surguczow* PIĘĆ MINUT Przełożył *Marian Kisiel*  
26 *Ilja Surguczow* ZIEŁONE ŚWIĄTKI Przełożył *Marian Kisiel*  
44 *Anna Nowak* O DOŚWIADCZENIU SKÓRY

## FELIETONY

- 11 *Karol Makles* CZY NA GÓRNYM ŚLĄSKU POTRZEBNE JEST CENTRUM KRESOWE?  
38 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* KATOWSKI – BOGUCKI – MIECHOWSKI  
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* KAJZE MI SIE PODZIOŁ MÓJ SYNOCEK MIŁY?  
40 BŁYSKI I ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* ANDRZEJ ZIEMIŃSKI, „DOBRY NIE-MIEC. OPOWIADANIA PRAWDZIWE”  
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* KOMPOZYTORKA SPEŁNIONYCH NADZIEI  
80 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* OPERA ŚLĄSKA ONLINE

## KSIĄŻKI

- 63 *Marian Kisiel* SMUTEK NOWOCZESNOŚCI  
65 *Anna Herman* KRAINA NAJCIEŻSZEGO POWIETRZA  
66 *Edyta Korepta* „DOPOKĄD IDĘ?”  
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

## NOTATNIK KULTURALNY

78 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

W zawieszaniu, fot. Marek Skwara

Tył okładki:

Splyw kajakowy rzeką Rudą, [www.slaskie.travel](http://www.slaskie.travel), fot. T. Renk  
Jezioro Żywieckie, [www.slaskie.travel](http://www.slaskie.travel), fot. T. Renk

## Od Redaktora

**Styska se mi po tebe Czechu: Tęsknię za Tobą Czechu** – taki baner, pomysłu Magdy Szatkowskiej, swego czasu powiesili Polacy w Cieszynie na brzegach Olzy. Później, idąc tym śladem, naśladowcy pomysłu także tęsknili: uczniowie tęsknili za szkołą, hotelarze za turystami, księża za wiernymi, radiowcy za słuchaczami, pracodawcy za pracownikami itd. Skutkiem pandemii była wielka zaraza tęsknoty. Ten okres mamy już za sobą – miejmy nadzieję, że na zawsze. Możemy odwieść się i spotykać bez większych przeszkód.

Ale emocje bynajmniej nie opadły. Okres przedwyborczy, szczególnie przed drugą turą wyborów prezydenckich, był wyjątkowo obfity w kreowane i pomyślnie rysowane perspektywy oraz składane obietnice. W województwie śląskim ustalona przez Państwową Komisję Wyborczą frekwencja w drugiej turze wyborów prezydenckich 12 lipca 2020 r. osiągnęła rekordowy poziom 66,91% uprawnionych do głosowania; przy czym w gminie Ślemień wyniosła ona aż 85,89%, a w Krzanowicach najmniej, czyli „tylko” 48,62 % udziału uprawnionych do głosowania.

Warto odnotować, że w naszym województwie uprawnionych do głosowania było 3 417 778 osób.

Oddano 2 286 894 głosów ważnych. Na prezydenta elekta Andrzeja Dudę w całej Polsce oddano 51,03% głosów: czyli 10 440 648; w województwie śląskim 1 110 233 czyli 48,99 % uczestniczących w głosowaniu. Ten ponad milion głosów mieszkańców naszego województwa to 10,63% ogółu głosów uzyskanych w wyborach przez Pana Andrzeja Dudę.

Znamy werdykt wyborców, emocje z nimi związane opadają, przez najbliższe trzy lata być może nie będziemy musieli dokonywać politycznych wyborów.

1 lipca 1945 roku kończąca swe funkcjonowanie **Rada Jedności Narodowej** ogłosiła *Manifest do Narodu Polskiego i Narodów Zjednoczonych*, w którym zawarła **Program demokracji polskiej** i zdefiniowała w kilku punktach pojęcie oraz doktrynę demokracji. Po 75 latach od owych burzliwych lipcowych dni oraz po pełnych emocji współczesnych wyborach dokonanych przez nas samych, warto pewnie poświęcić chwilę na refleksję nad marzeniami ówczesnych wojennych pokoleń, wyrażających się w takich – zapewne głęboko przemyślanych – słowach Deklaracji, cyt.:

*Według narodu polskiego:*

**Demokracja to pozostawienie najszerszym warstwom narodu swobody wyboru ustroju społeczno-politycznego oraz światopoglądów, z którego on wypływa.**

**Demokracja to wolność, określona trafnie w Karcie Atlantyckiej jako wolność od strachu i od głodu, wolność osobista, wolność słowa i przekonañ.**

**Demokracja to równe prawa dla wszystkich grup politycznych, czy to zachowawczych, czy radykalno-postępowych, o ile nie nadużywają one swobody zrzeszania się dla szerzenia anarchii, czy też narzucania innym swych poglądów siłą.**

**Demokracja to rządy większości, wyłonionych w drodze swobodnych wyborów, odbywających się przez**

**powszechnie 5-przymiotnikowe głosowanie.**

**Demokracja to rząd prawa, czyli praworządność, obowiązująca zarówno rządzących jak rządzonych, a zabezpieczająca tak wolność obywatelską, jak autorytet władzy.**

**Demokracja to sprawiedliwość oparta na zbiorowym poczuciu słuszności, przyznającym każdej jednostce, warstwie pracującej i narodowi prawo do warunków życia zapewniających im nie tylko materialną egzystencję, ale i wszechstronny rozwój ich możliwości twórczych.**

**Demokracja to system zbiorowego bezpieczeństwa, w którym wszystkie państwa wyrzekają się użycia siły i zobowiązują się podporządkować decyzjom międzynarodowych organów, wyływających z obiektywnych norm prawa międzynarodowego.**

**Demokracja to uznanie i zabezpieczenie równych praw mniejszych i większych narodów, aby ukrócić raz na zawsze dążenie mocarstw do hegemonii nad innymi narodami i do podziału świata na strefy wpływów.**

Czas wakacji sprzyja spokojnej refleksji i namysłowi nad naszą współczesnością.

W tym numerze miesięcznika „Śląsk” sporo miejsca poświęcamy prezentacji dogodnych do rozważań i rozmów urokliwych miejsc w naszym województwie, czasem owianych legendą zdarzeń historycznych lub związanych z tradycją współczesnych akcji artystycznych, turystycznych, albo po prostu towarzyskich.

Tadeusz Sierny

## Latarnik

na wyspie Fårö  
światło drąży  
wapienne skały  
odkrywając skamieliny  
prastarych roślin  
i szczątki koralowców  
zgasłych w czasie

morze tylko wygładza  
miękki kamień  
kruszejący pod dotykiem wiatru  
i skrobaniem mewiego pazura

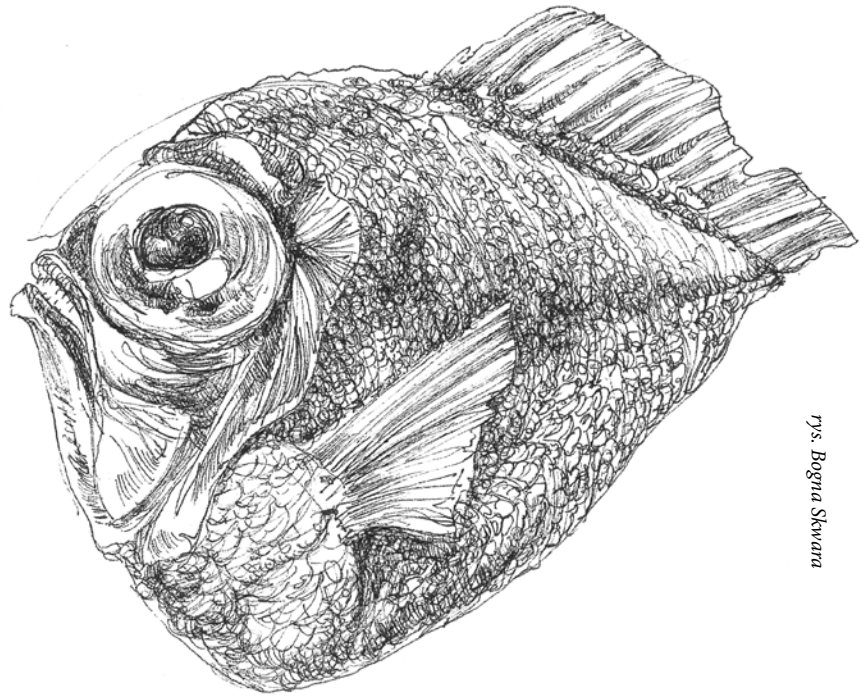
mała latarnia morska  
zamknięta na cztery spusty  
drży o zachodzie słońca

siwiejący latarnik  
wpatruje  
na przeciwnym brzegu  
kamiennego serca  
z ukrytą pod skorupą  
czerwoną różą  
oszronioną

dostrzega jedynie  
raukary smutku  
wyrzeźbione chłodnym morzem  
bezlitosnym

latarnia skuliła się spłoszona  
nagłym powiewem  
takiego chłodu

niepojętej jesieni



rys. Bogna Skwara

8/9 lipca 2016, na promie Visby-Nynäshamn

**Michał Bzinkowski** – ur. 1975, eseista, tłumacz, wykładowca w Instytucie Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oprócz twórczości Jorgosa Seferisa (Nobel 1963), przekładał m.in. poezję Konstandinosa Kawafisa, Kiriakosa Charalambidisa, Janisa Ritsosa oraz eseje podróżne Nikosa Kazantzakisa. Nominowany do Nagrody dla Tłumacza Europejskiego Poety Wolności za przekład *Czasowników* Pandelisa Boukalasa (2013). Opublikował przekłady powieści: *Pandemonium* Kostasa Akrivos (2016) oraz uhonorowanej Nagrodą Literacką Unii Europejskiej (2014) *Bóg mi świadkiem* Makisa Tsitasa (2018). Ostatnio ogłosił przekłady dzienników i poezji Jorgosa Seferisa: *Dni 1941–1956* (2019) oraz *Król Asine i inne wiersze* (2020). Swoje szkice i wiersze publikował m.in. w *Odrze*, *Przeglądzie Politycznym*, *Czasie Literatury* i *Poezji Dzisiaj*.

# Joseph Conrad i rok 1920

STEFAN ZABIEROWSKI

**B**adacze, którzy zajmowali się stosunkiem Conrada–Korzeniowskiego do jego pierwszej ojczyzny – Polski, przychylali się do opinii, że relacja ta nie była jednoznaczna i podlegała zmianom na przestrzeni czasu. W dzieciństwie Konradek był wychowany w atmosferze żarliwego patriotyzmu, jaka panowała przed wybuchem Powstania 1863 roku. Jego matka, Ewa z Bobrowskich Korzeniowska, pisała z Terechowej do – znajdującego się i spisującego wówczas w Warszawie – męża Apolla Korzeniowskiego, 20 czerwca/ 2 lipca 1861 roku:

*Zmęczona jestem: cały dzień żalobną sukienkę dla Konradka szyłam. Tak tu czarno, d z i e c i n a w e t, że malec wciąż sam o żalobę prosi. Powinnością było mu dogodzić. Ojciec Conrada Apollo był jednym z organizatorów Komitetu Ruchu, który stanowiąc załóżkę późniejszego tajnego Rządu Narodowego. W warszawskim mieszkaniu Korzeniowskich, przy ul. Nowy Świat 45, odbywały się narady konspiratorów. Stefan Żeromski nazwał Apolla jednym z palaczów ducha polskiego, jednym z „zapaleńców”, jednym z „podżegaczy” wybuchu powstania w roku 1863. Jeszcze przed wybuchem powstania oboje Korzeniowscy zostali skazani – w dniu 27 kwietnia/ 6 maja 1862 – przez sąd carski – na zesłanie do „m. Perm, pod surowy nadzór policji”. Później miejsce zesłania zmieniono na Wołogdę, położoną już za kręgiem polarnym. Warunki zesłania, ze względu na panujący tam klimat, były niezmiernie ciężkie. Właśnie z Wołogdy młodzietki Konradek przesłał swojej babce, Teofili Bobrowskiej swoją fotografię, podpisaną niezdarną rączką dziecięcą, zapewne prowadzoną ręką matki, z dedykacją:*

*Kochanej Babuni, która mi pomogła biednemu tatkowi ciastka do więzienia posyłać, wnuczek, Polak – katolik i szlachcic KONRAD*

Później, dzięki zabiegom rodziny, udało się miejsce zesłania zmienić z zimnej Wołogdy na Czernihów, na Ukrainie. Tu jednak odezwała się gruźlica, która była dziedziczną chorobą Korzeniowskich. W roku 1865 w tymże Czernihowie zmarła matka Conrada, a w cztery lata później, już uwolniony ze zesłania, ojciec Apollo. Jego manifestacyjny pogrzeb w Krakowie jako bohatera narodowego na długie lata zapamiętał syn i później opisał to wydarzenie w reportażu z pobytu w Polsce, zamieszczonym w tomie *O życiu i literaturze*.

Kolejnym ważnym etapem kształtującym biografię Konrada Korzeniowskiego było opuszczenie przez niego – w wieku

lat 17 – ziem polskich, by służyć w marynarce handlowej, najpierw francuskiej, a potem angielskiej. Powodów wyjazdu nad morze było kilka. Przede wszystkim zły stan zdrowia, o czym mówiło wiele, znających Konrada osób. Ale nie ostatnim powodem były nastroje panujące w Galicji, które nie odpowiadały młodemu, ciekawemu świata i przygód, człowiekowi. Tak ówczesną atmosferę podwawelskiego grodu – i stosunek do niej Conrada – relacjonował młodszy znajomy przyszłego pisarza – Józef Hieronim Retinger:

*W przeciwieństwie do przeszłości Kraków jemu współczesny nie dostarczał żadnego duchowego pożywienia młodej, żądnej przygód wyobraźni. W istocie odczuwano zupełny brak wiary w przyszłość. Wiele wskazuje na to, że burzliwe życie marynarskie – szczególnie w pierwszym okresie – raczej osłabiło związki Conrada z krajem rodzinnym. Główny – przez wiele lat – łącznik Conrada z krajem – jego wuj i opiekun, Tadeusz Bobrowski, pisał strofując siostrzeńca, 7 września 1876:*

*Teraz znowu zgubiłeś fotografie rodzinne i książki polskie i każesz mi jedno i drugie kompletować! na co? byś je znowu pogubił przy pierwszej zrzętności!!*

Jeszcze bardziej dramatyczny charakter miał list wuja Tadeusza, który odwiedził Conrada w Marsylii, ratując chłopaka po nieudanej próbie samobójstwa – rezultacie przegranej pożyczonej wielkiej sumy w kasynie gry w Monte Carlo. Czytamy w liście Bobrowskiego adresowanym do Stefana Buszczyńskiego z dnia 12/ 24 marca 1879, taką charakterystykę siostrzeńca:

*Zdolny jest i wymowny – po polsku nic nie zapomniął, chociaż od wyjazdu z Krakowa pierwszy raz ze mną mówił po polsku. Swoją rzecz, zdaje się, zna dobrze i bardzo ją lubi. Proponowałem mu wrócić do kraju – odmówił stanowczo: proponowałem wrócić do Galicji, tam się naturalizować i szukać kariery – i tego odmówił, twierdząc, że swój stan kocha, zmieniać nie chce i nie zmieni. [...] W wyobrażeniach swoich i dyskusjach gorący i oryginalny. My, Polacy, a szczególnie młodzi, mamy przyrodzoną sympatię dla Francuzów i Rzeplitej – tymczasem on ich nie lubi i jest imperialistą. De gustibus non est disputandum – aleć parę razy wytrzymać nie mogłem i zburczałem go.*

Warto zwrócić uwagę, że Tadeusz Bobrowski używa w tym kontekście terminu *imperialista* w znaczeniu *kosmopolita*.

**2**

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że po śmierci rodziców i w czasie służby w marynarce, to Tadeusz Bobrowski był osobą, która starała się kształtować poglądy Konrada Korzeniowskiego na sprawy polskie. W przeciwieństwie do rodziców – ofiarnych patriotów – wuj Bobrowski był zdecydowanym przeciwnikiem walki zbrojnej o niepodległość, w tym także Powstania Styczniowego.

Wydaje się, że woleł służyć na morzu w międzynarodowym środowisku marynarzy, geograficzna odległość od ojczyzny, a także pesymistyczne poglądy wuja Bobrowskiego na losy kraju ojczystego, zdawały się osłabiać zainteresowanie Conrada sprawami polskimi. To właśnie wuj Tadeusz usilnie nalegał na siostrzeńca, by jak najszybciej uzyskał obywatelstwo angielskie i robił karierę w zawodzie marynarskim. Pisał do Konrada pod datą 24 marca/ 5 kwietnia 1886 roku:

*[...] pomyśl na serijo Panie Bracie o examenie na kapitana i o naturalizacji, jako o ostatecznych punktach Twojej kariery – przy których staję. Patent kapitański i naturalizacja, a później rób Pan sobie co, i jak, Ci się podobać rzewnie będzie.*

Tu istotne wyjaśnienie. To chwili uzyskania obywatelstwa Wielkiej Brytanii Conrad–Korzeniowski był formalnie poddanym rosyjskim i jako taki zobowiązany był do wieloletniej służby w armii carskiej. Tego on i wuj Bobrowski starali się za wszelką cenę uniknąć. Dopiero uzyskawszy obywatelstwo angielskie mógł Conrad bezpiecznie przyjechać w strony rodzinne i odwiedzić wuja Bobrowskiego w Kazimierówce, na Podolu. Dla niektórych świadków tych odwiedzin były one dowodem, że Conrad oderwał się od tradycji rodzinnych.

Zapewne pod wpływem własnych doświadczeń, a także i dyskusji toczonych z wujem Tadeuszem w czasie spotkań w zagranicznych kurortach (Marienbad, Cieplice), gdzie mogli rozmawiać całkiem swobodnie, Conrad–Korzeniowski skłaniał się do wniosku, że Polska, a dokładniej Rzeczpospolita Obojga Narodów, (bo innej Polski, niż przedrozbiorowa Conrad nie znał), definitywnie przestała istnieć.

Ale mimo tak pesymistycznej wizji dziejów Polski, Conrad, od czasu kiedy został pisarzem i stał się szerzej znany, w kontaktach z nielicznymi rodakami uważał za stosowne podkreślać swoje związki z polską tradycją. Wyznania tego rodzaju były też swego rodzaju polemiką z oskarżeniami Elizy Orzeszkowej.

I tak na przykład 14 lutego 1901 Konrad Korzeniowski zapewniał dra Józefa Korzeniowskiego, kustosza Biblioteki Jagiellońskiej:

*A niech mi Łaskawy Pan pozwoli tu powiedzieć (bo może być, że to i owo o mnie usłyszysz), że ani narodowości, ani nazwiska naszego wspólnego nie zaparłem się bynajmniej dla powodzenia. Jest jasno wiadomym, że Polakiem jestem i Józef Konrad są dwa chrzestne imiona, z których drugie używam jako nazwiska, by mi mojego cudzoziemskie usta nie wykrzywiały – czego znieść nie mogę.*

Najważniejsza jednak w tej materii jest wypowiedź pisarza, zawarta w autobiograficznym tomie *Ze wspomnień*. Wyznawał on:

*Oceniając ludzkie postęпки, należy uwzględnić to, co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wyjaśnienie nie bywa ostateczne. Nigdy nie powinno się rzucać na wiatr oskarżenia o niewierność. Pozory tego kruchego życia są zwodne jak wszystko, co podlega sądowi naszych niedoskonałych zmysłów. Wewnętrzny głos może pozostać lojalny w swych tajnych podszeptach. Wierność dla pewnej tradycji może przetrwać wśród wydarzeń życia zupełnie oderwanego, a jednak nie sprzeniewierzyć się drodze wykreślonej przez niewytłumaczalną popęd.*

### 3

Tym niemniej kluczowe znaczenie dla głębszego zainteresowania Conrada sprawami polskimi miały odwiedziny przez pisarza ziem polskich latem 1914 roku. Inicjatorem tej wyprawy był młody i ambitny polityk polski Józef Hieronim Retinger, który prowadził w Londynie Biuro Polskie, finansowane przez hr. Władysława Zamoyskiego. Retinger miał zamiar poruszyć sprawy Polski, która wówczas nie istniała na mapie Europy, na forum międzynarodowym. Wiele wskazuje na to, że w tym celu zamierzał posłużyć się osobą Conrada, który od niedawna – bo od edycji powieści *Gra losu* (1913) stał się postacią znaną w szerszych warstwach czytelników.

Formalnie rodzinę Conradów zaprosiła do Polski teściowa Retingera, Emilia Zubrzyca, właścicielka majątku Goszcza pod Krakowem, ale już w zaborze rosyjskim. Tak Conrad pisał o owej wyprawie do Polski:

*Cieszyłem się na myśl, że pokażę moim bliskim, jak wygląda życie na polskiej wsi, że miasto w którym chodziłem do szkoły, odwiedzimy, zanim moi synowie za bardzo dorosną i, zdobywając każdy własną przeszłość, stracą nieklamane zainteresowanie moją przeszłością.*

Cóż możemy w tym miejscu dodać, że trudno było znaleźć gorszy moment na realizację tego rodzaju planów niż początek lata 1914 roku. Przypomnijmy: Conrad wraz z żoną Jessie, synami Borysem (16 lat) i Johnem (8 lat), w to-

warzystwie i pod opieką Otologii i Józefa Hieronima Retingerów, wyruszył z Anglii do Polski w dniu 25 lipca 1914 roku. Najpierw odbyli podróż drogą morską z Harwich do Hamburga, stamtąd zaś koleją przez Berlin i Wiedeń do Krakowa, do którego przybyli 28 lipca tego roku wieczorem i zatrzymali się w reprezentacyjnym „Grand Hotelu” przy ulicy Sławkowskiej.

Tymczasem do tej wyprawy wdarła się Wielka Historia. Przywołajmy najważniejsze daty: 28 czerwca 1914 w Sarajewie zamordowany został austriacki następca tronu Franciszek Ferdynand Habsburg, 28 lipca, a więc w dniu przyjazdu Conradów do Krakowa, Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii.

Tak więc niespodziewanie Conradowie znaleźli się w oku tajfunu. Z zacięskawionych turystów stali się obywatelami wrogiego państwa. W tej sytuacji pisarz postanowił – zapewne za radą Retingera – skrócić pobyt w Krakowie i przeczekać trudny czas w Zakopanem, gdzie miał dalszą rodzinę.

Conradowie przybyli do Zakopanego w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku i najpierw zatrzymali się w pensjonacie „Stamary”, a po kilku dniach przenieśli się do pensjonatu „Konstantynówka”, którego właścicielkami były kuzynki Conrada – Aniela Zagórska – matka i jej córka, również Aniela, która z czasem stała się wybitną tłumaczką Conrada na język polski.

Dwumiesięczny pobyt w Zakopanem miał kluczowe znaczenie dla kształtowania poglądów Conrada na bieg spraw polskich.

Wiele wskazuje na to, że w dyskusje i spory polityczne angażował się również Conrad. Podczas pobytu pod Tatrami Conrad-Korzeniowski miał okazję spotkania się z licznymi przedstawicielami kultury polskiej. Byli to pisarze: przede wszystkim Stefan Żeromski, a także Jerzy Żuławski i Tadeusz Nalepiński. Wymienić też należy malarzy – Jana Rembowski i Kazimierza Górskiego. Ten ostatni był z zawodu lekarzem, a przy okazji malarzem-amatorem. Namalowany przez Górskiego w Zakopanem portret pisarza uważany jest za jeden z najlepszych wizerunków Conrada i bywa wielokrotnie reprodukowany w różnego rodzaju wydawnictwach zagranicą i w Polsce. Również – w czasie pobytu w „Konstantynówce” – Conrad poprzez obszerne lektury uzupełniał swoje braki w zakresie znajomości literatury polskiej okresu pozytywizmu i Młodej Polski.

W miesiącach spędzonych w Zakopanem wielkie wrażenie na Conradzie robił widok legionistów Józefa Piłsudskiego.

Tego rodzaju obserwacje oraz toczony z rodakami dyskusje sprawiły, że Conrad zaczął od nowa przeżywać dylematy polskie. Wydaje się, że spośród goszczą-

cych w Zakopanem rodaków największy wpływ na formowanie się koncepcji politycznych Conrada miał, mieszkający również z żoną i młodszą córeczką, w pensjonacie „Konstantynówka”, krakowski adwokat dr Teodor Kosch. Była to postać wybitna. Mecenas ten prowadził sprawy majątkowe Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego i kardynała Puzyny. Był doradcą prawnym różnych spółek i postacią mającą szerokie kontakty w sferach artystycznych młodopolskiego Krakowa.

To właśnie dzięki znajomościom Koscha udało się Conradom załatwić pozwolenie komendanta twierdzy Kraków, gen Karola Kuka, na przejazd z Zakopanego do Wiednia. W stolicy Austrii zaś, dzięki pomocy ambasadora Stanów Zjednoczonych, Frederica C. Penfielda, Conradowie mogli opuścić Austro-Węgry i dojechać do Włoch.

### 4

Nim jednak w październiku 1914 roku Conrad z rodziną opuścił Zakopane, postanowił – po powrocie na Wyspy Brytyjskie – zaangażować się czynnie w politykę polską. Jak wspominał Teodor Kosch:

*Wśród przygotowań do wyjazdu rozmawiał Conrad ze mną często o tym, że chciałby stać się pożytecznym w jakiś sposób dla sprawy polskiej. Mówił, że ma w Anglii wprowadzić niewielkie tylko koło przyjaciół, bo prowadzi życie zamknięte, ale ma przez tych przyjaciół kontakt z najwpływowszymi czynnikami i mógłby niejedno dobre zrobić przez samo zwrócenie uwagi na jakiś szczegół, którego tam może nie znają. Niestety to, co słyszy dookoła, wydaje mu się beznadziejne i po prostu nie wie, co by mógł z tego, co słyszy, wycisnąć na pożytek sprawy polskiej. Prosił tedy: „Dajcie mi materiał!”*

W rezultacie tych rozmów Conrad skreślił na piśmie plan swojej działalności w Anglii na rzecz sprawy polskiej i dokument ten zatytułowany *Memoriał w sprawie polskiej* pozostawił w ręku Teodora Koscha.

W memoriale tym Conrad przedstawił osobliwą konstrukcję polityczną. Proponował bowiem, by Galicja, powiększona o ziemie polskie zaboru rosyjskiego, weszła jako trzecie ogniwo w skład Monarchii Austro-Węgierskiej. Miał nadzieję, że po zakończeniu działań wojennych, na projektowanym kongresie pokojowym, Anglia poprze te aspiracje polskie, bowiem wspierając element polski w Cesarstwie Austro-Węgier, Wielka Brytania osłabi w ten sposób pozycję Cesarstwa Niemieckiego. Conrad pisał w owym memoriale:

*Będzie więc w interesie Anglii (nawet na niekorzystnych dla siebie warunkach) popierać politykę polską Austrii, rozwiniecie ducha polskiego wrogiego dla Niemców w tej monarchii, która w istocie rzeczy nigdy ani politycznie ani ekonomicz-*

nie niebezpieczną dla Anglii być nie może, a w której instytucje parlamentarne, tak sympatyczne narodowi angielskiemu, są ze wszystkich europejskich państw najlepiej rozwinięte.

Warto zwrócić uwagę, że koncepcja ta – wbrew pozorom – nie była indywidualną propozycją Conrada-Korzeniowskiego, ale pisarz przejął tu pewne elementy tzw. koncepcji trialistycznej, która propagowana była w Galicji przez – lojalnych wobec Austrii – konserwatystów i demokratów. Powiązany z konserwatystami był Teodor Kosch i on wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wpłynął na kształt poglądów politycznych Conrada, a także ułatwił pisarzowi kontakty z politykami austriackimi pochodzenia polskiego we Wiedniu.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że dwumiesięczny pobyt Conrada na ziemi polskiej, przede wszystkim w Krakowie i Zakopanem, kontakty z wieloma wybitnymi postaciami, w tym także dostrzeżenie działalności Józefa Piłsudskiego, sprawiły, że autor *Ze wspomnień* zdecydował się aktywnie zaangażować w sprawy polskie. Już w czasie krótkiego pobytu we Wiedniu Conrad kontaktował się – zapewne z rekomendacji Koscha – z wysokim urzędnikiem austriackim Marianem Bilińskim, którego brat Leon był austro-węgierskim ministrem skarbu. Zapewne niezręcznie było spotykać się bezpośrednio obywatelowi wrogiego państwa, jakim był Conrad, z urzędującym ministrem. Dlatego Marian Biliński był pośrednikiem w tych kontaktach.

Conrad był też w ambasadzie amerykańskiej i dzięki pomocy ambasadora Penfielda uzyskał możliwość przejazdu wraz z rodziną do – neutralnych wówczas – Włoch. Tu, w Genui, Conradowie wsiedli na statek holenderski i szczęśliwie przybyli do Anglii. Planowane kontakty z Koschem przez Genuę, gdzie Conrad miał pośrednika, okazały się niemożliwe. Co gorsza, rychło Conrad musiał dojść do wniosku, że na gruncie angielskim propozycje, zawarte w zakopiańskim memoriale, były całkowicie zdezaktualizowane.

## 5

Tym niemniej Conrad nie zrezygnował w Wielkiej Brytanii z działalności na rzecz sprawy polskiej. Działalność tę ułatwił fakt, że na horyzoncie znowu pojawił się Retinger. Wedle informacji biografy Retingera Bogdana Podgórskiego:

*Retinger przygotował wspólnie z Josephem Conradem memorandum w sprawie odbudowy polskiego państwa, która według niego winna nastąpić pod protektoratem mocarstw alianckich: Rosji, Anglii i Francji. Memorandum zatytułowane Note on the joint Protectorate of the Western Powers zostało przez niego i Conrada przedłożone rządowi brytyj-*

*skiemu 16 sierpnia 1916 roku. Retinger zaprosił Conrada do współpracy w celu wzmocnienia rangi tego dokumentu, ale autorem koncepcji protektoratu przedstawionej w memorandum był niewątpliwie sam Retinger [...].*

Nieco inaczej rzecz ujmując w swojej biografii Conrada Zdzisław Najder. Badacz ten uważa, że autorstwo memoriału należy przypisać Conradowi. Najder też jest zdania, że Retingerowi:

*Udało [...] się namówić do pomocy Conrada, który napisał i złożył w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych memoriał dotyczący odbudowy państwa polskiego jako dziedzicznej monarchii pod podwójnym protektoratem Anglii i Francji.*

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że poprzez udział w przygotowaniu owego memorandum Conrad diametralnie zmienił orientację polityczną, nadal jednak usilnie bronił spraw polskich. Bowiem pisarz przestał liczyć na pomoc Austro-Węgier i zrezygnował ostatecznie z koncepcji trialistycznych, natomiast dostrzegł szansę na odbudowę – niepodległego już – państwa polskiego w oparciu o mocarstwa Ententy – przede wszystkim Anglię i Francję.

Ale najważniejszym tekstem Conrada-Korzeniowskiego podejmującym sprawy polskie jest obszerny esej *Zbrodnia rozbiorów*, który wydrukowany został po raz pierwszy w maju 1919 roku w czasopiśmie „Fornightly Review”. Tekst ten wyraźnie wypowiadał się za powstaniem niepodległego państwa polskiego.

Swego rodzaju refleksem pobytu na ziemiach polskich jest zdecydowana obrona polityki Józefa Piłsudskiego. Conrad pisał w tym artykule:

*Z trudności teoretycznych i moralnych, w jakie wpędził polskie programy polityczne układ sojuszków międzynarodowych na początku wojny, wyłoniła się przynajmniej decyzja, aby Legiony Polskie, pokojowa organizacja w Galicji kierowana przez Piłsudskiego (który otrzymał później stopień generała, a obecnie, jak słyszymy, jest Naczelnikiem Rządu w Warszawie), wyruszyły do walki z Rosją. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, przeciwko któremu z uczestników Zbrodni skierowany będzie gniew Polaków. Trudno było wybierać między prymitywnymi i podłymi metodami rosyjskiego barbarzyństwa a wyrafinowaną i pogardliwą brutalnością powierzchownej i zmechanizowanej cywilizacji niemieckiej.*

Historycy literatury, którzy zajmowali się publicystyką polityczną Conrada, jak Julian Krzyżanowski, Józef Ujejski, czy Andrzej Busza, wielokrotnie zwracali uwagę na związki tej publicystyki z polską tradycją romantyczną. Kropkę nad i postawił Czesław Miłosz, który wysunął tezę, że:

*Conrad reprezentuje s t e r e o t y p*

*polskiej uczuciowości politycznej. Dlatego fragmenty jego dzieł mogłyby być wsparte długimi kolumnami cytatów zaczerpniętych z literatury polskiej XIX w. Okazałoby się wtedy, że z chwilą kiedy w grę wchodzi polityka (zdaje sobie sprawę z niedokładności terminu) pisał wariacje na gotowy już i opracowany temat.*

Natomiast główną myślą tego eseju jest – wbrew dążeniom Anglii i Francji – domaganie się odbudowy państwa polskiego w jego historycznych, przedrozbiorowych granicach, jakie miała Rzeczpospolita Obojga Narodów Conrad przypominał, że:

*Nawet po utracie niepodległości przez Polskę ów sojusz i unia zachowały siłę ducha i wierności. Wszystkie narodowe ruchy wyzwolenicze rozpoczynane były w imię całości ludów zamieszkujących w granicach dawnej Rzeczypospolitej i wszystkie prowincje brały w nich udział z całkowity oddaniem.*

Właśnie takie widzenie spraw polskich w perspektywie historycznej sprawiło, że Conrad zachwycał się postacią Józefa Piłsudskiego. Polityk ten bowiem chciał dokonać rzeczy, która wydawała się całkiem niemożliwa – odbudować na nowo państwo polskie po 123 latach nieobecności na mapie świata. Piłsudski pokazał, że można realizować coś, o czym Conrad ledwie ośmielał się marzyć.

Warto w tym miejscu dodać, że Conrada i późniejszego Naczelnika Państwa Polskiego łączyło szczególnie wiele. Obydwaj byli szlachcicami z kresów – Conrad z kresów południowych, Piłsudski z północnych. Obydwaj byli zesłani – Conrad z rodzicami jako dziecko, Piłsudski jako człowiek dojrzały. Obaj nie mieli pełnego wykształcenia formalnego, ale byli genialnymi samoukami, każdy w swojej dziedzinie – Piłsudski w militarnej, Conrad w literaturze. Obaj byli wielkimi miłośnikami polskiej literatury romantycznej, a szczególnie twórczości Juliusza Słowackiego.

Na biografiami każdego z nich poważnie – choć w odmienny sposób – zaważyła klęska Powstania 1863. A dokładniej – stosunek do owej klęski. Dla Conrada, nie bez wpływu wuja Bobrowskiego, był to koniec polskich marzeń o niepodległości, dla Piłsudskiego – zobowiązanie do dalszej walki o tę niepodległość. Piłsudski w znacznej mierze realizował to, o czym Conrad przez długie lata nie śmiał marzyć – odbudowę niepodległego państwa polskiego w jego historycznych granicach sprzed rozbiorów.

Kuzynka Conrada Karola Zagórska, starsza siostra Anieli, która gościła w domu Conradów w historycznym 1920 roku, informowała, że Conrad – oparciu o prasę polską i angielską



– śledził odbudowę państwa polskiego, a szczególnie losy Kresów Wschodnich, z których pochodził.

## 6

Warto w tym miejscu przypomnieć, że odrodzone państwo polskie jak najlepiej odnosiło się do Conrada. Najlepszym na to dowodem było podjęcie – już w roku 1923 – przez wydawnictwo „Ignis” wydania zbiorowego dzieł tego pisarza. Tom I tej edycji, noszący wówczas tytuł *Fantazja Almayera*, przetłumaczony został przez Anielę Zagórską i poprzedzony wstępem Stefana Żeromskiego. Autor *Ludzi bezdomnych* zapewniał, że edycja ta jest także hołdem dla rodziców pisarza – polskich bohaterów narodowych.

Przedmowa Żeromskiego sprawiła Conradowi wielką radość. 25 marca 1923 roku autor *Lorda Jima* pisał do autora *Szyfowych prac*:

*Zaraz po odczytaniu Kochanego Pana wspaniałej przedmowy do Almayer's Folly prosilem Anielę, żeby Panu wyraziła wdzięczność moją za sprawioną mi łaskę. Co do mnie, to wyznaję, że nie mam wyrazów, by opisać Panu moje głębokie wzruszenie przed tym zaszczytnym świadectwem od Ojczyzny, przemawiającej głosem Kochanego Pana – największego Mistrza Jej Literatury.*

Ale były jeszcze i inne dowody zainteresowania dorobkiem Conrada w ówczesnej Polsce. Oto krakowski teatr „Bagatela” wystawił w roku 1923, dokonaną przez pisarza, sceniczną adaptację powieści *Tajny agent*. Inscenizacja ta wzbudziła dość szerokie zainteresowanie krytyki.

Warto przypomnieć, że Conrad utrzymywał też kontakty z innymi przedstawicielami polskiej literatury. Pisarz ten przetłumaczył na język angielski sztukę Bruno Winawera *Księga Hioba*. Jak wynika z zachowanych relacji odwiedzających Conrada rodaków, Conrad dość szeroko interesował się życiem literackim i artystycznym Polski odrodzonej. Utrzymywał też kontakty ze znakomitym anglistą prof. Romanem Dyboskim. Kontaktował się też z innymi autorami – Wacławem Sieroszewskim i Tadeuszem Żukiem-Skarzewskim. Zachwycał się *Pożogą* Zofii Kossak. Interesował się współczesnym malarstwem polskim, które poznawał dzięki otrzymanym albumom z reprodukcjami. Załatwiał różne kwestie z poselstwem polskim w Londynie i jego kolejnymi szefami Eustachym Sapiehą i Konstantym Skirmuntem.

Szczególne znaczenie miała wizyta Conrada w siedzibie poselstwa w dniu 11 czerwca 1924 roku. Wizytę tę opisał ówczesny sekretarz poselstwa polskiego, Edward Raczyński.

Ale dysponujemy jeszcze inną relacją z tego spotkania, pióra, obecnego

tam również, profesora Dyboskiego. Dyboski, w trakcie kameralnej rozmowy przy kawie, podjął próbę zachęcenia Conrada do objęcia proponowanego mu stanowiska prezesa Literary Association of the Friends of Poland. I wówczas pisarz odmówił przywołując takie argumenty:

*Oto uważał takie propagandystyczne zabieganie o uwagę i sympatię wielkich narodów Zachodu za nie licujące z godnością historyczną i kulturalną Polski. To dobre – mówił – dla innych narodów, które niedawno powstały spod gruzów obcej władzy i z kurzu zapomnienia: dla Serbów, co przez setki lat byli niewolnikami Turków, dla Czechów, co byli tak długo pokryci krustą niemieczenia, ale my, co przez sto lat niewoli pozostaliśmy tym samym, czym byliśmy przedtem, przez lat blisko tysiąc, takich starań nie potrzebujemy: kto chce, znajdzie nas na tym samym bastionie Europy, gdzieśmy zawsze bronili jej cywilizacji.*

Wydaje się, że przytoczona przez Dyboskiego wypowiedź Conrada, oddaje samą istotę stosunku tego pisarza do Polski. Wypunktujmy najważniejsze jej składniki. Zdaniem Conrada Polska wchodziła w skład Europy od lat tysiąca. Potrafiła zachować przez ten czas swoją tożsamość i nawet zabory nie były w stanie zmienić tego stanu rzeczy. Polska nie potrzebuje zabiegać o poparcie mocarstw zachodnich, ponieważ od lat broniła cywilizacji zachodniej. W wypowiedzi tej przywołuje Conrad koncepcje Polski jako przedmurza Europy. Pełniła Polska tę rolę w walce z islamską Turcją; klasycznym przykładem tej roli może być zwycięstwo pod Wiedniem. Ale wiele wskazuje na to, że Conrad widział też rolę Polski jako przedmurza, broniącej zachodu przed najazdem bolszewickim w roku 1920, czego symbolem stała się bitwa warszawska.

Wizyta w poselstwie w Londynie była ostatnim kontaktem pisarza ze środowiskiem polskim. Niewiele tygodni później, bo trzeciego sierpnia 1924 roku, poważnie schorowany pisarz zmarł. Jedynym oficjalnym przedstawicielem na jego pogrzebie był – na osobiste polecenie ministra spraw zagranicznych Aleksandra Skrzyńskiego – ówczesny sekretarz poselstwa Edward Raczyński.

## 7

Wydaje się, że jedno jeszcze wydarzenie z biografii Conrada zasługuje na szczególną uwagę. Na myśli mamy zamiar powrotu pisarza pod koniec życia na stałe do Polski. Choć fakt ten był znany, jednak conradycy nie przywiązywali do niego szczególnej uwagi. Chyba niesłusznie.

Odwiedzająca Conrada w czerwcu roku 1924, kuzynka pisarza Irena Rakowska-Łuniewska wspominała, że

w czasie jednej z rozmów Konrad Korzeniowski wyznał:

*– Chciałbym – mówił – wrócić na stałe do kraju, chciałbym aby John ożenił się tylko z Polką, naucz Johna mówić po polsku. Synowie moi są tak niepodobni do mnie, nie interesują się wcale literaturą, ich zainteresowania poszły w innym kierunku, praktycznym.*

Czytamy w pamiętnikach żony Conrada Jessie, że: *najsłynniejszym marzeniem Józefa Conrada było pod koniec życia powrócić do Polski. Jest to jednak najszczęsza prawda. Często rozmawialiśmy o tym projekcie w ciągu ostatnich miesięcy życia mojego męża. Jak tylko John urządziłby się tak, aby zapewnić sobie samodzielną egzystencję, my starzy, po podziale naszego dobytku, którego nie mogliśmy ze sobą zabrać, między obu chłopaków, mieliśmy powrócić do umiłowanego przezeń kraju. Było to marzenie, które jednak nigdy nie miało się ziszczyć.*

Chęć powrotu pisarza do ojczyzny potwierdzał też Louis Megroz. Wiadomośc o tym, że Conrad miał zamiar powrócić do kraju ojczystego, ale przeszkodziła mu w tym śmierć, zrobiła ogromne wrażenie na Stefanie Żeromskim.

Możemy postawić pytanie: co sprawiło, że Conrad, mając już godną uwagi pozycję w literaturze angielskiej i cieszący się szacunkiem władz Wielkiej Brytanii – czego wyrazem była propozycja rządu Anglii nadania pisarzowi tytułu szlacheckiego – postanowił resztę życia spędzić w Polsce?

Należy sobie uświadomić banalny fakt, że Conrad – mimo że prawie cały czas kontaktował się ze środowiskami polskimi – nigdy w życiu, aż do roku 1918 – nie marzył, że Polska może istnieć jako suwerenne państwo. Kiedy wreszcie – jak mówiono wówczas – „Polska wybuchła”, Conrad przyznawał, że doczekał spełnienia swoich marzeń. Odbudowana Rzeczpospolita Polska z częścią odzyskanych Kresów była – zdaniem Conrada – prawdziwą kontynuacją Polski przedrozbiorowej. I do tej wymarzonej, ale realnej Polski, zamierzał Conrad powrócić i tu dokonać żywota. A było to możliwe dzięki zwycięstwu w roku 1920.

Na zakończenie tych wywodów jeszcze jedna refleksja. Widzimy wyraźnie w jak wielkim stopniu polskie widzenie Conrada zostało na lata ukształtowane przez Stefana Żeromskiego. Nie powinno to dziwić, ponieważ obaj pisarze byli prawie rówieśnikami, Żeromski (1864–1925), Conrad (1857–1924), doznali ucisku tego samego rosyjskiego zaborcy i doznaniom tym dawali wyraz w sztuce. Wysoki autorytet, którym się cieszył Żeromski sprawił, że jego sposób widzenia Conrada, był obowiązujący dla wielu Polaków.

Niewiele jest w Polsce terenów o podobnym jak w województwie śląskim zróżnicowaniu geograficzno-przyrodniczym: z jednej strony – obszary silnie zurbanizowane i zmienione przez człowieka, z drugiej – oazy zieleni. Ale nawet wśród tych pierwszych znaleźć można niezwykle bogactwo przyrody i zielonych terenów rekreacyjnych. Choć województwo śląskie w niczym nie przypomina Krainy Tysiąca Jezior, jest to jednak region atrakcyjny także dla miłośników sportów i rekreacji związanej z wodą. Mamy kilka sporych akwenów, dogodnych do żeglowania – ba, całe „pojezierza”, mamy przyjazne dla kajakarzy rzeki.

Jak zatem atrakcyjność województwa wygląda z perspektywy lustra wody? Zaczniemy od akwenów żeglarskich.

### Pod żaglami

Pomimo tego, iż województwo śląskie leży daleko od jezior i jeszcze dalej od morza, żeglarstwo jest w regionie bardzo popularne. Prym wiodą sztuczne zbiorniki: Jezioro Żywieckie i Międzybrodzkie koło Żywca, utworzone w wyniku spiętrzenia wód Soły.

Jezioro Międzybrodzkie, o pow. 380 ha, powstało w 1937 r. po zbudowaniu betonowej zapory w Porąbce, a sztuczne jezioro, pierwotnie – zbiornik przeciwpowodziowy, z czasem stało się popularnym miejscem żeglowania i innych form rekreacji nawodnej. W okolicy powstały liczne ośrodki wypoczynkowe, stacje wodne, wypożyczalnie sprzętu wodnego, a leżące nad akwenem Międzybrodzie Żywieckie i Międzybrodzie Bialskie zostały popularnymi wczasowiskami.

Z kolei spiętrzenie w latach 60. XX w. wody Soły ziemną zaporą wodną w Tresnej, doprowadziło do utworzenia sztucznego Jeziora Żywieckiego o pow. 1000 ha. Zbiornik szybko zyskał popularność wśród wodniaków, a w Zarzeczcu i Tresnej powstało wiele ośrodków wypoczynkowych, wypożyczalni sprzętu pływającego, uruchomiono także rejsy stateczkiem wycieczkowym.

Uzupełnieniem tych dwóch zbiorników jest Zbiornik Czaniecki, wyłączony jednak z rekreacji ze względu na pobór wody do sieci wodociągowej. Wszystkie trzy zbiorniki wodne tworzą tzw. Kaskadę Soły.

W północnej części województwa, w pobliżu Myszkowa, utworzony został w latach 1977–1978 na Warcie zbiornik Poraj o pow. 550 ha, a wokół akwenu powstały ośrodki wypoczynkowe. Najbardziej znane z nich leżą we wsi Poraj i Jastrząb. Istnieją tu dogodne warunki do uprawiania żeglarstwa oraz wędkarstwa, gdyż zalew jest środowiskiem życia wielu gatunków ryb.

Zalew Rybnicki, zwany także Jeziorem Rybnickim, to zbiornik wodny o pow. 550 ha, który powstał w wyniku spiętrzenia wód rzeki Rudy przez zaporę w dzielnicy Rybnika – Stodołach. Jego podstawo-



Dąbrowa Górnicza, jezioro Pogoria IV

# Z żaglem i wiosłem

## Śląskie nie tylko dla wodniaków

EDWARD WIECZOREK

wym celem są potrzeby technologiczne, związane z chłodzeniem turbin elektrowni Rybnik, co sprawia, że Zalew Rybnicki nie zamarza zimą, a średnia temperatura wody od kwietnia do października nie spada poniżej 15 stopni. Zalew, intensywnie zarybiany od początków swego istnienia, jest miejscem ulubionym przez wędkarzy. Zdołał sobie zresztą renome jednego z najobfitszych łowisk w kraju. Rekordowy sum złapany w Zalewie Rybnickim mierzył ponad 2,5 metra i ważył 100 kg!

Zbiornik Rybnicki przyciąga także amatorów sportów wodnych: kajakarzy, żeglarzy czy windsurferów, w oparciu o funkcjonujące nad jeziorem ośrodki „Kotwica” i „Big Blue”.

W akweny obfituje także obszar metropolitalny. Wspomnijmy tu tylko o Jeziorze Pławniowickim w pobliżu Gliwic, Jeziorze Paprociańskim w Tychach, zbiorniku Nakło-Chechło w pobliżu Tarnowskich Gór, niezwykle popularnym Pojezierzu Dąbrowskim w Dąbrowie Górniczej i leżącym w pobliżu Zalewie Przemyskim (pow. 510 ha).

Tak zwane Pojezierze Dąbrowskie powstało poprzez zalanie wyrobisk po eksploatacji piasku podsadzkowego dla kopalń. Tworzą go cztery zbiorniki nazwane Pogorie, o łącznej powierzchni ponad 860 ha. Zbiornik Pogoria I został zalany już w 1943 r., ma ok. 75 ha powierzchni, piaszczyste plaże strzeżone przez WOPR i od lat służy żeglarzom, kajakarzom i mo-

torowodniakom (w tym miejscu warto wspomnieć, że na Pogorii I trenował wielokrotny mistrz świata w sportach motorowodnych, Waldemar Marszałek).

Do rekreacji wodnej przeznaczony jest również zbiornik Pogoria III o pow. ok. 205 ha, z głębokością dochodzącą do 18 m. Ze względu na dużą przejrzystość wody, to doskonałe miejsce do nurkowania. Od lat przyciąga też żeglarzy i windsurferów, a zimą – bojerowców. Nad Pogorią III jest promenada spacerowa i molo, Centrum Sportów Wodnych i piaszczysta plaża ze strzeżonym kąpieliskiem.

Z kolei Pogoria II to niewielki akwen (25 ha), uznany za użytek ekologiczny, na którym obowiązuje zakaz kąpeli i pływania sprzętem wodnym. Możliwe jest natomiast wędkowanie. Brzegi porośnięte szuwarami, z trzcina dochodzącą do 4 m wysokości, trzcinnikiem i kosaćcem złotym są rajem dla perkozów, kaczek, mew śmieszek i czapli. Jest to doskonałe miejsce do obserwacji przyrody.

Najmłodszym akwenem jest Pogoria IV (zbiornik Kuźnica Warężyńska), o pow. ok. 560 ha, który w praktyce ma za zadanie przechwycenie ewentualnej fali powodziowej na Czarnej Przemyszy. Pomimo znacznej głębokości (do 23 m) i wielkości (do 3 km szerokości), nie jest wykorzystywany do rekreacji. Ze względów bezpieczeństwa obowiązuje tu zakaz żeglugi i kąpeli, dozwolone jest natomiast wędkowanie. Za to zbiornik podziwiać można z siodełka roweru, bowiem

wokół niego utworzono trasę rowerową, w części asfaltowaną i wykorzystywaną też przez rolkarzy.

Śród akwenów wykorzystywanych przez żeglarzy, wymienimy jeszcze sztuczny zbiornik Łąka koło Pszczyny, utworzony w 1987 przez spiętrzenie Pszczynki zaporą ziemną, dla ochrony przeciwpowodziowej, retencji wody i rekreacji. Zbiornik przy maksymalnym spiętrzeniu ma 353 ha powierzchni i służy żeglarzom i windsurferom.

### Z wiosłem i pagajem

Rzeki województwa śląskiego otwierają przed entuzjastami kajakarstwa wiele możliwości, bowiem przez Śląskie biegnie wododział Wisły i Odry. Tu rodzi się na zboczach Baraniej Góry w Beskidzie Śląskim, Wisła – królowa polskich rzek. Tu – przez Bramę Morawską – wpływa do Polski, Odra, a z Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej wypływa jej dopływ Warta – trzecia pod względem długości rzeka w naszym kraju. W województwie śląskim rodzi się także Soła, Pilica, Przemsza i liczne drobniejsze cieki w zlewni Wisły i Odry.

Do kajakarstwa nadają się też wspomniane już wcześniej sztuczne zbiorniki wodne, pełniące funkcje rekreacyjne (Jeziro Żywieckie, Jezioro Międzybrodzkie, Jezioro Pławniowickie, Pogoria I i III, zbiornik Poraj, zbiornik Łąka, Jezioro Paprociańskie w Tychach, Zalew Przeczyci, zbiornik Nakło-Chechło), ale również: Zalew Siamoszycki i Zalew Kostkowicki

koło Kroczyca, staw Posmyk w Kokotku koło Lublińca, zalew Sosina w Jaworznie, czy stawy Aquabrax w Szymocicach w pow. raciborskim.

Poznanie Śląska z kajaka może wydawać się nieco zaskakującą propozycją, ale rzeki w tym regionie są łatwe i dostępne dla wszystkich; nie tylko dla wytrawnych kajakarzy. Są przede wszystkim bezpieczne, bo są dosyć płytkie i nie mają bardzo silnego nurtu, nie są też szerokie, więc łatwo dostać się na brzeg. To świetna propozycja dla osób początkujących. Jedynie Biała Przemsza wymaga doświadczenia i kondycji.

Niezwykle atrakcyjny dla kajakarzy jest spływ granicznym odcinkiem Odry – od Chałupek do miejscowości Olza (7 km) – czyli tzw. Granicznymi Meandrami Odry. Jest to obszar krajobrazu chronionego, a rzeka wije się wśród wilgotnych łąk i zalewowych lasów łęgowych. To zdecydowanie najładniejszy odcinek rzeki.

Godne polecenia są również spływy Rudą (prawobrzeżnym dopływem Odry), odbywające się najczęściej na odcinkach: Rybnik Stodoły – Rudy (10 km) i Rudy – Kuźnia Raciborska (13 km). Meandrująca Ruda przepływa przez urokliwe zakątki Parku Krajobrazowego „Cysterskie Kompozycje Krajobrazowe Rud Wielkich”, chroniącego dziedzictwo cystersów, działających w Rudach od XIII do XIX w. Kajakarstwo nieustannie towarzyszą pejzażem harmonijnie ukształtowane rękoma pracowitych zakonników. Manewrowanie naturalnymi zakolami rzeki oraz wymija-

nie zwalonych pni drzew wymaga wprawy, ale daje dużą frajdę.

Coraz popularniejszy wśród kajakarzy staje się też Kanał Gliwicki. Zbudowany pod koniec lat 30. XX w., był niegdyś główną drogą żeglugi śródlądowej w Polsce, łączącą Gliwice z Odrą w Kędzierzynie-Koźlu. Wówczas mowy nie było o kajakowaniu ze względu na pływające tędy barki. Odkąd zamarł ruch barek, pływanie kajakami staje się bezkolizyjne. Kanał ma 40 km długości, z czego w województwie śląskim – 21,5 km. Proponowane spływy to: Marina Gliwice – jezioro Dzierżno Duże (5 km, atrakcją jest tu kolonia kormoranów nad jeziorem Dzierżno Duże, którą możemy podglądać z kajaka); Marina Gliwice – Pławniowice (13 km, tu z kolei – oprócz mijanej kolonii kormoranów, możemy obejrzeć zespół pałacowo parkowy hr. Ballestremów w Pławniowicach).

Dodajmy, że po Kanale Gliwickim odbywają się też rejsy wycieczkowe motorówkami lub statkiem „Foxtrot” (z Mariny Gliwice do Dzierżna lub Pławniowic).

Kojarząca się z malowniczymi krajobrazami, skałkami i ruinami zamków Jura Krakowsko-Częstochowska to także rzeki, przystosowane do rekreacji kajakowej. Przez północną część województwa śląskiego, na pograniczu Jury Krakowsko-Częstochowskiej, Wyżyny Wiełuńskiej i Niecki Włoszczowskiej płyną: Warta, Liswarta, Wiercica, Pilica, Krztynia i Białka. Wszystkie nadają się do kajakarstwa. Niewątpliwie najciekawszym dla kajakarzy jest odcinek Warty: Często-



Mstów, Spływ Warta



Jezioro Pławniowickie

chowa Mirów-Mstów (liczący 18 km) lub Częstochowa Mirów-Skrzydłów (26 km). Mirowski Przełom Warty, ze względu na walory przyrodnicze, został włączony do sieci NATURA 2000.

Miłośnicy regionu cenią sobie również kajakowanie Wiercicą, prawym dopływem Warty. Spływy odbywają się od wsi Sygontka do Przyrowa, jednak na trasie przeszkodą jest zamknięty obręb hodowlany, gdzie należy koniecznie uzyskać zgodę na przepłynięcie. Rzeka o krystalicznej i bardzo zimnej wodzie płynie przez wąskie uregulowane koryta. Ma żwirowe, miejscami piaszczyste dno, a głębokość rzadko przekracza 1 m. Brak bystrzy i mielizn stanowi zachętę dla początkujących kajakarzy.

Kręta Liswarta, prawy dopływ Warty, przemierzająca urokliwe zakątki Wyżyny Woźnicko-Wieluńskiej, jest również rzeką łatwą, choć trafiają się bystrza, niewielkie progi i zwalone drzewa. Popularny, weekendowy spływ rozpoczyna się w Dankowie i kończy w Wąsoszu Górnym. Można go podzielić na 2 odcinki: Danków-Zawady (12 km) i Zawady-Wąsosz Górny (18 km).

Kajakarze korzystają także z uroków Białki, a spływy odbywają się między Lelowem a Bogumiłkiem (4 km) i Lelowem a Wąsoszem (ujście Białki do Pilicy – 12 km). Z Lelowa do Białej Wielkiej urządzone są też spływy pontonami. Kajakarze w województwie śląskim korzystają też z Pilicy na odcinku Szczekociny-Przyłęk (15 km).

Z kajakowego punktu widzenia atrakcyjne są też rzeki Zagłębia: Biała Przemsza i Brynica oraz wspomniane już wcześniej Pojezierze Dąbrowskie, czyli sztuczne zbiorniki Pogoria I i III.

Kajakarze wykorzystują Białą Przemszę, choć jest to rzeka bardzo wymagająca (zatopione drzewa, wiry, przenośki, szybki nurt). W przeciwieństwie do wcześniej opisanych cieków, Biała Przemsza wymaga dobrej kondycji i odwagi, bo należy do rzek trudnych. Spływy odbywają się od Okradzionowa do Sławkowa (4 km – trasa łatwa) i od Sławkowa do Trójkąta Trzech Cesarzy w Sosnowcu (19 km, trasa wymagająca, dla osób doświadczonych).

### Nurkowanie i „plażing”, czyli inne formy rekreacji

Nie bez powodu mówi się, że jeśli w Polsce nurkować, to w jeziorze Hańcza na północy, a na południu – w „Koparkach” w Jaworznie. Niedługo był to kamieniołom dolomitu, ale w połowie lat 90. załagającemu z opłatami przedsiębiorstwu wyłączono prąd. Pompy stanęły i po pół roku kamieniołom zamienił się w malownicze jezioro. Wnet zostało ono odkryte przez pletwonurków. Co takiego przyciąga ich do Jaworzna? Na pewno woda, szmaragdowa, przejrzysta na kilkanaście metrów, a także efektowne urwiska skalne. Ale przede wszystkim niespodzianki rozsiane po dnie zalewu. Właściciele kamieniołomu nie zdążyli rozmontować i wywieźć całego sprzętu,

pozostawiając m.in. dwie olbrzymie koparki, wyglądające w wodzie jak pojazdy z filmów science-fiction! Drugim popularnym miejscem do nurkowania jest zbiornik Pogoria III w Dąbrowie Górniczej, na dnie którego nurkujący odkrywają „ciekawe” rzeczy: rury stalowe i betonowe, słupy, sztuczną „rafę” z pustaków, zamieszkałą przez racicznice (rodzaj małży) i wiele innych niespodzianek.

Jezioro Międzybrodzkie i Pogorie I i III są popularne wśród windsurferów. Wspominałem też, że Pogoria I służy motorowodniakom.

Przed wszystkim jednak każdy skrawek wody służy mieszkańcom województwa śląskiego do kąpieli i „plażingu”. To głównie zbiornik Poraj, Zbiornik Siamoszycki, Kostkowicki, Przeczycki, staw Posmyk w Kokotku, zbiornik Nakło-Chechło, wspomniane już kilkakrotnie Pogorie I i III, Rogoźnik (k. Będzina), Jezioro Pławniowickie i Dzierżno Małe koło Pyskowic, Jezioro Paprociańskie w Tychach, zalew Sosina w Jaworznie, zbiornik Łąka w Pszczynie, Zbiornik Rybnicki i Kaskada Soły. Kąpiele i wspomniany „plażing” to także urokliwe kąpieliska: Kąpielisko Leśne w Zabrze, ośrodek Czechowice w Gliwicach, Leśne Zacisze w Knurowie, kąpielisko Pniowiec w Rybniku, staw Młyńszczok w Zebrzydowicach. Rekreacja wodna to także dziesiątki basenów miejskich, ośrodków sportu i rekreacji i parków wodnych, doprawdy – jest w czym wybierać....

# Czy na Górnym Śląsku potrzebne jest Centrum Kresowe?

KAROL MAKLES



**Instytut Myśli Polskiej  
Wojciecha Korfantego**

Relacje między ziemią uznawanymi dziś za Kresy (w szczególności te Południowo-Wschodnie) a Śląskiem mają długą tradycję sięgającą szlacheckiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów i wieków wcześniejszych. Szczególne miejsce w związkach tych zajmował Lwów, który zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej stał się jednym z najważniejszych ośrodków polskiej kultury i nauki, a całe Kresy z sukcesem rozwijały rolnictwo, gospodarkę i przemysł. W wielu dziedzinach nauki lwowscy uczeni mieli osiągnięcia o światowym zasięgu. Patrząc szeroko na Kresy nie można nie wspomnieć, że to właśnie ten teren – stanowiący część wielonarodowej Rzeczypospolitej – stał się początkiem niezwykle bogatej tradycji, z której wyszli najwięksi przedstawiciele polskiej kultury. Przestrzeń ta stanowiła i stanowi „ojczyznę symboliczną”. Przez wieki środowiska Lwowa i Śląska łączyły więzy. W okresie Powstań Śląskich mieszkańcy Lwowa przesyłali na Górny Śląsk broń, żywność, środki finansowe i wspierali morale powstańców, wyrażając swoją z nimi solidarność i poparcie, a lwowski Korpus Kadetów czynnie uczestniczył w walce powstańczej. Ponadto poparcia dla powstańców udzieliła Rada Miasta Lwowa, podejmując uchwałę popierającą III Powstanie Śląskie oraz ofiarowała uszyty na tę okazję sztandar. Wielu Lwowiaków zasłużyło się dla Śląska, wspomnę choćby postać Romana Lutmana, który organizował pomoc dla Górnego Śląska i wspierał działalność plebiscytową, także jako redaktor „Powstańca” oraz pełniąc funkcję Dyrektora Instytutu Śląskiego i pierwszego Dyrektora Biblioteki Śląskiej. We Lwowie powstał i funkcjonował Komitet Obrony Kresów Zachodnich oraz Towarzystwo Przyjaciół Górnego Śląska, związane później z Krakowem. W okresie Drugiej Rzeczypospolitej Komitet Obrony Kresów Zachodnich intensywnie pomagał młodzieży z Górnego Śląska w kształceniu akademickim w Krakowie, fundując stypendia, ułatwiając zakwaterowanie i rozwój kulturalny śląskim studentom. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Lwowiacy mogli liczyć na pomoc ludności górnośląskiej, która wsparła w 1939 roku obronę Lwowa. Obok jednostek wojskowych przybyłych ze Śląska, w walkach uczestniczyli także powstańcy śląscy i policjanci.

W efekcie dramatycznych wydarzeń wojennych i decyzji jałtańskich w 1945 roku znaczna część Kresowian została zmuszona do opuszczenia swych rodzinnych ziem. Duża grupa, ludności przesiedlonej z utraconych ziem wschodnich, znalazła nowy dom na terenie Górnego Śląska (między innymi Byto-

mia, Gliwic, Katowic i innych miast) oraz na wielkim obszarze Dolnego Śląska. Dokonano więc *de facto* przesiedlenia ogromnej rzeszy Polaków z Kresów Południowo-Wschodnich na Kresy Zachodnie.

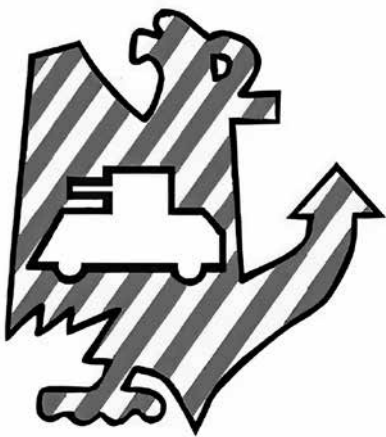
Ocalała z wojennej i powojennej zawieruchy kresowa inteligencja – pośród niej artyści, inżynierowie, lekarze czy uczeni – wniosła zasadniczy wkład w rozwój Górnego Śląska. Kresowianie stali się fundamentem powstania ośrodków akademickich, w tym na przykład instytucji naukowych, jak Politechniki Śląskiej i Śląskiej Akademii Medycznej, kulturalnych jak Opery Śląskiej, Teatru Śląskiego oraz rozbudowy szkolnictwa średniego i zawodowego oraz szeroko rozumianej gospodarki. Ludzie ci przenosząc się na Śląsk, obok doświadczeń, wiedzy, kultury i zwyczajów, przywieźli także wiele materialnych rodzinnych pamiątek, stanowiących unikatowe polskie dziedzictwo. Różnorodny do tego czasu Górny Śląsk stał się więc przestrzenią o jeszcze bardziej zróżnicowanym obliczu, w którym żywioł Kresowy (Kresowian Południowo-Wschodnich) odgrywał i odgrywa niezwykle dużą rolę.

Po okresie 1945–1989, kiedy koncesjonowano pamięć o Kresach, nieskutecznie dążąc do zapomnienia o dziedzictwie tych ziem, środowiska kresowe instytucjonalizując lokalnie swą działalność, podjęły się organizacji budujących podziw regularnych inicjatyw, jak choćby idących w setki spotkań, zjazdów, wykładów, konferencji, wystaw, działań archiwalnych czy bogatej aktywności wydawniczej. W gronie kilkudziesięciu prężnie funkcjonujących także Górnym Śląsku grup, wymienię dla przykładu Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Towarzystwo Miłośników Kultury Kresowej, Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, Fundacja Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich czy Instytut Lwowski. Przy tym, pośród instytucji zajmujących się Kresami, nie brak tych typu GLAM (*galleries, libraries, archives, museums*) prowadzonych zarówno prywatnie i wspierane przez państwo. Mają one różne często lokalny charakter jak np. Muzeum Lwowa we Dworze Biniszewicze czy Muzeum Lwowa i Kresów w Radziejowicach. Nie można też zapomnieć o powołanym w 2017 roku w Lublinie Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, które wciąż pozostaje w fazie organizacji oraz wielu inicjatywach podejmowanymi w celu ochrony zabytków materialnego dziedzictwa. Studia nad Kresami prowadzą także badacze w ramach działań zespołowych czy indywidualnych. Uzu-

pełniając to o bogatą aktywność wydawniczą oraz szereg portali internetowych dedykowanych problematyce ziem wschodnich, mamy do czynienia różnorodnością i wielokierunkowością działań, najczęściej podejmowanych w przestrzeni między południowo-wschodnimi Kresami a Śląskiem.

Czy zatem warto powołać Centrum Kresowe? Przy ogromnej aktywności różnych instytucji kresowych zwrócić należy uwagę, że istnieje potrzeba koordynacji ich działań oraz dokumentacji dorobku organizacji i osób zajmujących się Kresami. Wykonywana fragmentarycznie dokumentacja, jest rozproszona i w gruncie rzeczy niezbadana. Niestety zebrana przez lata spuścizna organizacji i Kresowian, często zawierająca także unikatowe zbiory (artefakty) przybyłe z Kresów, stanowi dziś element zagrożonego dziedzictwa. Wymaga to rozpoczęcia szeroko zakrojonych i interdyscyplinarnych prac, stanowiących palącą potrzebą środowisk kresowych oraz nauki polskiej. Wyrazem tej świadomości jest podpisane przy udziale Stacji Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Katowicach (Komisji Historii Śląska) bezprecedensowe porozumienie kilkunastu organizacji kresowych w celu powołania Centrum Kresowego. Zakłada ono stworzenie przestrzeni poświęconej ukazaniu kultury materialnej i duchowej tego środowiska Kresowego, jako historycznego dziedzictwa Rzeczypospolitej Polskiej, a zarazem znaczącego elementu kultury współczesnej Polski. Zaplanowane badania powinny mieć charakter wielopłaszczyznowy ukierunkowany na pilne zabezpieczenie, inwentaryzację, opracowanie, rejestrację (digitalizację), popularyzowanie oraz integrację i koordynację polskich a także międzynarodowych badań naukowych. Czas nagli, bo starsze pokolenia Kresowian odchodzą i wiele źródeł informacji i różnego rodzaju dokumentacji ulega bezpowrotnej utracie.

By dać kolejny impuls do powołania Centrum Kresowego, Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, wraz z Instytutem Lwowskim przygotowują największą w Polsce wystawę grafik kresowych, która przy wsparciu Muzeum Śląskiego jeszcze w tym roku zostanie otwarta dla publiczności. Zapraszając do współpracy wszystkie środowiska kresowe mamy nadzieję, że w sercu Górnego Śląska powstanie przestrzeń pamięci o ważnej części dziedzictwa Rzeczypospolitej.



Odznaka uczestnika spływu.  
(pół Orła Śląskiego, pół kotwicy, na tle odznaki odznaki: KORFANTY samochód pancerny oddziału szturmowego kpt. Roberta Oszka w III powstaniu Śląskim)

Historia trzeciego powstania śląskiego niewątpliwie znana jest każdemu mieszkańcowi naszego regionu. Staramy się nie zapomnieć o tych niezwykłych dniach i pamiętać zarówno wielkie powstańcze bitwy, jak i działania pojedynczych żołnierzy, bohaterów tych wydarzeń.

W dość oryginalny sposób rocznicę trzeciego powstania śląskiego upamiętniają harcerze **drużyn wodnych Śląskiej Chorągwi ZHP**. Nieprzerwanie od 1963 roku w trzecim tygodniu maja, organizują oni **gwiazdzisty spływ rzekami dorzecza Górnej Odry i Kanalem Gliwickim** do miejscowości Zdzieszowice, gdzie organizowane są uroczystości rocznicowe. Następnego dnia wędrują na **Górze Świętej Anny** i w tym miejscu pod **Pomnikiem Czynu Powstańczego** składają wiązanki kwiatów, będące wyrazem hołdu dla uczestników powstania. Uroczystość znana jest powszechnie jako **Odrzański Spływ Wiosenny** i, oprócz harcerzy, w trakcie różnych uroczystości gromadzi licznych gości. Każda trasa spływowa zgodnie z harcerską metodyką to szlak który ma swoją nazwę i swojego bohatera.



Młodzież na Odrzańskim Spływie Wiosennym – maj 1969. Na pierwszym planie pomysłodawca spływu hm. Paweł Krawczyk

for. L. Szulc

# Śląskie rzeki pamięci

## Szlak kpt. Roberta Oszka, szlak ppłk. Konrada Wawelberga, szlak Stanisława Wolnego „Baranka”

MARIAN UHEREK

Najlicniejsza grupa harcerzy płynie **Szlakiem im. kpt. Roberta Oszka**, który zaczyna się w Porcie Gliwickim i biegnie Kanalem Gliwickim, a następnie Odrą do Zdzieszowic z przerwą na biwak w miejscowości Ujazd. Jest to szlak stosunkowo łatwy pod względem technicznym, dlatego płyną nim przeważnie uczestnicy nie posiadający doświadczenia spływowego. Natomiast pod względem poznawczym szlak pozwala zaznajomić się z wieloma aspektami gospodarki wodnej, takimi jak funkcjonowanie transportu, śluzowanie, promowanie itd. Bardzo ciekawa jest również postać kpt. Oszka, który przeszedł do legendy III Powstania Śląskiego jako dowódca oddziału szturmowego złożonego z samych byłych marynarzy.

Zupełnie odmienny jest **Szlak in. Stanisława Wolnego „Baranka”**, który przebiega początkowo rzeką **Rudą od Rybnika**, a następnie rzeką **Odrą do Zdzieszowic**. Szlak „Baranka” jest przeznaczony dla doświadczonych wodniaków. Potrafią go pokonać jedynie nieliczni i to na specjalistycznym sprzęcie. Tą trasą płyną przeważnie uczestnicy, którzy spłynęli już innymi trasami, a udział w zlocie tym szlakiem jest ukoronowaniem ich wiedzy i umiejętności. Bohater szlaku Stanisław Wolny był harcerzem, przed wojną członkiem Komendy Hufca Rybnik. W czasie okupacji jako uczestnik ruchu oporu o pseudonimie „Baranek” został aresztowany, za swoją patriotyczną postawę zginął w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu.

Całkowicie różna od dwóch pozostałych jest trasa biegnąca Odrą od miejscowości Olza do Zdzieszowic. Ta marszruta nasyciona jest wieloma pamiątkami naszej histo-

rii, ciekawa i różnorodna. **Szlak nazwano imieniem „Konrada Wawelberga”**, żołnierza niezwykłego, choć mało znanego naszej śląskiej społeczności. Konrad Wawelberg to pseudonim Tadeusza Puszczyńskiego późniejszego podpułkownika Wojska Polskiego, specjalisty w działaniach wywiadowczych i dywersyjnych, jak przystało na prawdziwego dywersanta, człowieka tajemniczego i niecodziennego.

W czasie III powstania śląskiego Tadeusz Puszczyński dowodził „Grupą Destrukcyjną Wawelberga” która w składzie 46 ludzi, nocą z 2 na 3 maja wykonała zadanie wysadzenia siedmiu mostów na liniach kolejowych łączących Śląsk z resztą Niemiec. Było to z punktu widzenia dowództwa powsta-





*Biwak na trasie spływu. Lata siedemdziesiąte XX wieku*

nia niezwykle ważne zadanie, uniemożliwiające dotarcie wojsk nieprzyjacielskich w rejon walk powstańczych (akcja „Mosty”) i jak się później okazało miało kluczowe znaczenie w pierwszych dniach zwycięskiego powstania.

Udział harcerzy w spływie tym szlakiem ma charakter nie tylko sportowo-turystyczny, ale przede wszystkim wychowawczy, dlatego jego program wzbogacony jest o liczne spotkania i uroczystości związane z Powstaniem Śląskimi. Harcerze przybywają na **miejsce startu w miejscowości Olza** w środę w godzinach popołudniowych. Drużyny harcerskie biorące udział w spływie posiadają własny sprzęt zarówno pływający jak i biwakowy. Same muszą zadbać o wszystkie szczegóły wyprawy takie jak wyżywienie, ochrona przed deszczem czy bezpieczeństwo. Typowa drużyna spływowa liczy od czterech do dwudziestu osób i dysponuje właściwym dla harcerzy sprzętem pływającym takim jak: kanadyjki, kajaki, czółna czy niewielkie łodzie wiosłowe. Na miejscu obozowania, jak zwykle o zmierzchu, organizowane jest ognisko harcerskie, którego najważniejszym elementem jest gawęda tematycznie związana z trasą spływu oraz z osobą „Wawelberga”. Następne dwa dni (czwartek i piątek) uczestnicy płyną Odrą, prawie dokładnie w miejscu gdzie przed ponad stu laty przebiegała linia frontu wojsk powstańczych i niemieckiej Oberschlesischer Selbstschutz (Samoobrona Górnośląska). Z pokładu swoich łodzi mogą zobaczyć brzeg rzeki będącej rodzajem budowli obronnej powstańców oraz odbudowane i funkcjonujące dzisiaj mosty, które pełniły tak istotną rolę w okresie walk zbrojnych. Jednak to zupełnie inna rzeczywistość dowiedzieć się z podręcznika historii, że most został wysadzony w powietrze, a zobaczyć taki most w rzeczywistości w jego naturalnej scenarii. Pierwszego dnia spływu organizowana jest jeszcze jedna ważna uroczystość. To apel pod pomnikiem **Matki Polki w Raciborzu**. Mimo że powiat raciborski przyznany został po I wojnie światowej stronie niemieckiej, na jego terenie miesz-

kały znaczne skupiska ludności polskiej oraz działały liczne polskie organizacje. Dzisiaj kiedy Racibórz jest polskim miastem, tak ważne jest aby polska młodzież nie zapominała o tych Polkach i Polakach, którzy nie pozwalali się wynarodowić i niezłomie stali na straży polskości tych ziem.

**Pierwszy dzień spływu kończy się biwakiem w miejscowości Turze, gdzie uczestnicy spływu szlakiem „Wawelbrga” spotykają się z harcerzami płynącymi rzeką Rudą szlakiem, Stanisława Wolnego pseudonim „Baranek”.** Od tego momentu obie flotyle płyną już razem poświęcając kolejny dzień już bardziej współczesności niż historii. Podczas spływu młodzież może zo-

baczyć nowoczesne budowle wodne w postaci śluz rzecznych, przystani a nawet portów śródlądowych. Wieczorem uczestnicy spływu szlakiem Wawelberga dopływają do celu, którym jest starorzecze w miejscowości Mechnica, gdzie rozbijają trzeci już w trakcie wyprawy biwak. Spotykają tam pozostałych uczestników zlotu którzy płynęli **Kanałem Gliwickim** lub innymi mniejszymi rzekami takimi jak **Bierawka, Troja czy Drama. Starorzecze Odry** w tym miejscu jest bardzo cenne przyrodniczo. Po zwiedzeniu budowli wzniesionych ręką człowieka harcerze mogą teraz podziwiać piękno przyrody a wieczorem... posłuchać śpiewu słowika licznie gniazdującego w tym miejscu.

Sobota poświęcona jest na uroczystości związane z obchodami rocznicy III Powstania Śląskiego i wieczorne ognisko na które zaproszeni zostają okoliczni mieszkańcy. W ostatnim dniu zlotu wszyscy razem udają się pod Pomnik Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny gdzie składają wiązanki polnych kwiatów, a następnie udają się do **Muzeum Czynu Powstańczego w Leśnicy**. W tym miejscu uczestnicy spływu szlakiem „Wawelberga” mogą, posiłkując się eksponowanymi dokumentami i wiedzą przewodnika, dokładnie zapoznać się z „Działaniem Grupy Wawelberga” i jej rolą w zwycięskim powstaniu. Dopiero teraz konfrontując to, co zobaczyli w terenie z tym, co zaprezentowało dla nich muzeum, mogą powiedzieć, że Tadeusz Puszczyński pseudonim „Konrad Wawelberg” nie jest już dla nich postacią nieznaną. ■



*Goście zaproszeni na uroczystości organizowane przez harcerzy. Lata siedemdziesiąte XX wieku*

**Gondola**

przemierzam wąskie uliczki Wenecji  
labirynt światłocienia  
splątany z wodnymi ścieżkami  
w gąszcz pelen zagadek

nagle wzrok przykuwa  
kamienna tabliczka z nazwą ulicy  
Calle della Morte – Zaułek Śmierci  
u jej wylotu  
dzieci grają w piłkę  
i bawią się w ganianego  
ruszam z ciekawością  
udało się

jednak  
kolejna tabliczka  
podaje w wątpliwość  
przypadkowość czasu i miejsca  
Ponte del diavolo – Diabelski most

szydrczy uśmiech losu  
obok w kanale  
gondolą płyną zakochani  
rozpromienieni niezwykłością  
miejsca

ciekawe jak się nazywa ów kanał  
może  
della guerra – wojenny

może jednak wszystko zależy  
od gondoliera  
i gondoli  
od kierunku żeglugi  
przez mrok ku słońcu  
czy w drugą stronę  
zostawiając proste złudzenia  
na omszałych wilgotnych ścianach  
domów  
których fundamenty  
niechybnie  
zatoną  
w głębinach

zielonego morza czasu

10.06.2016, Wenecja

**Żółwie**

gaje palmowe pierzaste zagajniki  
wschodniego wybrzeża wyspy  
jakby wyjęte z przestrzeni  
innych lądów odległych

znaki minionych podróży handlowych  
między zamkniętymi na głucho  
minojskimi portami skrytymi  
w żywnych zatokach

mury Itanos osunięte w morze  
kamiennie bloki  
labirynt podwodnych uliczek  
dla ślimaków i kałamarnic

gdzieniegdzie upstrzone  
czarnymi kolcami jeźwoców  
znieuruchomiałych na straży  
tajemnic zagrzebanych w dnie

w cysternie  
twierdzy Kato Zakros  
zażywają chłodnej kąpieli  
rodziny żółwi

wieczorami  
wyprawiają się do pobliskiego  
Wąwozu Umarłych  
i w skalnych jamach  
słuchają szeptów tych  
którzy usunęli się w cień  
by zrobić im miejsce  
w fundamentach  
swoich domów

3.09.2017, Sitia

**Toń**

mieszkańcy Agios Nikolaos  
powiadają że złączone z morzem  
jezioro Wulismeni  
w którym niegdyś zażywała  
kąpieli Atena  
nie ma dna

sześćdziesiąt cztery metry  
nieodgadnionej otchłani  
mroczniejącego z każdym metrem  
czasu zasysanego  
w głąb planety

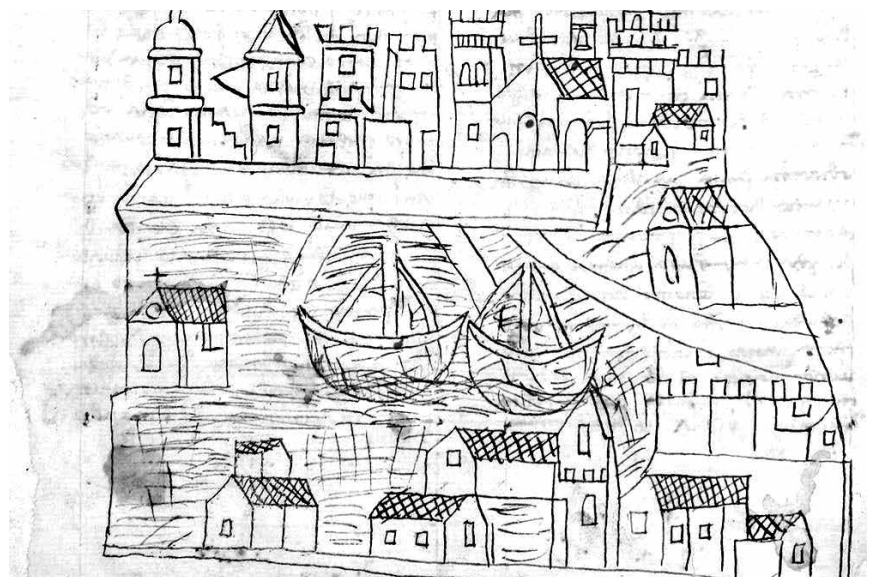
czarnowłosi chłopcy  
nurkują w pomarszczonej toni  
ciemne figury  
z minojskich malowideł  
nurzające się w falach  
igrające z delfinami  
w lustrzanym świetle  
którego migotliwy cień  
odbija się w tafli  
bezkształtnej

wokół jeziora  
tawerny kawiarnie hotele  
Hotel du Lac Blue Lagoon  
na najwyższym wzgórzu  
gęsto porośniętym tamaryskami  
opuszczony Hotel Kronos

wąta nić niknąca w głębinie

28.08.2018, Agios Nikolaos

Najstarszy znany szkic  
Wenecji, twórca nieznanymi,  
ok. 1300 r.







## Cień

do gościnnej Werony  
zjechały pary szukające  
niemego potwierdzenia  
swej bezbrzeżnej miłości

może by się zagubić na chwilę poddać  
rozlewającej się w wąskie uliczki  
plamie słońca spijającej cień umykający  
w zapyłone podwórce pałaców

wsluchać się w szpary narożnych kamieni  
ogromnego rzymskiego amfiteatru  
z zawieszonym nad pustą areną  
urwanym krzykiem bólu i rozkoszy

w Weronie opasanej zielonymi wodami  
Adygi – wielkiej rzeki granicznej  
oddzielającej świat realny  
od zmurszałych namiętności

na Ponte Scaligero  
średniowiecznym moście z czerwonej cegły  
można dostrzec zaklęcia niezniszczalne  
wydrapane w kamieniu *ti amo i mia bella*

w pobliżu w Bazylice San Zeno Maggiore  
na wykutych w brzoje drzwiach Święty Zenon  
wygania demona z opętanej dziewczyny  
diabełek jedną stopą dotyka ust nieszczęsnej

po przeciwnej stronie kościoła  
ten sam mauretański biskup  
z ironicznym uśmiechem  
spogląda na swoje dzieło

tymczasem przy posągu Garibaldiiego fotografują się  
młode pary nieświadome że na każdym zdjęciu  
za słonecznymi uśmiechami kryje się ów cień  
misternie wykuwany przez stulecia

przez werońskich mistrzów

10.06.2018, Padwa

## Igły

palcami drobniejszymi od piniowych igieł  
rozgrzebiują zbitą glebę  
drażąc wciąż głębiej i głębiej  
wąskie korytarze pośród  
zasypanych suchym piaskiem i ziemią  
zapomnianych miast milczących głucho  
kamiennych ścian wiodących  
donikąd pustych bram i schodów  
zawieszonych w niebycie  
wydobytą na powierzchnię  
kolorowe odpryski rozkawałkowanego  
świata bez ludzi  
próbują ułożyć w inną całość  
nadając nowy sens  
milczącym drobinom

wkopują się pod rzeki skał  
stromymi zboczami schodząc  
ku libijskiemu morzu  
przeszukując cał po cału  
ciemne zakamarki niedostępne oczom  
zamknięte przed słońcem  
które wbija dzień po dniu  
ostre igły w zapyłoną ziemię  
gasząc krople wilgoci wypalone  
na złoty kolor żdźbła  
które nie zdążą wyrosnąć

zaglądają do rozbitych dzbanów  
wypełnionych piaskiem lekytów  
wygrzebiują złote nitki  
kruchej biżuterii minojskich kobiet  
kolczyki w kształcie lwów  
kóleciska naszyjników

głaszczą uśpione w kamiennych  
trumnach w kształcie wanien  
czaszki o ciemnych oczach

nieprzerwanie kopia

mrówki –  
niestrudzeni archeolodzy  
rozsnuwając  
przenicowany świat

1.09.2018, Chora Sfakion

# Zetowiec z Załęskiej Hałdy

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**E**manuel Stefan Alojzy Twórz i Jan Jakub Kowalczyk byli rówieśnikami i kolegami.

Emanuel (1872–1955) – dr medycyny, działacz niepodległościowy i społeczny, ppłk rezerwy. Ur. 25 XII w Załęskiej Hałdzie (ob. dzielnica Katowic). W latach 1878–1885 chodził do szkoły powszechnej w Załężu, następnie do Miejskiego Gimnazjum w Katowicach, które ukończył w 1894 r. po czym wstąpił na Królewski Uniwersytet we Wrocławiu.

Przez kilka semestrów wspólnie z Janem Jakubem słuchali wykładów z młodzieżą teologiczną Uniwersytetu Wrocławskiego. Po 1895 roku Emanuel przeniósł się na wydział medyczny, a Janek na wydział prawny. Jako krajanie i przyjaciele nadal współdziałali w **Towarzystwie Akademików Górnoślązaków**. Po latach, Janek w pamiętniku podkreślał, że TAG powstało: *dzięki moralnemu wsparciu wielkich przyjaciół narodu polskiego, profesora filozofii Commera, profesora teologii Laemmera i profesora slawistyki Władysława Nehringa, przy usilnej protekcji opiekuna młodzieży polskiej profesora gimnazjum św. Macieja, – Jarochońskiego, brata znakomitego dziejopisa epoki Sasów – Kazimierza Jarochońskiego. Głównym inicjatorem zorganizowania Towarzystwa był słuchacz teologii śp. Karol Myśliwiec, który wciągnął do Towarzystwa oprócz wspomnianego Jana Gambca, słuchacza teologii późniejszego kanonika, posła i senatora Pawła Brandysa i kilku innych.*

W ostatniej dekadzie XIX wieku Towarzystwo Akademików Górnoślązaków we Wrocławiu, podobnie jak pozostałe polskie organizacje na Śląsku, utrzymywało kontakty z emisariuszami tajnej Ligi Narodowej Polskiej, której przewodził Roman Dmowski.

## Pod auspicjami Ligi

W 1896 roku Jan Jakub Kowalczyk, rodowity Ślązak z Krzyżowic opodał Pszczyzny i maturzysta tamtejszego „Hochbergianum”, od kilku kadencji prezes TAG, pojechał do Lipska, aby uczestniczyć w zjeździe polskiej młodzieży studiującej na wyższych uczelniach niemieckich. Tam poznał liderów paramasońskiego **Związku Młodzieży Polskiej „Zet”** – Ludwika Zielińskiego i Stefana Natansonę z Warszawy.

*W kilka tygodni później odwiedził mnie Zieliński w Wrocławiu i po dłuższej rozmowie wciągnął mnie do Związku Młodzieży („Zet”), mianując mnie od razu nie „kole-*

*gą” ale „bratem”, z poleceniem, bym na uniwersytecie wrocławskim zorganizował tajne Koło Młodzieży. W krótkim czasie do „Zetu”, dzięki moim zabiegom, wstąpiło tak z Towarzystwa Akademików Górnoślązaków jak z „Concordji” coś około dziesięciu studentów. Był to początek pracy Ligi Narodowej na uniwersytecie wrocławskim. Wspomina Jan Jakub Kowalczyk.*

(J. J. Kowalczyk, *Odrodzenie Górnego Śląska, Katowice 1932*).

Gdy spotkali się we własnym narodowym gronie intonowali ulubioną piosenkę: *Śpiew polski niech ciągle wesolo brzmi, On będzie nam wróżbą szczęśliwych dni.*

Narodziny Związku Młodzieży Polskiej, w skrócie ZET zainicjował weteran – pułkownik powstania styczniowego Zygmunt Miłkowski, propagujący hasła obrony czynnej i Skarbu Narodowego. Pierwsze, zakonspirowane koło koleżeńskie powstało w Warszawie, pod koniec listopada 1886 roku a kolejne w Krakowie w styczniu 1887. W Szwajcarii, podczas opłatkowego spotkania 25 grudnia 1887 r., bracia zetowi z Genewy i Zurychu powołali do życia **Zjednoczenie Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą** (ZTMPZ). Skupiało polskie organizacje studenckie, działające na wyższych uczelniach poza granicami państw zaborczych. Początkowo tylko organizacje w Szwajcarii, następnie i inne stowarzyszenia polskiej młodzieży akademickiej także z terenu Niemiec, Austrii i Rosji. Pierwszym i długoletnim prezesem Zjednoczenia był płk Miłkowski, a po nim Zygmunt Balicki. Od początku XX wieku miało charakter powszechnej organizacji polskich studentów przebywających na emigracji. Było trójstopniową i zakonspirowaną organizacją niepodległościową. Z czasem okrzepła jako pepiniaria i młodzieżowa awangarda Ligi Narodowej Polskiej. Statut ZMP głosił:

1. *Związek jest szkołą wychowania obywatelskiego, zarzewiem, narodowego postępu,*
2. *Celem Związku jest odbudowanie Polski Niepodległej,*
3. *Związek stoi na gruncie sprawiedliwości politycznej, społecznej i narodowej.*

(JM – *Zet Encyklopedia Kościoła na Śląsku*)

Emanuel Twórz z Załęskiej Hałdy, absolwent katowickiego gimnazjum klasycznego, do Zetu wstąpił w 1898 roku. Tajne narady i towarzyskie spotkania współorganizował we wrocławskim mieszkaniu Kowalczyka. W marcu następnego



Emanuel Twórz po roku 1945, za: Krzysztof Brożek, *Polscy lekarze na Górnym Śląsku i Śląsku Cieszyńskim od końca XIX do połowy XX wieku*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”. Katowice 2009

roku Bracia Zetowi, Twórz i Kowalczyk, jako pierwsi Górnoślązacy, zostali przyjęci w poczet członków rzeczywistych Ligi Narodowej. Cieszyli się sympatią jej przywódców – Romana Dmowskiego i Zygmunta Balickiego. Uroczyste zaprzysiężenie odbyło się w podwawelskiej ekspozyturze Ligi Narodowej.

## Białe kruki ze Śląska

W grudniu 1898 Emanuel Twórz uczestniczył w gwiazdkowych uroczystościach setnego jubileuszu i odsłonięciu pomnika ku czci Adama Mickiewicza. Nazajutrz, wspólnie z kolegami, obchodził swoje osobiste – 26 urodziny.

*Znalazł się w Warszawie, pod przewodnictwem patriotów warszawskich Osuchowskiego i dr. Benniego kwiat polskiej młodzieży pochodzącej ze Śląska: Wojciech Korfanty, Jan Kowalczyk, Emanuel Twórz, Konstanty Wolny.*

(„*Moje wspomnienia – pierwsze i ostatnie*”, „*Polonia*”, 20 VIII 1939).

Do świętującej stolicy Królestwa zjechały delegacje rodaków ze wszystkich stron kraju i kilku kontynentów.

*My, akademicy ze Śląska, jako białe kruki, byliśmy wszędzie wciągani i pokazywani. [...] Kwstowaliśmy na Pomoc Naukową Śląska i zebraliśmy 2000 marek niemieckich. [...] – zanotował Twórz.*

*Przyjmowano ich wszędzie najserdeczniej jako zwiasunów przyszłej zjednoczonej Polski – dodaje Cyryl Ratajski, wtedy „zetowiec”, niebawem mieszkaniec Raciborza, a po latach legendarny prezydent Poznania.*

Wrocławscy akademicy naelektryzowani radykalizmem społecznym zetowskich przyjaciół do Lipska i Warszawy przybyłych niemal ze wszystkich ośrodków polonijnych świata (Syberii, Uralu, Rosji, Europy i Ameryki), zajęli się redagowaniem własnego programu politycznego, adekwatnego do realiów Śląskich.

*Warto nadmienić, żeśmy się już wtenczas*

*zajmowali polityką polską na Śląsku i z naszego koła wyszła odezwa „Precz z Centrum”, zredagowana przez Korfanteo, a podpisana przeze mnie, ponieważ byłem już eksmatrykulowany. [...] zanotował Emanuel Twórz.*

Drukiem ukazała się w 1901 roku.

Według relacji władz pruskich broszura pochodziła z nielegalnego biura prasowego studentów polskich we Wrocławiu, w którym oprócz Korfanteo działali także J. J. Kowalczyk i studiujący we Wrocławiu (od jesieni 1900 r.) Marian Seyda, wydawca i naczelny „Dziennika Berlińskiego” ukazującego się pod egidą Wydawnictwa przyjaciół ludu polskiego.

Korfanty występował wtedy wspólnie z grupą kolegów z TAG oraz z Towarzystwa Górnośląskiego. Byli wśród nich: J. J. Kowalczyk, E. Twórz, P. Hylla, K. Wolny, B. Kudera oraz księża P. Brandys, W. Robota i A. Skowroński.

W międzyczasie, gdy jeszcze po całej Polsce niosły się echa Mickiewiczowskiej manifestacji patriotycznej, przyszła pora na kolejne równie dostojne jubileuszowe fety, tym razem w stóp Wawelskiego Wzgórza. Twórz – 28 wosien liczący lekarz i debiutujący polityk znów złotymi zgłoskami wpisał się na karty polskiej społeczności akademickiej:

*Przepiękną manifestacją polską był udział akademików śląskich w jubileuszu 500-lecia Akademii Krakowskiej w r. 1900. Cały świat naukowy brał udział w tej uroczystości. Na wieczorku akademickim przemawiał kand. med. Twórz, piętnując bolesną odmowę przyjęcia daru jubileuszowego przez ówczesnego rektora Akademii, Tarnowskiego, jako „że Śląsk nie należał do Rzeczypospolitej”. Oburzenie ogólne było wielkie... – w liście do F. Szymiczka zauważył ks. Jan Koziłek, kolega Emanuela z wrocławskiego TAG, a po latach kapelan Powstańców Śląskich i proboszcz w Knurowie.*

**Finisz uniwersytecki i start zawodowy**  
Jeszcze w 1899 roku polityczną pauzą w życiorysie 27 wosien liczącego Emanuela stała się sześciomiesięczna, obowiązkowa służba wojskowa w lazarecie wrocławskiego 11 Pułku Grenadierów. To był pierwszy etap jego praktyki lekarskiej. Zaczynał jako szeregowiec. Koszary pożegnał ze stopniem podoficera sanitarnego.

Studia medyczne ukończył 1 sierpnia 1900 r. Niecały rok później 15 kwietnia 1901. Uzyskał prawo wykonywania zawodu. Zgodnie z pragmatyką odbył półroczną służbę wojskową jako chorąży 51. Pułku Piechoty we Wrocławiu. We wrześniu pozbył się munduru Reichswehry i opuścił garnizonowy lazaret. Po dwóch tygodniach, 1 października, jako lekarz został skierowany do pracy w Białej opodal Prudnika, a następnie do Polskiej Cerekwi w powiecie Kozielskim. Tam utrzymywał koleżeńskie kontakty z przyjaciółmi z wrocławskiego „Zetu” i Ligi Narodowej. W Raciborzu zadomowili się Rostkowie, a w Dzierżowicach nad Odrą Brandysonowie i Zgrzebniokowie. W 1904 został skierowany na kolejne miesięczne szkolenia wojskowe we Wrocławiu. Dopiero dnia 4 marca 1908 roku na Uniwersytecie w Lipsku otrzymał tytuł doktora medycyny chirurgii i położnictwa. Zbliżyły się jego 36 urodziny.

#### **Koleżeńskie odwiedziny**

Zdobywając coraz wyższe stopnie wtajemniczenia lekarskiego nie zaniedbywał starych szkolnych i akademickich znajomości. Bywał w Katowicach i spotykał się z przyjaciółmi, którzy podejmowali tu pracę i działalność społeczną. Odwiedzał redakcję „Górnoślązaka”, braci Kowalczyków i red. Piechulka. W 1903

wspólnie z Zygmuntem Seydą dołączył do Polskiego Towarzystwa Ludowego założonego przez ks. Aleksandra Skowrońskiego. Miało kierować pracą narodową całego Górnośląska.

Odwiedzał druhow z katowickiego gniazda „Sokoła” i Towarzystwa Polskich Przemysłowców. W 1904 roku był jednym z sygnatariuszy protestu przeciwko antypolskim ustawom dyskryminującym Polaków i uczestniczył w międzyzaborowym wiecu zorganizowanym w Szczakowej. Józef Siemianowski, naczelny „Głosu Śląskiego” i ponad stu liderów górnośląskiej Polonii apelowało do śląskich ziomków:

*Wiec polski w celu zaprotegowania przeciw nowej ustawie o osadnictwie w państwie pruskim urządzają rodacy nasi z Galicyi w niedzielę, dnia 20 czerwca o godz. 21/2 po południu w Szczakowej (w Galicyi) na sali gospody p. Seeligera, naprzeciwko dworca kolejowego. Na wiec ten zapraszają także nas Górnoślązaków, których nowa ta ustawa antypolska dotkliwie ugodzić musi w naszych interesach narodowych i ekonomicznych.*

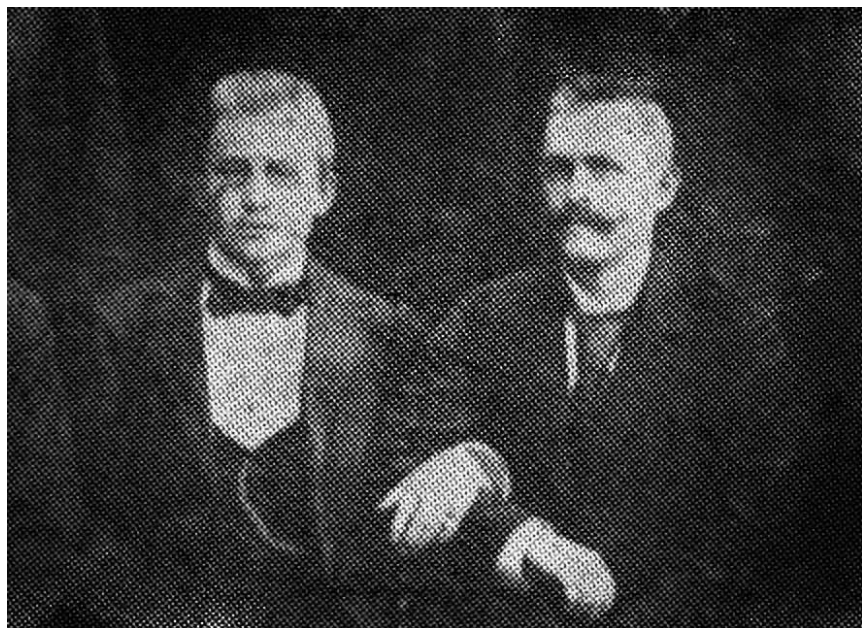
#### **Na Śląsku i w Wielkopolsce**

Trzydziestoletni Emanuel odwiedzał owdowiałą mamę Marię Twórzową, która podobnie jak i jego ciotka Paulina przeprowadziła się do nowego domu przy ulicy Gminnej 2 w centrum Załęża, skąd miały bliżej do kościoła i sklepów. Bywał w dawnym domu przy Załęskiej Hałdzie 27, gdzie jeszcze w latach 30 garażował samochód osobowy wymieniany w spisach mobilizacyjnych Urzędu Wojewódzkiego. W 1929 zgubił „prawo kursowania” pojazdu i kartę podatkową, o czym zaświadcza ogłoszenie prasowe zachowane do naszych czasów.

Serdecznych kolegów miał też wśród Poznańczyków, z którymi żył się podczas studiów wrocławskich. Jednym z nich był stypendysta Kościelskich, późniejszy lekarz w Rybniku, **Feliks Biały** – rodem ze Śmigła. Spotykał się z nimi w Miłosławiu, Kościanie nad kanałami Obry i krainie dzieciństwa Felka, uroczym miasteczku wiatraków i truskawkowych plantacji położonym 52 km od Poznania, 106 od Wrocławia i aż 262 od Katowic i Załęskiej Hałdy.

Tam wśród malowniczych młynów i pagórków z wiatrakami – Emanuel spotkał dożgonną towarzyszkę życia. Na ślubnym kobiercu stanął z panną **Zuzanną Emilią z Januszów**. On miał lat 36 a jego wybranka 19. Zostali rodzicami czterech synów i dwóch córek. Najbardziej znanym ich potomkiem jest urodzony w 1914 roku, Edmund Twórz, absolwent warszawskiej SGGW – Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i popularny piłkarz kadry narodowej; na wielu stadionach świata oraz w Mundialu 1938, grał jako obrońca.

Ich przyjaciel Felek, rodowity Wielkopolanin ożenił się z panną Jadwigą



*Emanuel Twórz i Jan Jakub Kowalczyk około 1896 roku  
za: Szymiczek Franciszek, Stowarzyszenia akademickie polskiej młodzieży górnośląskiej we Wrocławiu 1863–1918 z przedmową Seweryna Wysloucha, Wrocław, Ossolineum 1963*

z Rybnika, spędził tam większą część życia i ostatecznie został Ślązakiem. Natomiast Emanuel, z krwi i kości Górnoślązak, poślubił czarującą Zuzannę ze Śmigła i do końca swych dni był już Wielkopolaninem. „Wszystko za sprawą kobiety” jak mawiają Francuzi.

### **Czas wielkiej wojny i niepodległej Wielkopolski**

Doktor Twórz, zdeklarowany reprezentant drugiego pokolenia pozytywistów, krzewiciel i realizator haseł obrony czynnej i pracy organicznej, od pierwszych dni osiedlenia w Śmiglu, stał się jedną z najbardziej lubianych i coraz bardziej niezastąpionych postaci miejscowego areopagu. Zawsze sprzyjał ludziom aktywnym i stwarzyszeniom podejmującym trudne wyzwania. Cenili go biznesmeni, społecznicy i patrioci, a nade wszystko biedni i chorzy, dla których zawsze miał otwarte serce i szkatułę.

Od służby obywatelskiej i narodowej oderwało go imperatorskie wcielenie do sił zbrojnych wojenniczego cesarstwa Hohenzollernów. W październiku 1914 udał się do dolnośląskiej Legnicy. Przekroczył bramy koszar I. Batalionu Landwehry, gdzie w randze chorążego pełnił obowiązki lekarza. Niebawem wraz z lazaretem wymaszerował na front wschodni. Wspólnie z landwerzystami zmagającymi się z armią rosyjską przeszedł szlak bojowy Sieradz, Szadek, Zduńska Wola. Wśród nich było wielu Polaków ze Śląska, Wielkopolski i Pomorza. W kwietniu następnego roku awansował do stopnia lekarza podporucznika. Brał udział w ofensywach przeciw Rosjanom: nad Narwią, pod Białymstokiem i Grodnem. Wreszcie 21 sierpnia 1916 roku otrzymał przydział jako lekarz sztabowy 209. Kompanii Sanitarnej 199. Dywizji Piechoty, z którą pod

Haliczem Niemcy Wilhelma II walczyli przeciwko carskiej armii – Mikołaja II.

Stamtąd został skierowany na płonący i cuchnący iperytem zachód, aby walczyć przeciw Francuzom.

Awansu do stopnia porucznika doczekał dopiero 5 sierpnia 1917 r., gdy miał już za sobą ponad 12 miesięcy wojennego piekła na froncie zachodnim. Był pod Verdun, następnie nad Sommą, na linii Zygryda, we Flandrii, w Normandii i Roeselare w Belgii. Z tamtych dantejskich opresji wybawiły go supliki i petycje śmigielskich samorządowców oraz przyjaciele, którzy w kancelariach sztabu generalnego wyprosili, aby ich niezastąpiony i powszechnie szanowany lekarz, jak najrychlej powrócił do śmigielskich pacjentów. Zdażył jeszcze na swoje 45 urodziny w grudniu 1917 roku. Witali go ze łzami radości w oczach.

W sylwestrową noc wznosili toasty za odrodzenie ojczyzny. Przeczuli, że zbliża się godzina wyroku ostatecznie obwieszającego upadek germańskiego kolosa na glinianych nogach. W koszarach Reichswehry coraz słabiej pachniało prochem, a coraz mocniej zalatywało defetyzmem.

### **Zgodnie z przysięgą Hipokratesa**

Twórz prowadził szkolenia medyczne, w których uczestniczyła młodzież śmigielska – już pod koniec tamtego roku kadra służb sanitarnych powstania Wielkopolskiego. Współpracował z dr Sewerynem Rakowskim, głównym organizatorem oddziałów ratunkowych w powiecie śmigielskim, a później kierownikiem oddziału dla powstańców w tutejszym szpitalu.

Dzień kapitulacji Cesarstwa Niemieckiego był dniem zwycięstwa Polaków w Śmiglu i całym Wielkim Księstwie Poznańskim. Głosem tutejszych Pola-

ków dr Twórz został wybrany na delegata i wszedł w skład zarządu Powiatowej Rady Ludowej, a po przejęciu władzy przez powstańców wielkopolskich został pierwszym polskim Przewodniczącym Rady Miejskiej.

Niebawem, w części pomieszczeń miejscowej lecznicy ewangelickiej zorganizował szpital polowy dla insurgentów walczących na froncie Grupy Leszno. Władze powstańcze powierzyły mu komendanturę lazaretu. Zapewniał pomoc medyczną batalionom stacjonującym w Boguszy i Osiecznej.

W styczniu 1919 roku dr Twórz, eks-porucznik Reichswehry, wraz z kompanią śmigielską (około 120 powstańców) oraz oddziałami kilku pobliskich miejscowości, zwycięsko zmagając się z fizylierami i grenadierami Grenzschutzu w boju pod Osieczną, który do powstańczej historii i legendy przeszedł jako „bitwa pod wiatrakami”.

Działalność i dokonania dr Twórza wzbudziły uznanie komisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, w której szefem resortu spraw politycznych i wojskowych był Wojciech Korfanty, dawny gimnazjalny i „zetowski” kolega Emanuela.

### **Na odsiecz Lwowa**

W tym czasie ukraińscy patrioci podjudzani przez Austriaków i Niemców toczyli krwawe walki o zdobycie Lwowa i ustanowienie w jego murach stolicy swojej niepodległej republiki.

Wielkopolska, tak jak inne dzielnice odrodzonej ojczyzny, postanowiły przyjść z odsieczą rodakom znad kresowej Pełtwi. Dr Twórz otrzymał zadanie zorganizowania wojskowego lazaretu o nazwie „Szpital Lwów”. W kwietniu został mianowany jego komendantem i w ślad za pierwszymi eszelonami translokującymi grupę bojową pod rozkazami pułkownika Daniela Konarzewskiego wyruszył na pomoc Orłom Lwowskim. W jej skład wszedł między innymi legendarny 1 pułk Strzelców Wielkopolskich pod dowództwem ppłk. Gustawa Paszkiewicza; bataliony: Leszno, Rawicz i Poznań. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wśród ochotników wstępujących do 1. Pułku znalazł się między innymi siedemnastoletni **Janek Kiepora**, późniejszy śpiewak operowy z Sosnowca. Ubrany w pruski mundur z dystynkcjami Armii Wielkopolskiej, szkolenie wojskowe przeszedł w Koniecpolu pod Częstochową.

Po przybyciu do Galicji porucznik Twórz zgłosił się pod rozkazy Komendy Obrony Lwowa. Przywiózł ze sobą wagon pełen leków, opatrunków, noszy i łóżek. Jego personel służył też innym walczącym oddziałom Wojska Polskiego. Do kapitulacji zbrojnych oddziałów ukraińskich doszło na przełomie maja



Dom przy ulicy Gminnej 2 w Żeleź, w którym mieszkała matka Emanuela Twórza – Maria, wraz z jego ciotką Pauliną. Widok obecny

i czerwca 1919 roku. Wraz z grupą bojową płk Konarzewskiego, nad Wartę dr Twórz wrócił 9 czerwca 1919 roku.

Był już w śmigielskich pieleszach swego domu, gdy 15 czerwca 1919 r. uzyskał uprawnienia lekarza powiatowego potwierdzone nominacją Ministerstwa Zdrowia i poznańskiego Komisarjatu NRL. Nie minęły jednak 2 tygodnie, gdy znów zapragnął wkroczyć na wojenną ścieżkę.

W czerwcu 1919 roku, jako ochotnik zaciągnął się w szeregi Wojska Polskiego. Ponownie wyjechał na front ukraiński. Tak jak poprzednio był komendantem szpitala polowego grupy bojowej płk Konarzewskiego. W lipcu, już w strefie działań zbrojnych uzyskał awans na kapitana WP. Wielkopolanie wyparli Ukraińców za Seret. Ostatnim dniem zwycięskiej ofensywy był 17 lipca 1919 roku; żołnierze Konarzewskiego zdobyli Husiatyń. Potem Grupa Wielkopolska została przydzielona do frontu wołyńskiego. Wielkopolanie dotarli do Teofilopola. Z tej eskapady kpt Twórz powrócił 14 września 1919 r. Niebawem podjął pracę w Okręgowej Komisji Uzupełnień w Kościanie.

### Między Śmigłem a Kościanem

Na początek 1920 roku powierzono mu obowiązki komendanta Szpitala Garnizonowego w Lesznie, przejętego z rąk wycofujących się Niemców. Na tym stanowisku uzyskał awans do stopnia majora WP. Wkrótce osiadł w Śmiglu, gdzie pełnił funkcję lekarza powiatowego.

W marcu tamtego roku jako delegat środowiska wielkopolskiego brał udział w ogólnokrajowym zjeździe lekarzy polskich w Warszawie. Tam został wybrany do zarządu głównego Lekarzy Państwa Polskiego.

Od wiosny 1921 roku mieszkając w Śmiglu, wciąż pracował w pobliskim Kościanie. Teraz w szpitalu przyjmującym rannych żołnierzy z wojny bolszewickiej oraz insurgentów z drugiego powstania śląskiego. Od sierpnia na stanowisku starszego ordynatora oddziału wewnętrznego i zakaźnego tamtejszego szpitala wojskowego. Równocześnie pełnił obowiązki lekarza Powiatowej Komisji Uzupełnień.

Latem 1921 r. dr mjr Twórz, jako oficer rezerwy, pracował na stanowisku lekarza powiatowego i domowego Kasy Chorych. Pacjentów przyjmował w gabinecie przy ulicy Polnej 6 w Kościanie. Do pracy jeździł swoim autem. Jego dom od gabinetu dzieliło około 10 km. Przebywał je w ciągu kwadransa.

W 1924 r. został zweryfikowany jako lekarz podpułkownik ze starszeństwem od 1 czerwca 1919 roku.

W ciągu ponad 7 lat posługi medycznej w powiecie kościańskim zapisał się



Współczesna panorama centralnej części dzielnicy Załęże, gdzie dorastał Emanuel Twórz

jako inicjator i twórca wysoko cenionych instytucji. Był założycielem Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem oraz powiatowej Przychodni Przeciwgruźliczej.

Na emeryturę przeszedł ukończywszy 61 jesień życia – 31 grudnia 1933 roku.

*Lekarz powiatowy p. dr. Emanuel Twórz z Kościana przeszedł na własne życzenie w stan spoczynku. Dr Twórz znany jest jako gorliwy katolik i społecznik, należący do kilku organizacji i nie szczędzący nigdy grosza dla biednych – w wydaniu głównym z 19 stycznia 1934 roku zawiadamiła redakcja „Kuriera Poznańskiego”.*

Od tej pory poświęcił się praktyce lekarza domowego. Wciąż jednak był obecny na forum organizacji społecznych, politycznych i towarzyskich. Jako luminarz i prezes stał na czele trzech znamienitych stowarzyszeń powiatu kościańskiego: Związku Oficerów Rezerwy, Związku Lekarzy Państwa Polskiego oraz Akcji Katolickiej.

Druhowie śmigielskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, z osobą swego prezesa kojarzyli uroczysty wszechsokolski zlot w Krakowie (1896), podczas którego 23 wiosny liczący Emanuel Twórz, wtedy student z Wrocławia, został nagrodzony „srebrną gałązką oliwną” i medalem za zdobycie II miejsca w zawodach gimnastycznych.

W zarządzie powiatowym PCK powierzono mu godność wiceprezesa. Cieszył się powszechną sympatią i zaufaniem mieszkańców Śmigla i innych miejscowości powiatu. Był czołową postacią licznych gremiów i zgromadzeń: Towarzystwa Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego, Towarzystwa Czytelni Ludowych, Związku Zachodniego, Powiatowego Komitetu Funduszu Pomocy Bezrobotnym, Komitetu Powiatowego Przysposobie-

nia Wojskowego i Wychowania Fizycznego, Koła Przyjaciół Harcerstwa, Koła Przyjaciół Związku Strzeleckiego, Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Ligi Morskiej i Kolonialnej, a także kościańskiego chóru „Arion”.

### Ciemna noc hitleryzmu

Prestż dr Twórza i jego patriotyczna przeszłość były solą w oku hitlerowskich okupantów. Pod koniec 1939 roku doktora i jego rodzinę skazali na zsyłkę do Generalnej Guberni, w okolice Sokołowa Podlaskiego. Jako aresztant został odtransportowany do Kosowa Lackiego. Tam pełnił obowiązki lekarza domowego miejscowej ludności. Zjednał sobie sympatię i zaufanie pacjentów. Od kwietnia 1941 roku pracował już jako lekarz Ubezpieczalni Społecznej w Siedlcach odpowiedzialny za tamtejszy rejon, a pół roku później został kierownikiem Ośrodka Zdrowia.

### Dopóki starczało sił

Wiosną 1945 roku powrócił do Śmigla. Otworzył prywatną praktykę lekarską. Przez 4 lata pracował jako lekarz Ubezpieczalni Społecznej w Grodzisku Wielkopolskim. Wciąż wierny mieszkańcom Śmigla, dopóki starczało sił służył im prowadząc praktykę prywatną i pełniąc obowiązki kontraktowego lekarza tamtejszego Ośrodka Zdrowia. W ich pamięci pozostał jako zawsze skory do pomocy i dobroduszny p<sup>er</sup>e noble.

Umarł w 83 jesieni życia, 28 marca 1955 roku. Został pochowany na śmigielskim cmentarzu przy ulicy Krętej. Wraz z Emanuelem spoczywa jego żona: Emilia Twórz (14 lutego 1887–21 maja 1976). Rodzice spoczywają obok syna Mariana, tragicznie zmarłego podczas okupacji, 1941.

W połowie dziewiętnastego stulecia wzrosło zapotrzebowanie na węgiel w rozwijającym się przemyśle. W związku z tym w 1850 roku książę pszczyński Jan Henryk X Hochberg uruchomił w Mikołowie kopalnię „Anna” usytuowaną na wzgórzu Kamionka. Kopalnia miała wydobywać węgiel koksujący i zaopatrywać hutę żelaza „Ida” (Idahütte) w Ligocie (dzisiaj dzielnica Katowic). W kopalni „Anna” rozpoczęto eksploatację w płytko zalegającej wychodni pokładu węgla koksującego początkowo o grubości około 1,6 m. Wydobycie w 1852 roku wynosiło 2906 ton, przy przeciętnym zatrudnieniu 34 górników. W latach następnych nastąpiło zmniejszenie miąższości tego pokładu i wstrzymano wydobycie. Ponieważ węgiel z sąsiednich pokładów nie miał właściwości przydatnych do hutniczego procesu wielkopiecowego, kopalnia zaprzestała wydobycia. W kolejnych latach kopalnię Anna otwierano i zamykano wielokrotnie.

W 1920 roku Dyrekcja Kopalń Księcia Pszczyńskiego (Furstlich Plessische Bergwerk-Direktion) w rejonie dawnej kopalni „Anna”, otwarła nową kopalnię w Zarzeczcu koło Mikołowa. W 1921 roku Wyższy Urząd Górniczy we Wrocławiu wyraził zgodę na nadanie kopalni nazwę „Barbara”. Wydobycie początkowo było niewielkie, sięgające około 15 tys. ton rocznie. Z powodu braku bocznic kolejowej, wydobyty węgiel wywożono z kopalni samochodami i furmankami. Rozpoczęto budowę szybu wydobywczego w dzielnicy Mikołowa Gniotek oraz zakładu separacji węgla. Jednocześnie rozpoczęto budowę bocznic kolejowej do istniejącej trójce relacji Katowice-Tychy. W tym celu wyrąbano dużą połąć lasu pod trasę torowiska i wybudowano dwa wiadukty kolejowe.

Z nastaniem kryzysu gospodarczego górnictwie i problemami ze zbytem węgla dalszą budowę kopalni wstrzymano.



Widok kopalni Barbara w latach 20. XX wieku

fot. arch. aut.

# Górnictwo Obserwatorium Magnetyczne

STEFAN GIERLOTKA

Ogólny zastój w górnictwie śląskim spowodował, że od sierpnia 1924 roku kopalnia była nieczynna. Trasę pod trakcję kolejową porósł las, a w nim stoją do dzisiaj ukończone dwa betonowe wiadukty kolejowe.

W okresie kryzysu, z końcem lat dwudziestych i w latach trzydziestych XX wieku, na obszarze górniczym Gniotek rozwinęło się nielegalne górnictwo w biedaszybach. Wydobycie w nich było

związane z bezrobociem górników i prowadzone było niemal przez cały okres międzywojenny.

**Stacja Ratownictwa Górniczego w Bytomiu**  
Pierwsza Stacja Ratownictwa Górniczego na Górnym Śląsku została utworzona w 1907 roku, w Bytomiu. Dyrektorem tej stacji był Bergassessor Hans Woltersdorf.

W wyniku przeprowadzonego plebiscytu na Górnym Śląsku, decyzją Rady Ambasadorów z 20 października 1921 roku, na podstawie 1 art. 88 Traktatu Wersalskiego, nastąpił podział Śląska między Niemcy i Polskę. Zmiana granicy państwowej pociągnęła za sobą konieczność zmian organizacyjnych w górniczej części Górnos Śląskiego Zagłębia Węglowego. Po podziale Śląska, działała w Bytomiu Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego, który pozostał po stronie niemieckiej. Konieczne stało się utworzenie stacji ratownictwa górniczego dla kopalni polskich. Z inicjatywy Stanisława Majewskiego, wicedyrektora Wyższego Urzędu Górniczego przystąpiono do tworzenia polskiej stacji naukowo-badawczej dla potrzeb bezpieczeństwa pracy w kopalniach. W 1925 roku utworzono Stację Doświadczalną i Centralę Ratownictwa Górniczego na terenie Fabryki Materiałów Wybuchowych „Lignoza” w Pniow-

fot. arch. aut.



Pozostawiony w lesie wiadukt kolejowy po niedokończonej bocznic kolejowej



Uczestnicy kursu ratownictwa górniczego w latach dwudziestych XX wieku

cu koło Tarnowskich Gór. Dyrektorem stacji został inż. Józef Juroff. Zadaniem tego ośrodka było prowadzenie badań nad zagrożeniami górniczymi i przyczynami katastrof górniczych. Stacja finansowana była przez Górnośląski Związek Kopalni i Hut jako jednostka badawcza dla rozwiązywania problemów bezpieczeństwa w kopalniach. Stacja dysponowała dwudziestometrową sztolnią, w której prowadzono badania nad wybuchowością pyłu węglowego i gazów w kopalniach. Wylot sztolni doświadczalnej był blisko (500 m) granicy z Niemcami oraz znajdował się blisko zabudowań wioski Boruszowice. Często wykonywano eksperymentalne wybuchy w nocy, co doprowadziło do konfliktu z mieszkańcami. Zła lokalizacja i uciążliwości powodowane nocnymi wybuchami przyczyniły się do przeniesienia stacji po roku do wynajętej nieczynnej kopalni „Barbara” w Mikołowie.

### Kopalnia Doświadczalna „Barbara” w Mikołowie

W 1926 roku nieprowadzącą wydobycia węgla kopalnię „Barbara” w Mikołowie (dawniej kopalnia „Anna”) wdzierzał od księcia pszczyńskiego za 2200 franków szwajcarskich Górnośląski Związek Kopalni i Hut. Do tej nieczynnej kopalni w 1926 roku została przeniesiona z Pniowca Stacja Doświadczalna i Cen-

trała Ratownictwa Górniczego. Utworzony nowy ośrodek w Mikołowie otrzymał nazwę „Kopalnia Doświadczalna Barbara, Centrala Ratownictwa Górniczego i Obserwatorium Magnetyczne w Mikołowie”.

Dzierżawa obejmowała budynki zabudowy kopalni, szymb z wyposażeniem maszynowym oraz wyrobiska górnicze na poziomie 46 m. Zawarta umowa określała używane dzierżawy tylko do celów związanych z działalnością doświadczalną ośrodka i potrzebami stacji ratownictwa. Zabronione było wydobywanie węgla i wykonywanie robót eksploatacyjnych.

Po przejęciu kopalni przystąpiono do wykonywania poligonu doświadczalnego. Na poziomie 46 m wykonano chodnik doświadczalny długości 120 m, a na powierzchni sztolni o długości 40 m. Liczba zatrudnionych w 1928 roku wynosiła 30 osób.

Zadaniem kopalni było prowadzenie badań nad wybuchowością pyłów i gazów kopalnianych oraz bezpiecznym stosowaniem materiałów wybuchowych. Kopalnia Doświadczalna „Barbara” była pierwszą w Polsce jednostką prowadzącą badania na rzecz bezpieczeństwa pracy w górnictwie. Na terenie kopalni znajdowała się też Centrala Ratownictwa Górniczego, która zajmowanie się zagadnieniami związanymi z organizacją ratownictwa górniczego. W kopalni prowadzono szkolenia podstawowe i okresowe dla

ratowników górniczych ze wszystkich polskich kopalni.

Kopalnia Doświadczalna „Barbara” od powstania w 1926 roku była finansowana przez Związek Przemysłowców Górniczo-Hutniczych. Przedsiębiorstwa górnicze całego Górnośląskiego Zagłębia Węglowego płaciły składki na utrzymanie tego ośrodka. Po 1933 roku była finansowana z funduszy Stowarzyszenia Kopalni Doświadczalnej „Barbara”. Kopalnia podlegała bezpośrednio Wyższemu Urzędowi Górniczemu.

Dyrektorami Kopalni Doświadczalnej Barbara w okresie międzywojennym byli: Józef Juroff w latach 1925–1930 i Stanisław Herman w latach 1930–1939. Zastępcą dyrektora od 1928 roku był Wacław Cybulski.

Już w pod koniec lat 20 ubiegłego wieku podjęto w ośrodku prace naukowe w zakresie zwalczania zagrożeń wybuchów metanu i pyłu węglowego w kopalniach. Badania prowadzono pod względem inicjacji wybuchu metanu od robót górniczych z użyciem materiałów wybuchowych oraz od urządzeń elektrycznych. Przeprowadzono ocenę wszystkich urządzeń elektrycznych stosowanych w wyrobiskach kopalni gazowych, które mogły stanowić przyczynę zapłonu pyłu węglowego i metanu.

Od początku lat 30. ubiegłego wieku były prowadzone badania wybuchów



Kopalni Barbara w Mikołowie, widok z lat końca dwudziestych XX wieku

w sztolniach doświadczalnych oraz badania nad zaporami z pyłu kamiennego do tłumienia wybuchów pyłu węglowego. Badania były prowadzone pod kierunkiem Waława Cybulskiego. W tym czasie zostały opracowane pierwsze odpylania wyrobisk górniczych oraz pyłowe zapory przeciwwybuchowe dla tłumienia wybuchów pyłu węglowego. Opracowano nowe materiały wybuchowe bezpieczne wobec metanu i pyłu.

W okresie okupacji kopalnia Barbara należała do Oberschlesische Hauptstelle für das Grubenrettungswesen und Versuchsstrecke i podlegała pod tzw. Knapenschaft. Zatrudnieni tam pracownicy, w okresie wojny, gdy nie prowadzono badań, zajmowali się produkcją noszy górniczych i pompowaniem wody, by nie dopuścić do zatopienia wyrobisk.

### Kopalnia Doświadczalna „Barbara” w okresie powojennym

W 1945 roku powstał Instytut Naukowo-Badawczy Przemysłu Węglowego w Ka-

towicach, przemianowany w 1950 roku na Główny Instytut Górnictwa. Kopalnia Doświadczalna „Barbara” w Mikołowie, licząca wówczas 40 pracowników, została do niego włączona jako odrębny zakład. Jej dyrektorem w 1945 roku został przedwojenny dyrektor Stanisław Herman. W 1946 roku dyrektorem Kopalni Doświadczalnej Barbara został Waław Cybulski. W 1947 roku Centralną Stację Ratownictwa Górniczego przeniesiono z Mikołowa do Bytomia, tworząc samodzielną jednostkę.

W latach powojennych wybudowano nową sztolnię doświadczalną, którą stanowiła stalowa rura o długości 100 m i średnicy 2 m, zamknięta w jednym końcu i otwarta w przeciwnym. Kopalnia Doświadczalna „Barbara” była jedyną placówką naukowo-badawczą w Europie dysponującą podziemnym poligonem doświadczalnym.

Zakres prowadzonych badań obejmował: zwalczanie zagrożenia pyłowego i gazowego, urządzenia elektryczne przeciwwybuchowe i technikę strzelniczą.

W 1969 roku placówka otrzymała nazwę: Instytut Bezpieczeństwa Górniczego — Kopalnia Doświadczalna „Barbara”, a zakres jej badań został rozszerzony o badanie zapylenia powiązane ze zwalczaniem pylicy, wyrzutów gazów i skał, prognozę metanowości, odmetanowanie, manometrię indywidualną oraz zabezpieczenia stacjonarne.

Wraz z wprowadzeniem energii elektrycznej do podziemnych wyrobisk górniczych, zwłaszcza w kopalniach metanowych, powstał problem elektrycznych urządzeń przeciwwybuchowych. Problematykę tę podjęła Kopalnia Doświadczalna „Barbara” już w 1945 roku, organizując Zakład Bezpieczeństwa Urządzeń Elektrycznych, który następnie przekształcił się w Zakład Elektrycznych Urządzeń Przeciwybuchowych. Prace prowadzone w tym dziale stworzyły podstawę do opracowania norm określających wymagania konstrukcyjne i technologiczne, jakim powinny odpowiadać urządzenia elektryczne przeznaczone do stosowania w kopalniach metanowych.

### Obserwatorium Magnetyczne w Mikołowie

W 1926 roku po przeniesieniu z Tarnowskich Gór Stacji Doświadczalnej i Centrali Ratownictwa Górniczego do kopalni doświadczalnej „Barbara” w Mikołowie powstała Centrala Ratownictwa Górniczego i Obserwatorium Magnetyczne w Mikołowie.

Obserwatorium magnetyczne, zwane także stacją magnetyczną należące do Kopalni Doświadczalnej „Barbara”, znajdowało się na terenie Mikołowa, ale było oddalone o 3,5 km od kopalni w kierunku Łazisk Górnych. Sam budynek obserwatorium umiejscowiony był w terenie niezabudowanym na zboczu wzniesienia, po prawej stronie dzisiejszej ul. Rybickiego. Teren na którym wybudowano Obserwatorium Magnetyczne należał wówczas do mikołowskiego Bractwa Strzeleckiego. Obok budynku obserwatorium umiejscowiona była głęboka cysterka, w której umieszczano sprzęt do pomiarów zmian deklinacji magnetycznej.

**Konstanty Prus** w swojej książce wdanej w 1932 roku opisuje ten ośrodek badawczy:

*Obserwatorium magnetyczne istnieje w Mikołowie obok kolonii zwanej Wymysłanką i służy również do celów górniczych. Zbudowała je Górnośląska Pomocnicza Kasa Górnicza. Pierwotnie obserwatorium to istniało w Bytomiu, ale ponieważ tam miejsce nie było odpowiednie i właściwe, zbudowano kosztem 25 000 marek nową stację w Mikołowie, dokąd w roku 1912 całe obserwatorium z Bytomia przeniesiono i wzorowo urządzone. Obserwatorium to posiada samoczynne dokładne aparaty, które zapisują wszelkie odchylenia czyli deklinacje prądu magnetycznego od linii magnetycznej N-S. Wskazania tych aparata-*



Kopalnia Barbara 1938 r.





Drużyna ratownicza, 1955 r.

*tów odpisuje się regularnie co dzień; wykazy te potem udostępnia się kopalniom oraz ogłasza raz w miesiącu w czasopiśmie Górnośląskich Przemysłowców Górniczo-Hutniczych. A są one bardzo ważne do wytyczania ganków podziemnych i do rysowania dokładnych map podziemi kopalniowych. Górnik bowiem w kopalni kieruje się kompasem przy wytyczaniu kierunku dróg i chodników, a kompas kieruje się według prądu magnetycznego ziemi; prąd ten jednak często odchyła się mniej lub więcej od prostej linii N-S; miernicy kopalniani muszą znać te odchylenia, kiedy one były i jak wielkie, i wziąć je dokładnie w rachubę przy*

*pomiarach podziemnych, wytyczaniu kierunków i dróg pod ziemią i przy sporządzaniu map labiryntów podziemnych.*

Na podstawie pomiarów ziemskiego pola magnetycznego sporządzane są mapy magnetyczne, na których naniezione są linie jednakowej deklinacji, czyli tzw. izogony. Wartość deklinacji magnetycznej w danym miejscu zmienia się w czasie. Roczne zmiany deklinacji wynoszą od 5' do 15'. Nieregularne zmiany deklinacji, spowodowane burzami magnetycznymi, mogą dochodzić do kilku stopni. Przyczyny te powodują konieczność sprawdzania deklinacji w czasie pro-

wadzenia pomiarów przy pomocy przyrządów z igłą magnetyczną.

W Polsce pierwsze obserwatorium magnetyczne założył w 1910 r. Stanisław Kalinowski w Świdrze pod Warszawą. Obecnie ciągłą rejestrację składowych pola geomagnetycznego na terenie Polski prowadzą: Obserwatorium Geofizyczne Polskiej Akademii Nauk na Półwyspie Helskim w Helu oraz Centralne Obserwatorium Geofizyczne Polskiej Akademii Nauk w Belsku Dużym (woj. mazowieckie). Poza tym rejestrację magnetyczną o charakterze uzupełniającym prowadzi Śląskie Obserwatorium Geofizyczne PAN w Raciborzu.

Dane z obserwatorium magnetycznego wykorzystywane były w kopalniach przy wykonywaniu orientacji wyrobisk za pomocą kompasu górniczego. Mierniczego górniczego interesowały aktualne zmiany deklinacji, które regularnie podawała stacja magnetyczna. Mapy górnicze orientowane były do współrzędnych geograficznych, a różnicę deklinacji magnetycznej do geograficznego układu odniesienia podawała stacja Obserwatorium Magnetyczne w Mikołowie.

Z czasem stosowanie metody orientacji wyrobisk przy pomocy kompasu górniczego straciło na znaczeniu, głównie za sprawą zakłócającego oddziaływania urządzeń mechanicznych i stosowania stalowej obudowy wyrobisk. Stąd też w latach powojennych zapadła decyzja o likwidacji tego obiektu. ■



Kopalnia Doświadczalna Barbara w Mikołowie

# Pięć minut

ILJA SURGUCZOW Przetłóżył Marian Kisiel

*Pokój w hotelu. ON zaspokojony, szczęśliwy, w piżamie, siedzi na kanapie i pali. ONA powoli i błogo się uśmiecha.*

ON Jesteś dzisiaj taka piękna, jak nigdy przedtem. Zaczynam wierzyć, że mnie kochasz.

ONA A wcześniej nie byłeś pewny?

ON Jakby ci to powiedzieć? Kobietę zna tylko Pan Bóg.

ONA Mnie zna dwóch: Pan Bóg i ty.

ON Kiedy się znów spotkamy?

ONA Jak zawsze, pojutrze. W piątek.

ON Obciąłeś włosy i podobasz mi się bardziej niż kiedykolwiek. Stałaś się wyrazistsza, bardziej ujmująca. Chciałbym cię zobaczyć jutro.

ONA O, nie! Mąż zrobił się niespokojny i podejrzliwy. W jego oczach cały czas tlą się jakieś niepokojące ogniki. Czasem mi się wydaje, że zaczyna domyślać się naszych relacji.

ON Pocałuj mnie!

ONA O nie, ukochany! Wiem, czym się to kończy. Czas na mnie. I tak jest już późno.

ON *Podchodzi do niej i długo ją całuje.*

ONA Widzisz? Widzisz? Znów twoje oczy zachodzą mgłą!

ON Jakaś ty młoda i piękna! Jak ja ciebie Kocham!

ONA A ja? Jesteś jedyny, bestio, tak przystojny...

*Stukanie do drzwi.*

ONA *(szepciem, lekliwie)* Kto to?

ON *(nakazując palcem, żeby milczała. Głośno)* Kto tam?

*Głos za drzwiami:* To ja. Otwórz, proszę!

ONA *(lekliwie)* Mąż!

ON *(nakazując jej palcem milczenie)* Niestety, mój drogi, musisz mi wybaczyć, ale nie mogę cię teraz przyjąć...

MAŻ Jest u ciebie kobieta?

ON Cóż to, przyjacielu, tak bez ogródek?

MAŻ Ja wiem, u ciebie jest moja żona.

ONA *(cicho, błagalnie)* Nie wydaj mnie, uratuj za wszelką cenę!

ON *(grożąc jej palcem – protestuje)* Oszalałeś, *mon vieux!*

MAŻ U ciebie jest moja żona. Otwórz natychmiast. Albo będę tu siedział do wieczora!

ON Przede wszystkim, bardzo cię proszę: nie drzyj się na całe schody. Nie hańb siebie i swojej rodziny. Powtarzam ci: oszalałeś.

MAŻ Wybacz, proszę, ale jestem przy zdrowych zmysłach i mam dobrą pamięć.

ONA Nie wydaj mnie, uratuj za wszelką cenę!

ON *(odsuwając ją)* Powtarzam ci: jesteś niespełna rozumu. Tak, jest u mnie kobieta, ale jak ci nie wstyd tak myśleć o swojej żonie?

MAŻ Ja wiem.

ON Jesteś głupi i nic nie wiesz.

MAŻ Przed dwoma godzinami wyszła z domu.

ON Więc idź i poszukaj jej w innym miejscu, a mnie, twojego przyjaciela, i jej, twojej żony, nie obrażaj.

MAŻ *(ironicznie)* „Twojego przyjaciela”?

ON Tak, właśnie tak. Twojego przyjaciela. Byłem nim i będę. A twoja żona jest dla mnie tak samo święta, jak twoja matka.

MAŻ Nie igraj tak słowami.

ON Nie igram niczym i nikim. A twoja żona... Bydlaku, jak śmiesz tak myśleć o świętej, kochanej kobiecie... Gdyby o twojej żonie ośmielił się to powiedzieć kto inny, a nie ty, urwałbym mu głowę...

ONA *siedzi, zakrywając twarz rękami.*

MAŻ Ho, ho, obrońca czci niewieściej!

ON Właśnie tak, obrońca czci niewieściej! O swojej żonie pozwalasz sobie mówić, jak o praczce! Uważasz, że jak dziesięć frankowa dziwka szlaja się po wynajętych pokojach twoich przyjaciół! Nie zapominaj, że masz z nią malutką córeczkę, więc, zakuty łbie, choć na chwilę mógłbyś odrzucić myśl, że jej matka, matka tego aniołka, będzie trzeptać tyłkiem po schodach brudnego hotelu!

MAŻ Ale...

ONA *opuszcza głowę coraz niżej.*

ON Żadnych „ale”, niech cię wszyscy diabli. Jesteś idiotą, nie znasz swojej żony, masz, jak mówią Polacy, fiołki w swojej durnej głowie, jeśli na zapluty korytarzu jakichś zapluty pokójów śmiesz wymawiać święte imię! Idź do domu i spokojnie na nią czekaj, jestem pewien, że zagadała się ze swoją koleżanką, i już ze dwa razy telefonowała do ciebie.

MAŻ *(drżącym głosem)* Boże mój! Czy mówisz prawdę?

ON Ech, kretynie! Jestem twoim przyjacielem od lat dziecięciu i jeszcze nigdy cię nie okłamałem. Czekaj na mnie wieczorem. Przyjdę do ciebie na herbatę i powiem ci jeszcze więcej kwaśnych słów. Ale błagam cię: nie mów o tym dziwnym zdarzeniu swojej żonie. Zacznie ode mnie stronić, unikać mnie.

MAŻ A dlaczego nie chcesz mi otworzyć drzwi?

ON Posłuchaj! Mogłem myśleć, że jesteś osłem, ale nie sądziłem, że jeszcze jesteś chamem. Odejdź, inaczej otworzę drzwi i obleję cię zimną wodą. Jeśli chcesz być błaznem, bądź nim do końca!

MAŻ Dziwne... Przekonałeś mnie... Rzeczywiście, zupełnie źle myślałem o swojej żonie...

ON No, a jakże by inaczej...

MAŻ To prawda, nie pomyślałem, że jest matką mojej malutkiej... I twój hotel rzeczywiście nie jest do podejmowania porządnych kobiet.

ON A to już nie twoja sprawa!

MAŻ Łobuziaku! Skubnij swoją kompankę.

ON Idź precz! Nie bądź wulgarny...

MAŻ I przyjdź do nas jutro na obiad...

ON Ech, bracie, do jutra to za długo. Powinienem rozliczyć się z tobą jeszcze dzisiaj wieczorem!

MAŻ Pal cię sześć! Niech będzie: upiekę cielę na przyjęcie syna marnotrawnego...

ON A ja przyniosę melon i szampana.

MAŻ Melon? A skąd weźmiesz melon?

ON A to już nie twoja głowa.

MAŻ Cudownie! Uwielbiam melon i nie pojmuję, jak Francuzi mogą go jeść z pieprzem i solą! Cóż, żegnaj!

ON *(oziębło)* Żegnaj!

*Pauza. ONA i ON nastuchują.*

MAŻ *(znowu puka do drzwi)* Hallo?

ON Kto tam?

MAŻ To ja. Wciąż ja.

ON Czego chcesz jeszcze?

MAŻ Posłuchaj. Proszę, nie mów o tym mojej żonie...

ON Dobrze. Teraz nie powiem, ale kiedyś przy okazji – to już wybacz...

MAŻ No dobrze, dobrze... Pogadamy. Znikam.

ON Krzyżyk na drogę!

*Pauza. ON podchodzi do okna i patrzy w dół zza kotary. ONA zaczyna pośpiesznie się ubierać.*

ON O, jest. Spokojnie przeszedł przez ulicę, nawet w okno nie spojrział. Zapalił. Z gracją młodego słonia wskoczył do tramwaju. Dzzzz... (naśladuje dźwięk tramwaju). Umknął... F-fu, chwała Bogu! (siada na tapczanie i wyciera czoło chusteczką). To ci dopiero... Już jesteś gotowa?

ONA milcząc, zapina ostatnie guziki.

ON Wystraszyłaś się? Tak? Czemu milczysz?

ONA zakłada przed lustrem kapelusz.

ON Kiedy się znów zobaczymy?

ONA wkłada płaszcz.

ON Nie rozumiem... O co chodzi?

ONA (ozięble i rozkazująco) Otwórz drzwi!

ON (zaskoczony) Ale o co chodzi?

ONA pluje mu w twarz i odchodzi.

ON (w ślad za nią) Ale posłuchaj... Poczekaj... (pauza)  
Nic nie rozumiem! ■



„Perykles”, Joanna Styrylska

# Zielone Świątki

ILJA SURGUCZOW Przełożył Marian Kisiel

*Zielone Świątki. Jaskrawe słońce. Do pokoju zaglądną lipy. Chłodno i przyjemnie. W berceuse przy oknie siedzi szczuplutka, pomarszczona starowinka. Czyta książkę. Słychać dzwonek w dalszych pokojach. Wchodzi poważny, stateczny lokaj.*

LOKAJ Aleksander Piotrowicz... Czy zechce go pani przyjąć?

STARUSZKA Proś.

*Po chwili na progu ukazuje się Aleksander Piotrowicz, elegancki, schludny staruszek. Kłania się po dawnemu, podchodzi ucałować rączki.*

ALEKSANDER PIOTROWICZ Dzień dobry, moja droga, dzień dobry.

STARUSZKA (*całując go w czoło*) Dzień dobry, ojczulku, dzień dobry... Jak się wie dzie?

ALEKSANDER PIOTROWICZ Prosto z mszy idę, moja droga. A to malwa dla pani, kwiat zielonoświątkowy. A w czasie modlitwy razem z biskupem klęczeliśmy. W świątyni pachniało, na podłodze macierzanka – raj po prostu.

STARUSZKA (*wachając kwiaty*) Ach, jaki ty jesteś uprzejmy, drogi przyjacielu! Usiądź, odpocznij, opowiadaj... Pojdziesz, jesteś zmęczony?

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*ocierając czoło*) Gdzieżby nie być zmęczonym... Z biskupem razem klęczeliśmy, więc i bieda... Tamtego to i diakoni pod rączki podtrzymują, a ja nie mogę... Fik-mik – a potem płacz... Dziękuję, jakieś dziewczątko dopomogło... Ja jej mówię: „dziękuję, kwiatuśku”, a ona: „nie ma za co, dziadku”. *Vous comprenez?* „Dziadku!” A plecy bolą – odetchnąć nie można po prostu! Zawiało najpewniej...

STARUSZKA A to na noc olejkiem eterycznym się natrzyj... I nalewki malinowej...

ALEKSANDER PIOTROWICZ Ale jakiej tam malinowej nalewki! Raczej już do miasta Ziemiańska, do mieszczan się zapisać...

STARUSZKA Ale się rozzuchwalił... Miasto Ziemiańsk, mieszczenie... Opowiedz coś innego, wesołego... Popatrz: słońce świeci, obłoki – jak biała radość, lipa pachnie...

ALEKSANDER PIOTROWICZ A to na herbatkę proszę zaprosić, wtedy opowiem... O jednym jubileuszu...

STARUSZKA O jakimś to jubileuszu?

*Dzwoni. Wchodzi lokaj.*

STARUSZKA Herbatkę podaj... *Do Aleksandra Piotrowicza: Tobie mocnej czy jakiej?*

ALEKSANDER PIOTROWICZ Słabiutkiej, bardzo słabiutkiej... Serce i tak już ledwie bije...

STARUSZKA No, a dla mnie mocniejszej... Nie cierpię lury...

ALEKSANDER PIOTROWICZ Lędzwie jak obce, reumatyzm, żołądek zniszczony, lewe ucho już nie pracuje... Bieda po prostu!

STARUSZKA Do Boga módl się gorliwiej!

ALEKSANDER PIOTROWICZ Przecież mówię, że z biskupem razem klęczeliśmy!

STARUSZKA A ty nie z biskupem, ale zamknij się w ciemnej komorze, jak powiedziano w Ewangelii, i w komorze się módl... A ty tylko czołem pokłony bijesz, a spojrzeniem na kwitnące dziewczątka ślepisz... Znamy was dobrze!

ALEKSANDER PIOTROWICZ Gdzie tam, już im pora wyjść za mąż!

*Lokaj przynosi herbatę i odchodzi. Aleksander Piotrowicz i staruszka z widocznym zadowoleniem piją herbatę. Pauza.*

STARUSZKA To jakież to jubileusz? I mnie on dotyczy?

ALEKSANDER PIOTROWICZ W sposób najoczywistszy. Pani, można powiedzieć, jest najgłówniejszą osobą sprawczą.

STARUSZKA W jakim roku?

ALEKSANDER PIOTROWICZ Równo czterdzieści lat temu i także w Zielone Świątki.

STARUSZKA Nic nie pamiętam!

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*chyrtrze*) A ja teraz pani przypomnę. (*Wyjmuje z bocznej kieszeni książkę*). Widzi pani? Dziennik. (*Otwiera miejsce założone wstążeczką*). Przypomnieć?

STARUSZKA No to już przypomnij.

ALEKSANDER PIOTROWICZ Proszę pozwolić. Czy widzi pani? Notatka. (*Czyta*). „I po wspaniałych Zielonych Świątkach, wszystko było takie pachnące i jasne, nastał tak samo cudowny wieczór. I wieczorem była ona tak samo olśniewająca. Biała sukienka pożądlawie opasywała jej prawie dziewiczą kibić. Młode piersi nęciły i oddychały pożądlawie. Około siódmej, przed obiadem, spacerowaliśmy razem po gęstej lipowej alei. Aleja była pełna zapachów. Długo szliśmy, zerwałem różę i jej dałem. Była wdzięczna, lecz zimna”. Przypomina sobie pani, mateczko?

STARUSZKA (*westchnąwszy*). Przypominam, ojczulku, przypominam. To było wtedy, kiedy pan razem z nieboszczykiem Siergiejem, niech dostąpi królestwa niebieskiego, gościł u nas w majątku. Wtedy też mój ślubny, niech też dostąpi królestwa niebieskiego, ziemia mu lekką będzie, po Paryżach szmyrgał?

ALEKSANDER PIOTROWICZ Tak właśnie.

STARUSZKA (*wzdychając*) Ach, ach!

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*czytając*) „Była wdzięczna, lecz zimna. Zapytałem jej: »Jest pani wobec mnie zimna i milcząca. Dlaczego? Kocha pani Siergieja?« Odpowiedziała: »Kocham tylko swojego męża«. Powiedziałem: »Lecz mąż pani jest daleko, gdzieś w Paryżu«. Odpowiedziała: »Cóż z tego?« Powiedziałem: »Oto pod nieobecność pani męża w majątku goszczą dwaj jego przyjaciele: ja i Siergiej. Czy sąsiedzi nie uznają tego za kompromitujące?« Odpowiedziała: »Gdyby gościł któryś z was pojedynczo, mogłoby to być kompromitujące. A przecież przyjaciele mojego męża są moimi przyjaciółmi. Jednakowo obdzielam swoją uwagę i pana, i Siergieja«. Zapytałem: »Czy na pewno jednakowo?« Odpowiedziała: »Dokładnie tak, jednakowo«. Zawałałem się, lecz swoimi wątpliwościami już się nie podzieliłem i, wzięwszy jej lewą rękę, czule ją pocałowałem. A serce okropnie kołatało”.

STARUSZKA Czy twoje serce okropnie kołatało?

ALEKSANDER PIOTROWICZ Nawet bardzo.

STARUSZKA No dobrze, czytaj dalej.

ALEKSANDER PIOTROWICZ „Przysiadłszy na kamiennej ławce, miałem śmiałość powtórzyć raz jeszcze: »A mnie się wydawało, że ma pani większą słabość do mojego przyjaciela, Siergieja«. Odpowiedziała: »Zupełnie nie« i z niepokojem popatrzyła na mnie”.

STARUSZKA (*śmiejąc się*) Co to się człowiekowi wydało! Z niepokojem popatrzyła na niego!

ALEKSANDER PIOTROWICZ Tak, tak, tak i teraz proszę posłuchać, co dalej jest napisane.

STARUSZKA I słuchać nie ma czego. Zjedli kolację, wy-

pili nalewkę jarzębinową, poszli spać, a ja do samego rana słyszałam, jak chrapiesz w swoim pokoju, na parterze. Tej nocy akurat nie mogłam zasnąć.

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*ze zdumieniem*) Ja? Chrapałem w moim pokoju?

STARUSZKA No, oczywiście. Spać nie dawałeś. Uszy wataż zatykałam, żeby się słyszeć.

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*oburzywszy się*) Coś, matko, nie tak? Notatka mówi co innego. „I kończył się dzień, i nastała pachnąca noc. Zabyły gwiazdy na odległym ciemnoniebieskim nieboskłonie i było na dworze to niespokojne powietrze, które pojawia się wtedy, kiedy przyroda czeka do rana szczerbatego księżycy”.

STARUSZKA Pisać po rosyjsku, ojczulku, nie umiesz. Trzeba używać nie dopełniacza, a biernika. „Kiedy przyroda czeka na szczerbaty księżyc”. Kogo, co.

ALEKSANDER PIOTROWICZ To pani, mateczko, słaba jesteś w etymologii, ale o tym później. „I wyszedłem do ogrodu, umęczony bezsennością. Gdzieś, opodał, chrapał Siergiej, umęczony jarzębinówką...” Czuje pani? Chrapał Siergiej!

STARUSZKA (*niemalże z lękiem*) Siergiej?

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*złościwie*) Dokładnie tak, Siergiej. „Jej okno, na pierwszym piętrze, było otwarte. I dziwna śmiałość opanowała cała moja istota” Co? Znowu pani powie, że nieprawdopodobnie? Opanowała kogo, co. Całą moją istotę: oto gdzie jest biernik.

STARUSZKA O, Boże! jaki duren! No, czytaj dalej!

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*z oburzeniem*) Za pozwoleniem, ale właściwie dlaczego jestem durniem? Co pani przez to chce powiedzieć? Zapytajmy o to ojca Włodzimierza. On w seminarium był wykładowcą literatury.

STARUSZKA No dobrze, zapytamy. Czytaj dalej!

ALEKSANDER PIOTROWICZ Acha! „Czytaj dalej” Jak to jest napisane! Jak opisana została przyroda! Niemalże jak u Anatola France’a! „Nie mogłem zrozumieć w jaki sposób, i podpierając się jakim przedmiotem, wdrapałem się na pierwsze piętro. Pamiętam tylko, jak gorąca ręka opłótła moją szyję i ten aromatyczny oddech, niczym tchnienie delikatnej róży, kąsał mnie czułym dotykiem...”

STARUSZKA (*z przerażeniem żegnając się*) Poczekaj! Poczekaj! W imię ojca i syna! Więc to był ty?

ALEKSANDER PIOTROWICZ A któżby inny? Siergiej, jak już zostało wyżej wspomniane, chrapał.

STARUSZKA (*zupełnie wyczerpana zamknęła oczy*).

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*czyta*) „Ale rankiem wstała, jakby nic się nie stało”. Oho, rymem się powiedziało! „Wstało – nie stało”. „I ani ruchem, ani słowem się nie zdradziła. I była zimna, jak pomnik w Peterhofie”. A co przeciw tym słowom zostało napisane ołówkiem pięć lat później: „I stała się ta noc źródłem moich wielkich życiowych namiętności”. „Siergiej zaś był mroczny i posępny. Pod jego pięknymi oczami pojawiły się sine cienie. Przed kolacją przyznał mi się, że całą noc męczyły go pożądlive przywidzenia”.

STARUSZKA (*machając rękami*) Odejdź, ojczulku, odejdź! W głowie się kręci od twojego pisania.

ALEKSANDER PIOTROWICZ W głowie? W rzeczy samej? STARUSZKA I co mądrego? Tyleś napłótl...

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*wyjmując z kieszeni opłatek*): A to, mateczko, proszę teraz wziąć. Zawsze z sobą noszę. STARUSZKA Co to?

ALEKSANDER PIOTROWICZ Pyramidon zmieszany z aspiryną.

STARUSZKA Daj to coś.

*Aleksander Piotrowicz nalewa wody i daje jej proszek.*

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*mrużąc do siebie*) Nie sądziłem, że tak się zdenerwuje... Zamknij, mateczko, oczka i poleż spokojnie...

STARUSZKA Tak, tak. A ty idź z Bogiem. Zajrzyj kiedyś... Anatolu Fransie...

ALEKSANDER PIOTROWICZ Zajrzę, zajrzę... I ojca Włodzimierza za sobą pociągnę... Wtedy zobaczysz, czyja etymologia jest mocniejsza...

STARUSZKA No, no...

*Aleksander Piotrowicz odchodzi i nagle na progu się zatrzymuje.*

ALEKSANDER PIOTROWICZ (*rozcierając nogę*) Oj, oj, oj... Znowu.

STARUSZKA Mówię ci: natrzyj olejkim eterycznym...

ALEKSANDER PIOTROWICZ Na Boga, niech pani da spokój z tym olejkim eterycznym! Czy to co poradzi?

STARUSZKA Jaki grubianin! Zapytaj ojca Włodzimierza. *Aleksander Piotrowicz macha ręką i, utykając, odchodzi. Staruszka długo siedzi w zamyśleniu.*

STARUSZKA (*sama do siebie*) Chrapał!

*Otwiera oczy, powoli podnosi rękę i dzwoni. Wchodzi lokaj.*

LOKAJ Dzwoniła pani?

STARUSZKA Tak. Przynieś moje różowe wypominki.

*Lokaj odchodzi i powraca z dwoma spisami osób.*

STARUSZKA Przeczytaj te za odpoczynek wieczny.

LOKAJ (*czyta*) O odpoczynek wieczny sług twoich, Panie Boże: Piotra, Wasilija, Johanna, Aleksandra, Pawła, Jewgienija, Richarda, Apollona, Siergieja, biskupa Safrona, Ilji...

STARUSZKA (*nagle macha ręką*) Poczekaj, poczekaj... Weź ołówek!

LOKAJ Wziąłem.

STARUSZKA Wykreśl Siergieja...

LOKAJ Wykreśliłem...

STARUSZKA Teraz przeczytaj te za zdrowie.

LOKAJ Za zdrowie to i czytać nie ma co, wszystkiego jest trzy imiona: Olega, Josifa, Christophora...

STARUSZKA Weź ołówek.

LOKAJ Wziąłem.

STARUSZKA Dopisz: i chorującego Aleksandra.

LOKAJ (*pisze*) Dopisałem.

STARUSZKA Jutro, w Dzień Zaduszny, na mszę dasz.

LOKAJ Tak jest...

STARUSZKA A teraz idź...

*Lokaj odchodzi. Staruszka jak wcześniej odwróciła głowę i zamknęła oczy.* ■

**Ilja Dmitriewicz Surguczow** (1881–1956) – rosyjski prozaik, dramaturg, publicysta, krytyk i autor dzienników. W 1910 wydał pierwszy zbiór opowiadań, trzy lata później wydał powieść *Gubernator*, a w 1915 na zamówienie Konstantego Stanisławskiego napisał dla MCHAT sztukę *Jesienne skrzypce*, która cieszyła się wielkim powodzeniem. Jako przeciwnik bolszewików, wyemigrował w 1920 najpierw do Pragi, a potem do Paryża. Był współpracownikiem pism „Sowriemienyje zapiski” i „Wozrożdżenie”. W 1927 zebrał swoje opowiadania i krótkie formy sceniczne w tomie *Opowieści emigracyjne*, z którego zaczerpnęliśmy prezentowane tutaj jednoaktówki. W czasie II wojny światowej pokładał nadzieję w Niemczech, publikował w pismach władz okupacyjnych, co odbiło się na jego reputacji jako pisarza. Z tego powodu po wojnie uwięziony został na sześć miesięcy, ale później uniewinniony przez sąd francuski. Jan napisał Aleksandr Fokin, monografista jego twórczości, władze francuskie nie mogły doszukać się przestępstwa w wypowiedziach antybolszewickich (a nie: antyrosyjskich) pisarza oraz jego współpracy z Niemcami, a zatem szumnej „sprawy Surguczowa” nie było. W Rosji dzieło autora *Rotundy* (1928) powróciło do czytelników dzięki pieriestrojce w 1987 r.

# Jerzy Warchałowski i inni

ks. HENRYK PYKA

„Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekały. Doczekało się piąte pokolenie...” – tak pisał w roku 1918 powodowany głębokim wzruszeniem z odzyskania przez Polskę Niepodległości pierwszy premier Rządu Polskiego Jędrzej Moraczewski. Polski Lud Górnośląski na tę chwilę wzruszenia musiał czekać jeszcze niemal cztery lata. Praca pokoleń służąca odzyskaniu przestrzeni wolności, w której mógłby się wyrażać Duch Narodu miała wiele aspektów. Taką pracą, służącą zrozumieniu własnej tożsamości narodowej obserwuje się w polskich środowiskach na wielu polach od drugiej połowy XIX wieku. Wydany w roku 1857 pierwszy zeszyt wielotomowej edycji dzieł Oskara Kolberga uwypatnił bogactwo Ludu Polskiego, jego zwyczajów, sposobu życia, mowy, podań, przysłów, obrzędów, guseł, zabaw, pieśni, muzyki i tańców. Zeszyt 43 Oskara Kolberga poświęcony kulturze duchowej ludu śląskiego stawia wyraźnie jego dorobek obok zasłużonego dla górnośląskiej tradycji zbioru „Pieśni Ludu Śląskiego” wydanego w roku 1863 przez Juliusza Rogera, lekarza księcia raciborskiego Wilhelma. Obydwaj w różnym stopniu wyrosli w niemieckiej tradycji, ulegli jednak fascynacji polskim żywiołem narodowym i podjęli pracę nad opracowaniem jego przejawów. Poszukiwania służące wydobyciu naturalnych sił witalnych tkwiących w narodzie charakteryzują działalność Włodzimierza Matlakowskiego, Walerego Eliasza Radzikowskiego i Stanisława Witkiewicza w obrębie kultury materialnej Podhala. Były one przyczółkiem wspierającym zdefiniowanie „Stylu Narodowego”. Na poszukiwania te miało wpływ także zjawisko tzw. „chłopotanii” czy wreszcie patriotyzm. Witkiewicz i jego zwolennicy twierdzili, że typ architektury, jaki występował w regionie tatrzańskim, niegdyś stosowany był w całym kraju, ale został wyparty przez inne style. Witkiewicz głosił: *Mysimy znaleźli górala w przepyszej i ozdobnej chacie, otoczonego artyzmem, który przezierał się z każdego sprzętu, każdego szczegółu pospolitego użytku. Jego chałupa była skarbnicą kultury dawnej, przechowywanej przez ten lud.* To przekonanie spowodowało wyparcie z Zakopanego budowli typu szwajcarskiego i tyrolskiego, a nawet rozprzestrzenienie się projektów witkiewiczowskich willi zakopiańskich w innych częściach Polski. Przedwojenna zabudowa polskiego uzdrowiska w Truskawcach koło Drohobycza w dużej mierze inspirowana była „polskim stylem” willi witkiewiczowskiej. Dyskusję nad stylem narodowym podejmuje w Polsce wiele środowisk inteligentnych, głównie twórczych. Dyskusja ta trwa do wybuchu wojny roku 1939.

Jej osią jest z jednej strony intelektualna interpretacja tych zjawisk, które podjęły badania Kolberga, Matlakowskiego, Witkiewicza i innych. Z drugiej strony przejawia się w próbach przełożenia tej intelektualnej sfery w sferę praktyczną, a nawet użytkową. Powstały w roku 1888 roku w Anglii ruch artystyczny Arts and Crafts zrzeszający malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rzemieślników miał służyć tworzeniu sztuki użytkowej, służącej całemu społeczeństwu nie tracąc walorów estetycznych. Inspiracje docierające z odległego środowiska artystycznego na gruncie poszukiwań polskiego stylu narodowego ewoluowały w kolejnych stowarzyszeniach artystycznych, których celem było tworzenie i upowszechnianie wzornictwa artystycznego oraz promowanie sztuki stosowanej w oparciu o rodzimą tradycję historyczną i ludową. I tak w roku 1901 powstało Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana” przekształcone w roku 1913 w Warsztaty Krakowskie, a po rozwiązaniu Warsztatów w roku 1926 związana z Warszawą Spółdzielnia Artystów Plastyków „Ład” zatrudniająca profesorów warszawskiej ASP, takich jak Wojciech Jastrzębowski projektant wnętrza statków m/s „Batory” i „Piłsudski” i dawnych twórców Warsztatów Krakowskich, jak Zofia Stryjeńska. Tradycję tę po roku 1945 kontynuowała „Ceplia”. Chodziło o to by zarówno w przestrzeni publicznej, jak i prywatnych domach, było ładnie i ład panował, czyli porządek. Koryfeuszem tego ruchu artystycznego w jego kolejnych przekształcaniach był teoretyk i krytyk sztuki Jerzy Warchałowski (1874–1939). Zwornikiem działalności Jerzego Warchałowskiego był jego udział jako komisarza w organizacji Międzynarodowej Wystawy Nowoczesnych Sztuk Dekoracyjnych i Przemysłowych w Paryżu w roku 1925. Na tej wystawie (Exposition Internationale des Arts Décoratifs et Industriels Modernes) zrodziło się przed 95 laty polskie Art Déco. Nad Sekwaną w roku 1925 w przestrzeni odzyskanej przez Polskę niepodległości, której ekspozyturą był Salon Polski objawiła się siła i osobność polskiej kultury. Jerzy Warchałowski w trzy lata po zakończeniu tej wystawy pisał: „tam dopiero, nad brzegami Sekwany odzyskaliśmy naszą niepodległość artystyczną”. Odniesiony przez Polskę sukces był jednym z najbardziej spektakularnych wydarzeń dwudziestolecia i już wtedy uległ mitologizacji. Pierwszym pytaniem, pisał wówczas Mieczysław Treter, który do roku 1939 stał na czele Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych, jakie nasuwa się obcym zwiedzającym polskie wystawy, jest pytanie czy Polska ma swoją własną i odrębną sztukę. Pytanie „jak być nowocze-

snym” postawione w roku 1923 przez Stefana Żeromskiego w publikacji „Snobizm i Postęp” wynikało z obawy przed utratą odrębności – w przypadku Żeromskiego w literaturze – za cenę powielania zagranicznych wzorów odległych od rodzimego kontekstu i doświadczeń. Wypowiedź autora „Przedwiośnia”, uważanego za sumienie Narodu, jest przykładem tej dyskusji, jaka toczyła się w Polsce wokół zagadnienia „Stylu Narodowego”. Sztuka międzywojennej Polski odzwierciedlała jej możliwości i aspiracje w aspekcie artystycznym, gospodarczym, ale i politycznym, czego ilustracją jest międzywojenna zabudowa Katowic, zwłaszcza budowli publicznych jak Gmach Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Śląskie czy Katedra Katowicka. Budowle te w okresie międzywojnia, zwłaszcza budujące się Muzeum Śląskie, były tuż za nieodległą granicą komentowane w prasie niemieckiej. Sarkastyczne wypowiedzi prasy niemieckiej traktowały budowę Muzeum w Katowicach jako „Traum und Schaum”. Sen i piana – nigdy nie powstanie.

Jerzy Warchałowski pojawił się na Śląsku Cieszyńskim wkrótce po powstaniu w Krakowie Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana. W tym to czasie w polskiej literaturze etnograficznej pojawiła się Ziemia Cieszyńska. Stało się tak dzięki badaniom Bogumiła Hoffa (1829–1894), uważanego za odkrywcę Wisły jako uzdrowiska. Współpracował on z Oskarem Kolbergiem i dostarczał do gazet warszawskich artykuły prasowe. Dzielił się w nich swoimi osobistymi fascynacjami z wędrowek po wioskach Beskidu Śląskiego. Dzięki takim informacjom w Wisłę i Istebną zaczęli się pojawiać ludzie owładnięci ideałem „kształtu piękna codziennego”. Ich działalność miała duże znaczenie dla kultury narodowej i regionalnej. W 1903 roku Warchałowski w ścisłej współpracy z księdzem Londzinem, komisarzował z Bogdanem Hoffem wystawie ludoznawczej w Cieszynie. Dzięki szeroko zakrojonej akcji informacyjnej na wystawę napłynęły obiekty etnograficzne i zabytki sztuki religijnej. Włączając się w realizację tej wystawy Warchałowski spodziewał się że wzbogaci ona program krakowskiego „Towarzystwa” o nieznane dotychczas tematy i motywy. To, czego szukał na Śląsku Cieszyńskim, określił w roku 1905, pisząc w tekście do katalogu wystawy tkanin i ceramiki: „Z jednej więc strony indywidualny talent najbardziej uzdolnionych synów narodu, bez względu na to, czy będzie to wykształcony w szkołach i podróżach artysta, czy prymitywny, iskrą bożą natchniony ludowy twórca, z drugiej – ogólna suma ludzkiego dorobku, przekazane wiekami

tradycje, z głębi duszy ludowej wydobyty styl – oto dwie siły, które budują narodową sztukę, narodową odrębność”.

Takiego też „iskrą bożą natchnionego” twórcę, pochodzącego z ludu „znalazł” Warchałowski w Istebnej, a może w Cieszynie. Był to Jan Wałach, który w roku 1902 kończył cieszyńskie Gimnazjum Macierzy Szkolnej.

Warchałowski rozpoznał w Wałachu nieprzećniętą umiejętność rysunkową. Janek pochodzący z biednej istebniańskiej rodziny, wcielał funkcjonujący od ponad dwudziestu lat w polskiej literaturze – tym razem szczęśliwie zauważony przez „ludzi z dworu” – obraz Janka Muzykanta. Pokierowany dalej przez Warchałowskiego na dalsze kształcenie w Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, Wałach miał spełnić pokładane w nim nadzieje: wywodzący się z ludu artysta ma „wydobyć s t y l z głębi swej ludowej duszy”.

Unikatowym dokumentem więzi, jaka powstała po roku 1902 między zapowiadającym się artystą z Istebnej, a cenionym już wtedy krytykiem i animatorem sztuki jest zachowana w Muzeum Biograficznym Jana Wałacha korespondencja. Są to listy i kartki pocztowe pisane przez Warchałowskiego na różne adresy, pod którymi Wałach przebywał w okresie studiów w Krakowie, a potem w Paryżu, pobytu artysty na frontach I wojny światowej i do jego pracowni, którą ten niechętnie opuszczał. Warchałowski często tę pracownię odwiedzał bowiem w Wiśle na tzw. „grapie”, w dolnej części zbocza wiślańskiej Jarzębatej posiadał drewnianą willę „Kolyba”. Odwiedził tę pracownię mieszkaniec zameczku prezydenckiego w Wiśle Ignacy Mościcki, którego Wałach portretował. Bywali tu wiślańscy kuracjusze. Nabywali jego prace wspierając liczną rodzinę artysty; a i sam artysta posyłał swoje dzieci z drzeworytami do pensjonatów „by sobie państwo kupili”.

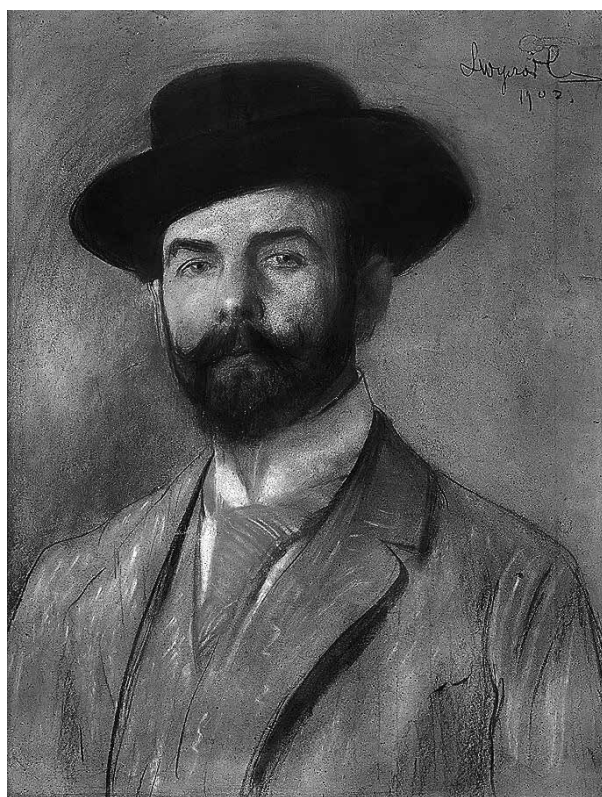
Z korespondencji Warchałowskiego do Wałacha, która trwała ponad trzydzieści lat, aż do jego śmierci w roku 1939, widać zainteresowany mecenat krytyka sprawowany nad artystą. Warchałowski załatwiał Wałachowi drobne sprawunki, kiedy ten przebywał na froncie. W późniejszym zwłaszcza okresie nie szczędził mu rad i krytyki. Ułatwiał mu kontakty ze środowiskiem artystycznym w Polsce i umożliwiał wyjazdy z Istebnej, w celu obejrzenia jakiejś ważnej wystawy. Wreszcie organizował pokazy jego sztuki i wpływał na jej kształt. Do końca swojego życia Warchałowski traktował Wałacha podobnie jak Zofię Stryjeńską, jako swoje „życiowe odkrycie”. W obydwu widział tę siłę, która niosła z sobą ducha kształtującego polski styl narodowy. Polska krytyka artystyczna poddała jednak próbie stosunek Warchałowskiego do sztuki Jana Wałacha. Tą próbą była wystawa artysty zorganizowana w roku 1934 przez Warchałowskiego pod patronatem Wojewody Śląskiego Michała Grażyńskiego w Kamienicy Ba-

ryczków na rynku staromiejskim w Warszawie. W perspektywie tego wydarzenia jako dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego w roku 2000 zorganizowałem artyście spod Złotego Gronia wystawę, którą w tym samym miejscu sam Wałach prezentował przed sześćdziesięciu sześciu laty. Zamykała ona cykl pokazów sztuki artysty które w 20-lecie jego śmierci pod egidą Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach odbyły się w sześciu miastach w Polsce i za granicą. Wystawom towarzyszył katalog.

Pokaz prac Wałacha w Kamienicy Baryczków w Warszawie w roku 2000 trudno porównywać z tą wystawą, którą zorganizował w roku 1934 Warchałowski. W roku 2000 sztuka Wałacha wielokrotnie oceniana przez krytykę nie budziła już emocji. Dzisiaj postrzegana jest jako dokument minionego wieku, tak jak wcześniejszej epoki obrazy Canaletta. Problem jak zawsze w sztuce dotyczy środków wyrazu.

Warchałowski spodziewał się, że wystawa Wałacha w Warszawie spowoduje równie duże zainteresowanie krytyki artystycznej, jak prezentacja przed dziesięciu laty w warszawskim salonie Czesława Garlińskiego sztuki Zofii Stryjeńskiej. Dlatego też prezentował go jako „niedostrzeżonego artystę”, z którego sztuki wydobywał się „taki czar, taki aromat, szło coś tak krystalicznie czystego”, zaś odrębność tej sztuki wynikała z jej bezpośredniego stosunku do natury. Ukazanie w Warszawie artysty, który tu, na Śląsku, zawsze mieszkał i prezentował swoim kunsztem polski styl narodowy, dostarczało dodatkowych, już poza artystycznych, politycznych argumentów, by wystawę Wałacha wesprzeć. Fundusz Kultury Narodowej i Sejm Śląski przyznał środki na wydanie albumu monograficznego poświęconego Wałachowi, co rozbudziło powszechną zazdrość śląskiego środowiska artystycznego. Na zaproszeniu do udziału w otwarciu wystawy, obok ministerwe Jadwigi Beckowej, przewodniczącej Komitetu Propagandy przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, znalazło się także nazwisko wojewody śląskiego, doktora Michała Grażyńskiego.

Oczekiwania względem sztuki Wałacha w środowisku warszawskim i jego porażkę, najlepiej określa komentarz Tytusa Czyżewskiego, formisty inspirującego się sztuką podhalańską, zamieszczony w dwa tygodnie po wystawie w Kurierze Polskim. Czyżewski urodzony pod Limanową pochodził także ze wsi. Był to jednak artysta,



Jerzy Warchałowski

który wsi nie malował, lecz szukał w folklorze wiejskim, beskidzko-podhalańskim inspiracji. Ów „destylat” ludowej ornamentyki rozprowadzał w formach przez siebie kształtowanych. Choć pochodził ze wsi należał do owych „ludzi miasta”, którzy „wnikają w lud jakimiś podświadomymi władzami duszy postokroć głębiej, rdzenniej, niż to może człowiek prosty”. Zofię Stryjeńską stawiał Czyżewski za przykład artysty miejskiej proweniencji, który genialnie interpretował w obrębie plastyki polską ludowość. Dlatego zachęcony przez Warchałowskiego „krystalicznie czystą” sztuką Wałacha po obejrzeniu jego wystawy pisał: Byłem pewny, że w dalekich górach śląskich „wyłowiono” jakiegoś samouka, cichego i skromnego artystę, „świątkarza”, który z pietetnym rzeźbi swych przydrożnych „cierpieliwych” Chrystusów lub maluje na szkłe i drzewie Madonny pełne wielkiego surowego wyrazu i stylu. Ten śląski góral jest już zbyt zakademizowany po europejsku, aby mógł być sobą, to jest najwinnym artystą ludowym”.

Po zapowiedziach Warchałowskiego, który przyczynił się do wielkiego sukcesu sztuki polskiej na Wystawie Sztuki Dekoratywnej w Paryżu w roku 1925, spodziewano się artysty pokroju Szczepkowskiego, czy Stryjeńskiej. Mieczysław Walis napisał: „Warchałowski położył wielkie zasługi dla rozwoju polskiej sztuki dekoracyjnej, torował drogę piórem i słowem artystom tej miary co Stryjeńska lub Szczepkowski: wybacmy jego pomyłkę, co do Wałacha”. Czy wystawa Wałacha w Warszawie była także porażką Warchałowskiego, skoro był wierny istebniańskiemu artyście aż do swojej śmierci?...

# Wokół *Doliny Bogów* – zapiski z izolacji

ANITA SKWARA

Premierę, która się (wtedy) nie odbyła zaplanowano na 23 marca 2020... Na galowy, śląski pokaz „Doliny Bogów” – najnowszego filmu Lecha Majewskiego – złożyłyby się kolejne z wielu podróży – najpierw pomyślanych, następnie przedsięwziętych i wreszcie zrealizowanych w różnych miejscach, kontekstach i okolicznościach przez wiele osób, których obecność i działanie sprawiły, że film zaistniał w swojej ostatecznej, ekranowej postaci.

W katowickim kinie „Kosmos” (nazwa nadana została w latach 60. na fali powszechnej, światowej fascynacji podróżami kosmicznymi) na scenie sali „Nostramo” pojawić się mieli między innymi zagraniczni odtwórcy ról, zaproszeni do Polski na cykl premierowych pokazów filmu. Przede wszystkim miał się pojawić reżyser. Jego obecność byłaby efektem „zatrzymania się” (czyli chwilowego zaniechania wszelkiej podróży przez będącego w nieustannym ruchu Lecha Majewskiego), który w oczekiwaniu na wydarzenie pozostał na czas jakiś w swoim katowickim mieszkaniu. Dywagując – na pewno byłby problem ze zdobyciem biletów, zaproszeń, chętnych do obejrzenia, a dokładniej – przeżycia filmu w obecności twórców, byłoby zdecydowanie więcej niż miejsc w kinowej sali. Możliwość wypełnienia zbio-

rowego rytuału, jakim jest zobaczenie po raz pierwszy” karmi odbiorcę emocjami, które właściwe są dla „auratycznego” kontaktu ze sztuką. Aktor na scenie, na tle ekranu i własnego, filmowego wizerunku... Obraz filmowy, (czyli to, jak chce antropologia filmu – „z czego jestem wykluczona”) w konfrontacji z ciałem i głosem aktora, który spotykając się z publicznością na żywo, w cudowny sposób reprezentuje tę szczególną podwójność własnej egzystencji. Magia kina w stanie czystym. Reżyser, autor zdjęć, scenograf – na scenie – z anonimowego dla widza i tajemniczego filmowego planu przeniesieni w przestrzeń bezpośredniej rozmowy, otwarci na pytania. „Podszywka kina” demonstrująca swoją wyjątkową materię. Tak dzieje się zawsze, tak dzieje się powszednio – z racji specyfiki wydarzenia. Sytuacja gęstnieje, emocje rosną, jeśli film wyprzedzony jest przez swoją a priori ukonstytuowaną legendę. W przypadku „Doliny Bogów” założenie jest jak najbardziej prawomocne, jeśli wziąć pod uwagę temat i twórczą omnipotencję autora. Film, o którym tak wielu już mówiło zanim ktokolwiek go zobaczył, „opakowany” jest przede wszystkim w dwa hasła – „Indianie Navajo” i „John Malkovich”... Sensacyjne, pomimo że przyzwyczailiśmy się do tego, iż twórca „Młyna

i krzyża” idzie tam, gdzie chce i pracuje z tym, z kim zechce.

Z rozbudzoną wyobraźnią, ciekawością, gotowi do odbiorczego ułożenia się w tym ekranowym uniwersum (Wim Wenders – „Mieszkamy w filmach jak w domach”) planowaliśmy ów wieczór 23 marca w kinie „Kosmos”... Wszelkie temu podobne plany, projekty, oczekiwania, uległy jednak zawieszeniu i przyszpileniu. Jak w dziecięcej zabawie w Znie-ruchomiałe Figury stanęliśmy w miejscu (zamrozeni przez sytuację bez precedensu – w jej skali i nieprzewidywalności). Miałam prowadzić tę premierę – w nowych okolicznościach, zamiast przygotowań do rozmowy z twórcami, wyruszyłam w mentalną wędrówkę tropem kulturowych śladów, obecnych w tym terytorium artystycznym. Na przekór klaustrofobii pandemicznej wiosny, ślady powiodły mnie w bezkres i nieskończony horyzont, jaki otwierają

## Filmowe pustynie Lecha Majewskiego

Dlaczego wybieram akurat ten kierunek? Mając do dyspozycji obezwładniające bogactwem i różnorodnością wielopoziomowe, gęste od znaków „opisanie świata” tworzone przez artystę – iluminatora, który z równą swobodą korzysta z monumentalnego dziedzictwa światowej kultury i sztuki, jak i z naukowego paradygmatu myślenia? Bo w sytuacji tak szczególnej, jakim stało się globalne i powszechne doświadczenie „Tego Samego” warto sięgnąć po odniesienia najbardziej uniwersalne, czytelne i ponadczasowe. Warto po prostu „udać się na pustynię”, która stanowić może ów punkt, z którego wszelka materia wychodzi, jak również ten, do którego finalnie dociera. Początek i koniec. Trzy filmowe obrazy: „Rycerz” (1980), „Ewangelia według Harry’ego” („Gospel According to Harry” 1992) i „Dolina Bogów” (2019). Eksterytorialne względem siebie jako historie, połączone w komplementarną całość tą niezwyklej nicią artystycznej intuicji, która oplata twórczość autora „Młyna i krzyża”. Nie ma tu przypadku, jest konsekwencja, antycypacja, gra odbić, przytoczeń i powtórzeń, które stają się znakami. Trzy filmy – trzy artykulacje pustyni. Dwie pierwsze – w debiutanckim „Rycerzu” i w amerykańskiej „Ewangelii...” być może ułatwią nam wędrówkę przez tę ostatnią, która hipnotyzuje odbiorcę „Doliny Bogów”.

Fabularny debiut Lecha Majewskiego to



John Malkovich, *Dolina Bogów*, reż. Lech Majewski





Monument Valley. Fot. Taewangkorea

ekranowy epos, którego kształt formalny jest efektem translacji na język kina formuły średniowiecznego poematu i ducha malarstwa wczesnego renesansu, zaś treści wyrastają z baśni Słowian i Bałtów. *Głównymi bohaterami atmosfery tego filmu* – jak czytamy w odautorskim opisie – są: *morze, wiatr, lasy, ogień, noc, przestrożenie*. I pustynia... Topos przestrzenny, którego siła kulturowego oddziaływania jest mocno uwarunkowana przez geografę, w polskich realiach ma znaczenie marginalne. W metafizycznym „pejzażu uwewnętrznionym”, unaocznionym przez „Rycerza” oniryczna, a zarazem fizycznie namacalna przestrzeń poświadczonych piasków wydmowej pustyni w okolicach Łeby znakomicie dopełnia, przydaje dodatkową, fizycznie odczuwalną jakość słowiańskiemu mitowi, uniwersalizuje go, wstawiając obraz pustyni – jako „znak obecny od stworzenia świata”. Wraz z bohaterem filmu, tytułowym rycerzem poszukującym złotostrunnej harfy, wtulamy się w prologu filmu w pustynny piasek, będący tutaj macierzą, posłaniem dla prenatalnego snu, z którego budzimy się „do świata”.

Doświadczenie artystyczne tej szczególnej lokacji filmowej musiało być dla

Lecha Majewskiego szczególnie intensywne, skoro mając do dyspozycji jeśli nie „wszystkie pustynie świata”, to na pewno „wszystkie pustynie Ameryki” w dwanaście lat później wraca nad Bałtyk – z amerykańską ekipą filmową, z Vigo Mortensenem (w jednej z głównych ról), aby zrealizować paraboliczną przypowieść w kształcie „biblijnej soap opery” (jak chce jeden z komentatorów jego twórczości):

*Pustynia. dzień. Postrzępiony łańcuch górski rozpościera się na horyzoncie. Schodzony dywan pokrywa piasek. Na środku parę foteli i stolik do kawy. Łóżko, lodówka, kuchenka ze zlewem i piekarnikiem. Wysmukła lampa stojąca. Wieszak pełen płaszczy. Na pustyni wieje wiatr. Tumany piasku zasypują meble. Ponad pokojem bez ścian wstaje świt. Światło przebija się przez sine niebo*. (Lech Majewski: *Scenariusze*, tom 1)

*Pustynia: świetlista, zastygła siatka ludzkiej inteligencji (...) pustynia jest formą tak wysublimowaną, że oddala nas radykalnie od życia społecznego, sentymentalizmu, seksualności. Na pustyni każde słowo, choćby najbardziej oszczędne, jest zawsze zbędne* (Jean Baudrillard: „Ameryka”)

Francuski wizjoner, wrzucony w konstelację symulaków Nowego Świata, przemierza samochodem 10 000 mil przez amerykańskie bezdroża i pustynie odnajdując „materiał do rozmyślań” o życiu społecznym i kulturowym tego kraju w analizie owej formy pustynnej, którą traktuje jako najbardziej aplikatywną metaforę fenomenu Ameryki. Lech Majewski, po kilkunastu latach spędzonych w USA, w symbolicznej formule filmowego moralitetu, którego jedyną lokacją jest pejzaż pustyni, unaocznia swoje myślenie o Ameryce doby postreagowania, wychylone w stronę refleksji nad kondycją kultury w wymiarze uniwersalnym. Poszukując pleneru idealnego odrzuca jednak nieskończenie bogaty rejestr przestrzeni amerykańskich – pustynie w Nevadzie, Teksasie, Arizonie, koło Mojave i sięga po tę (skromną terytorialnie), ale najbardziej funkcjonalną wobec autorskiego zamysłu zaledwie „ideę”, czy „reprezentację” formy pustynnej, jaką stanowią rozległe nadbałtyckie wydmy, na których realizował „Rycerza”. Artykulacja tej samej przestrzeni jest tu jednakże krańcowo odmienna. Pustynia jako początek i punkt wyjścia, jako przestrzeń przebudzenia, tu w „opo-

wieści amerykańskiej” zyskuje wartość ujemną – jako ziemia „ostatnia”, jałowa, zamieszkała przez nomadów o pustych spojrzaniach, grzędnących w migoczących monitorach telewizorów.

### Oczami Indian Navajo...

Przestrzeń pustyni twórczo przepracowana, po raz trzeci uderza – z siłą pustynnej burzy – w „Dolinie Bogów”. W autorskim, autotematycznym zapętleniu toposów, idei artystycznych i motywów, reżyser w pewnym sensie powraca i lokuje swój filmowy palimpsest w terytorium, które przemierzał w poszukiwaniu świata przedstawionego dla „Ewangelii”...

*Cały kraj navajo: długa równina prowadząca w stronę Wielkiego Kanionu: wysokie, skaliste wybrzeża poprzedzające Monument Valley; przepaście Green River (...), cała ta kraina jaśnieje magiczną obecnością, która nie ma nic wspólnego z naturą. To jasne, że Indianie potrzebowali swojej magii (...)by obłaskawić tak wielką teoretyczną potęgę geologicznego i niebiańskiego wydarzenia pustyni, aby żyć na miarę takiej dekoracji. Kim jest człowiek, jeśli znaki poprzedzające człowieka posiadają taką siłę?* (podkreślenie moje – A.S.) (Jean Baudrillard: „Ameryka”)

Ta ziemia – mówi Lech Majewski – to świat, który ma za sobą dopiero pięć dni istnienia. Bóg jeszcze nie zakończył tutaj aktu kreacji. Wszystko jest w akcie stawiania się i formowania. Nie jest ani gotowe, ani domknięte. Czy można było dokonać trafniejszego wyboru uniwersum przestrzennego dla wielostopniowej historii, w której skonfrontowane zostają ze sobą dwie mitologie, z których jedna traktuje o narodzinach świata wartości, a druga o jego rozpadzie? System antropomorficznych wierzeń, uwznioślających naturę (jak mit o Ullikummi – rosnącej skale o ludzkich kształtach) i samozwrotna, autodestrukcyjna mitologia skrajnego konsumpcjonizmu... Najbogatszy człowiek na Ziemi (Wes Tauros upostaciowany przez Johna Malkowicha), młody pisarz, któremu zaofiarowano status narratora – oczywiście w granicach tego, co w tej nasyconej wizualnością historii podaje się werbalizacji (Josh Hartnett jako Isac Ecas) i ONI – Indianie Navajo, w prajedni ze swoją ziemią, językiem i kulturą. „Wciąż jesteście tutaj” – brzmi sentencja napisana w języku Navajo, umieszczona nad wejściem do muzeum ich kultury. *Po raz pierwszy trafiłem do ich świata 30 lat temu – mówi Lech Majewski – Kiedy wszedłem do baru „Mustang” i zamówiłem coś do picia – softdrinka oczywiście, bo w rezerwacie była prohibicja, na widok obcego nikt z obecnych nie wykonał najmniejszego gestu. Skamienieli po prostu, nawet nie strzepując popiołu papierosów, gdy parzył im palce. Obcy z czasem stał się jednak „swoim”, stał się słuchaczem i świadkiem dopuszczonym do tajemni-*

cy, do tego, co zakryte. „Dolina Bogów” jest świadectwem ROZMOWY, współodczuwania i porozumienia z „wędrowcami” (w ich języku – „navajo” znaczy wędrowiec), przemierzającymi od wieków nieskończone uniwersum własnej mitologii, przykrojonej na miarę tego pustynnego objawienia, w którym przyszło im istnieć. Pozorna statyczność nieruchomego krajobrazu znajduje swoją antynomię w języku i kulturowym idiomie tej niezwykle wspólnoty. Navajowie – genialni szyfranci podczas II wojny kodujący amerykańskie komunikaty, wykorzystywali szczególność swojego języka, wyjątkowego chociażby dzięki strukturze czasownikowej – rzeczowników (obiektów do nazwania?) i przymiotników (jakości do zdefiniowania?) daleko tu mniej niż w językach indoeuropejskich. Mowa, jej części, są ruchem, dzianiem się – w najgłębszej adekwatności wobec wiary, że góra też wędruje. (Lech Majewski: *Szaman, przystępując do obrzędu, kołkami przysypła górę u jej podstawy, żeby nie uciekła...*). Jest w tej kulturze coś głęboko prefilmowego, predyspozycja do otwarcia się magię i potencjał filmowego obrazu... *Oczami Navajo (Through Navajo Eyes 1972 – autorzy: Sol Worth, John Adair)* to fascynujące studium z antropologii wizualnej podsumowujące ten moment, gdy po raz pierwszy w swojej plemiennych historii członkowie plemienia dostali do rąk kamery filmowe. Najbardziej szokująca była ich niezwykła, naturalna biegłość w montowaniu zarejestrowanego materiału, kojarzeniu i konstruowaniu wizji. Cóż, biorąc pod uwagę zasadę organizującą ich wierzenia, montaż najbardziej surrealistycznych skojarzeń jest możliwy. (Lech Majewski: *Według Navajo niebo było skalą. Sokół uczepił się jej dna i wykuwał szczelinę dopóki nie przeszły przez nią niebieskie mrówki, które zstąpiły na ziemię – jako pierwsi ludzie...*)

„Wciąż tu jesteście” – mówią bezgłośnie patrząc w obiektyw kamery, którą rozmawia z nimi autor „Doliny Bogów”. Według zamysłu scenariuszowego potężna korporacja Vesa Taurosa chce wykupić ich świętą ziemię pod eksploatację złóż uranu, więc świat może zatrzęść się w posadach, góry – rozpieczętną w popłochu, a niebo – stopić się z pustynią. Chyba, że nadejdzie mściciel?

Nadszedł 2020 rok i pojawił się niespodziewany, nieuchwytny, potężny agresor. Naród Navajo, jak ongiś Majowie dziesiątkowani przez przywleczone z Europy zarazy, pogrąża się w kryzysie biologicznym i kulturowym. Pustynia (z brakiem bieżącej wody i limitowanym dostępem do świeżej, wartościowej żywności) staje się pułapką, rodzinna wspólnota – zagrożeniem, starsze pokolenie hołubiące język, mitologię i kulturę, narażone jest na przedwczesne odcho-dzenie. Ten niepożądany kontekst sta-

je się pryzmatem, który w chwili obecnej nadaje filmowi Majewskiego kolejny poziom artykulacji...

### Post Scriptum (w stanie przyszpilenia)

W 1790 roku Xavier de Maistre, 27 letni wówczas francuski arystokrata, wojskowy i pisarz został za nielegalny pojedynek skazany na 42 dni aresztu domowego, który miał odbyć w niezbyt rozległych wnętrzach swojej kwatery w Turynie. W głowie de Maistre’a powstała szczególna idea – stworzenia swoistego „anty-bedekera” – dziennika podróży po własnym pokoju. Zapewne sam akt pisania był swego rodzaju gestem terapeutycznym w sytuacji przymusowego unieruchomienia w przestrzeni tak, wydawałoby się, jałowej pod względem możliwości jej eksploracji. Powstał jednak intrygujący (do dnia dzisiejszego) zapis inspirujących mentalnych „podróży” odbywanych pomiędzy klifami narożników pokoju, wyspą stołu, przyłaskiem sofy, pasmem górskim szafy... Wyglądanie przez okna pokoju przynosiło wrażenia w temperaturze opisu równe tym, jaki daje niekończąca się podróż pociągiem mknącym przez obce krainy. *Dziennik z podróży wokół mojego pokoju (A Journey Around My Room)* to klasyczny od dwóch stuleci memuar, poważany i komentowany przez Nietzschego, Machado de Assisa, Susan Sontag. Fizyczna izolacja i uwięzienie jako asumpt do przedsięwzięcia ukoronowanej pisarskim sukcesem wędrowki byłyby więc subtelnym zakwestionowaniem Pascalowskiej myśli, iż problemy ludzkości wynikają z faktu, że człowiek nie potrafi być szczęśliwy siedząc samotnie w swoim pokoju?

Lech Majewski i jego *Pokój saren* – najpierw jako młodzieńczy wiersz, następnie jako *autobiograficzna opera w 4 aktach* i wideo-art – też jest zamkniętą w czterech ciasnych ścianach nieograniczoną niczym, prócz wyobraźni, podróżą. Jest układem rozkwitania, jak inicjalna metafora, z której może rozwinąć się poemat. Wszystkie znaki i wszystkie pustynie drzemią tutaj. Wystarczy otworzyć oczy.

*W najdalszym pokoju  
Naszego mieszkania  
Pasą się sarny*

*Wilgotne oczy saren  
Rosną  
W zetknięciu z mrokiem*

*Rosną meble  
Każdej nocy  
Ogryzane smukłymi zębami  
(Lech Majewski)*

*Serdecznie dziękuję Domino Film (producent wykonawczy) i Galapagos Films (dystrybucja) za udostępnienie fotosów z filmu „Dolina Bogów” na użytek mojego artykułu. ■*



*John Malkovich, Dolina Bogów, reż. Lech Majewski*



*Steven Skyler, Joe Runningfox, Dolina Bogów, reż. Lech Majewski*



*Josh Hartnett, Jaime Ray Newman, Dolina Bogów, reż. Lech Majewski*



*Joe Runningfox, Dolina Bogów, reż. Lech Majewski*

# Autonomia województwa śląskiego – impuls postępu czy hamulec rozwoju?

LECH KRZYŻANOWSKI

Zdawać się może, iż na temat statutu organicznego województwa śląskiego oraz o autonomii górnośląskiej, będącej jego konsekwencją, napisano wszystko. Analizy prawne publikowano już w okresie międzywojennym, ze wzmoczoną siłą temat ten powrócił na łamy pism naukowych i popularnych po przełomie 1989 r. Jak to jednak często bywa z zagadnieniami mieszczącymi się w swobodnym *mainstreamie*, niektóre wątki powtarzane są po wielokroć, gdy inne, nie mniej ważne, przypominane bywają rzadko bądź wcale. Już sama porządkująca glosa, od której wypada rozpocząć, należy do tej drugiej kategorii. Właściwie dlaczego w 2020 r. upamiętniamy stulecie autonomii na Górnym Śląsku? Odpowiedź jedynie pozornie jest oczywista. Przed wiekami, 15 lipca 1920 r., Sejm w Warszawie uchwalił ustawę konstytucyjną zawierającą statut organiczny Województwa Śląskiego. Jednak przez kolejne dwa lata ustawa ta pozostawała teoretyczną zaledwie konstrukcją prawną, której użyć się nie dało skoro na mapie II Rzeczypospolitej brakowało województwa śląskiego. Do jego utworzenia potrzebne było jeszcze ostateczne wyznaczenie polsko-niemieckiej granicy na Górnym Śląsku (w październiku 1921 r.), podpisanie górnośląskiej konwencji genewskiej (15 maja 1922 r.), a wreszcie fizyczne objęcie przyznanych Polsce i Niemcom części dawnego terenu plebiscytowego. To ostatnie odbywało się etapami w czerwcu i lipcu 1922 r. Dopiero wtedy mogły udowodnić swój praktyczny sens poszczególne przepisy statutu organicznego. Czy nie byłoby lepszym rozwiązaniem upamiętnianie początku obowiązywania autonomii śląskiej, a nie jej formalnego uchwalenia? To tylko pierwsza z brzegu wątpliwość. Wcale niejedyna i nie najważniejsza.

Kolejna dotyczy genezy opisywanego aktu prawnego. Niemal zawsze sięga się przy tej okazji do specyficznej sytuacji społeczno-narodowej, istniejącej na Górnym Śląsku w przededniu plebiscytu. Najkrócej mówiąc, polegała ona na tym, że oprócz zdeklarowanych Polaków i Niemców, o głosy których nie warto było się starać gdyż poglądy tych ludzi były silne i stabilne, istniała na Górnym Śląsku ogromna (przez Wojciecha Korfanteo szacowana na 30%) grupa mieszkańców z nieskrystalizowaną opcją narodową. Oba zwalczające się komisariaty plebiscytowe starały się waha-

jących przeciągnąć na swoją stronę. Zachętą miała być właśnie obietnica odrębności prawnej. W efekcie Niemcy przekształcili rejęncję opolską w prowincję górnośląską, strona polska odpowiedziała statutem organicznym. W Korfanty oczywiście miał rację zarówno co do obecności na Górnym Śląsku osób labilnych narodowo, jak i ich liczebności. Dodajmy jednak, że wachlarz postaw narodowych tych ludzi był bardzo zróżnicowany. Byli w tym gronie ci, co swą narodowość określali mianem górnośląskiej, ale i cyniczni koniunkturaliści zainteresowani jedynie przywilejami oferowanymi przez każdą ze stron. Członków tej ostatniej grupy w okresie międzywojennym wzgardliwie nazywano *chacharami*. Jednocześnie, niemałą część labilnych stanowiły osoby, którym choćby przez język ojczysty bliżej było ku polskości, tyle, że bali się jej jak czegoś nieznanego, nieprzewidywalnego. Polska – *terra incognita* – nie była więc oczywistym wyborem przy urnie. Śmiem twierdzić, że wysunięta przez Polski Komisariat Plebiscytowy obietnica autonomii skierowana była przede wszystkim do nich. Nie do świadomych swej narodowości polskich i niemieckich Górnoślązaków bo, jak się rzekło, ich postawa podczas plebiscytu była przesądzona. Również nie do zupełnie obojętnych narodowo. Pamiętamy, że propozycja autonomii była przysłowiową wędką, a nie rybą. Nie oferowała bezpośrednich korzyści, a tylko stwarzała warunki by po nie sięgnąć. Dla koniunkturalistów było to mało atrakcyjne. Oni chcieli konkretów, czegoś na kształt „krowy Korfanteo”, a nie mglistych perspektyw poszerzenia samorządności. Jedyną grupą, którą statut organiczny mógł przekonać byli propolsko nastawieni Górnoślązacy, ale o postawie zachowawczej, niechętni radykalnym zmianom.

Być może, jak chcą niektórzy badacze, łączenie genezy statutu organicznego wyłącznie z sytuacją przedplebiscytową na Górnym Śląsku jest zbyt uproszczeniem, a na problem spojrzeć trzeba z szerszej perspektywy, obejmującej całą dzielnicę pruską. Wszędzie tam bowiem ujawniła się skłonność do prawnego separatyzmu. Wielkopolanie np., bez wątplenia chcąc połączenia z II Rzeczypospolitą, żądali jednak dla siebie osobnego ministerstwa (byłej Dzielnicy Pruskiej) oraz granicy celnej. Ich życzenie zostało spełnione. A może autonomiczne predylekcje Górnoślązaków wpi-

wały się po prostu w szeroki nurt potrzeb Polaków z dzielnicy pruskiej, nie świadcząc bynajmniej o specyficznych wymaganiach mieszkańców terenu plebiscytowego? Nie odrzucając tej hipotezy, trudno przy pomocy takiego argumentu wytłumaczyć odmienną reakcję na stopniowe likwidowanie wymienionych odrębności prawnych. Rozwiązanie, w kwietniu 1922 r., Ministerstwa byłej Dzielnicy Pruskiej, a 1 lipca 1919 r. granicy celnej nie wiązało się z jakimikolwiek protestami, gdy tymczasem każda zapowiedź ograniczenia autonomii górnośląskiej kwitowana była głośnym sprzeciwem.

Zagadnieniem dyskusyjnym pozostaje także to, czy Górnoślązacy chcieli autonomii na dziesięciolecie, czy raczej bliższa ich sercu była wizja chwilowego rozwiązania, takiego na wzór Wielkopolski. Z pewnością miejscowi Niemcy byli zainteresowani jak najdłuższym trwaniem statutu organicznego. Autonomia stwarzała im dodatkowe gwarancje, niezależnie od tego, że z uwagi na demografię nie mieli szans na uzyskanie większości w Sejmie Śląskim. Nawet ewentualne rozbitcie polityczne polskich głosów nie budowało pomyślniejszych perspektyw, bo przecież i sami Niemcy długo nie tworzyli jednolitego obozu wyborczego. Ważniejsza jest jednak analiza opinii środowisk polskich na temat trwałości górnośląskiej autonomii. Obiegowa opinia sugeruje, że Górnoślązacy-Polacy utracili autonomii absolutnie nie chcieli. Czy jednak na pewno? I, czy takiego zdania byli już w 1922 r., czy może dopiero z biegiem czasu upowszechnił się ów sąd? Prawo stawiania takich pytań płynie z wiedzy o statusie społecznym „gospodarza” i „gościa” w różnych państwach. Nie jest to wiedza dostępna jedynie współczesnemu pokoleniu. Posiadali ją także mieszkańcy międzywojennego województwa śląskiego. Doskonale wiedzieli, że Polacy w II Rzeczypospolitej nie potrzebują żadnych nadzwyczajnych ustaw. Są u siebie, dysponują pełnią praw, a te wynikają z konstytucji. Dodatkowe gwarancje niezbędne są za to obywatelom drugiej kategorii, np. mniejszościom narodowym. To dla nich wymyślono choćby tzw. mały traktat wersalski. Paradoksalnie, nadanie Górnoślązakom szczególnych przywilejów wynikających z osobnego ustawodawstwa, wcale nie wzmacniało ich pozycji lecz przeciwnie, groziło zdegradowaniem do wspomnianej dru-

giej kategorii obywatelskiej. Kategorii rzecz jasna nieoficjalnej, ale mogącej mocno utrudnić życie. Nikt lepiej nie wiedział od Górnoszlązaków-Polaków, znających na wylot warunki egzystencji w państwie pruskim, jak dotkliwe są skutki znalezienia się w grupie narodowo „niepewnych”. Nawet jeśli żaden konkretny akt prawny nie dyskryminował z tego powodu, to już praktyka blokowania dostępu do państwowych posad przekonywała, że należy unikać podobnych etykiet. Ci, którzy za Polską oddali głos w plebiscycie zrobili to, aby wspomnianą przypadłość usunąć, a nie ją pielęgnować. Tymczasem statut organiczny, siłą rzeczy zyskał taki ochronny charakter. Skoro np. w art. 33 ust. 3 (wprowadzonym 8 marca 1921 r.) miejscowym zagwarantowano pierwszeństwo w dostępie do pracy w urzędach województwa śląskiego, to z racji faworyzowania ich w rodzinnych stronach, zminimalizowano szanse Górnoszlązaków na zatrudnienie gdzie indziej.

Pragnienia tymczasowej tylko autonomii dowodzić może również zastanawiająca opieszałość w pracy nad ustawą o wewnętrznym ustroju Województwa Śląskiego. Istnienie takiego aktu prawnego, nie przez przypadek określanego mianem „konstytucji śląskiej”, zostało zapowiedziane w art. 14 i 15 statutu organicznego. Jego fundamentalne znaczenie miało wynikać z regulowanej materii, w skład której wchodziła ordynacja wyborcza do Sejmu Śląskiego, sposób uchwalania i ogłaszania ustaw śląskich, tryb organizowania referendum ludowego, relacje między Sejmem Śląskim, a Śląską Radą Wojewódzką itp. Bez rozstrzygnięcia tych kwestii funkcjonowanie autonomicznego województwa stało się problematyczne. Przy tym nie były to sprawy kontrowersyjne, zatem ich ukształtowanie nie wiązało się ze wzrostem antagonizmu politycznego lub narodowościowego. Zwłoka w uchwalaniu „konstytucji śląskiej” dziwiła obserwatorów życia politycznego także poza Górnym Śląskiem. W 1924 r., na łamach „Gazety Sądowej Warszawskiej” przekonywająco wyjaśniono, jak poważne komplikacje prawne wynikają z braku podstawowej dla autonomii ustawy. Rozważania kończyła jednoznaczna konkluzja: „Jest tedy rzeczą nieodzowną, by dla zapobieżenia dalszemu chaosowi wydano jak najprędzej ustawę o wewnętrznym ustroju Województwa Śląskiego, ulegalizowano z mocą wsteczną przepisy dotychczas nieważnie wydane i nie stawiano sądów wobec konieczności odrzucenia ustaw śląskich jako nieobowiązujących”. A jednak, nie tylko wówczas, ale w ciągu całego okresu międzywojennego ustawa o ustroju wewnętrznym województwa śląskiego nie powstała. I na dobrą sprawę nie wiadomo dlaczego. Sugestia zatem, iż uczyniono tak w przekonaniu o tymczasowym charakterze statutu organicznego jest równie dobrym wyjaśnieniem, jak każde inne.

W refleksji nad (istniejącą lub nieistniejącą) potrzebą zachowania autonomii górnośląskiej w dłuższym przedziale czasu, musi się także pojawić pytanie o sposób korzystania z otrzymanych uprawnień. Autonomia

## 497.

## USTAWA KONSTYTUCYJNA

z dnia 15 lipca 1920 r.

zawierająca statut organiczny Województwa Śląskiego.

Lk. 53/27 p. 468.

## I. Przepisy ogólne.

**Art. 1.** Województwo Śląskie będzie obejmowało wszystkie ziemie śląskie przyznane Polsce, czy to ze Śląska Cieszyńskiego, czy też na mocy art. 88 Traktatu Wersalskiego z Niemcami z 28 czerwca 1919 r. (Dz. Ustaw z 26 kwietnia 1920 r. № 35 poz. 200).

Województwo Śląskie będzie nieodłączną częścią składową Rzeczypospolitej Polskiej i będzie posiadało prawa samorządne stosownie do przepisów niniejszego statutu organicznego.

**Art. 2.** Dotychczasowe prawa i rozporządzenia, obowiązujące w dniu wejścia w życie niniejszego statutu w granicach Śląska, pozostają w mocy nadal, o ile nie zostaną zmienione zgodnie z przepisami tego statutu.

**Art. 3.** Wszyscy mieszkańcy Województwa Śląskiego, posiadający prawa obywatelstwa Rzeczypospolitej Polskiej, są równouprawnieni, a wszelkie prawa wyjątkowe zostają zniesione z chwilą wejścia w życie niniejszego statutu.

## II. Kompetencja ustawodawstwa i samorządu śląskiego

**Art. 4.** Dla ustawodawstwa Sejmu Śląskiego są zastrzeżone sprawy następujące:

- 1) ustawodawstwo o używaniu języka polskiego i niemieckiego w służbie zewnętrznej wszelkich cywilnych władz i urzędów na obszarze Śląska,
- 2) ustawodawstwo o ustroju śląskich władz administracyjnych i o samorządzie powiatowym i gminnym, tudzież podział administracyjny Śląska,
- 3) ustawodawstwo sanitarne w zakresie higieny publicznej i samorządowych urzędów sanitarnych z wyjątkiem przepisów o zwalczaniu chorób zaraźliwych i zaraz zwierzęcych,
- 4) ustawodawstwo o organizacji sił policyjnych i żandarmerji,
- 5) ustawodawstwo o policji budowlanej, ogniowej, drogowej i o utrzymaniu dróg lądowych,
- 6) ustawodawstwo w zakresie szkolnictwa ogólnokształcącego oraz zawodowego wszelkich typów i stopni,
- 7) ustawodawstwo w sprawach wyznaniowych z wykluczeniem spraw kościelnych, wchodzących w zakres polityki zagranicznej (Concordat),
- 8) ustawodawstwo o zaopatrzeniu ubogich i o zwalczaniu żebractwa i włóczęgostwa,
- 9) ustawodawstwo we wszystkich sprawach, których przedmiotem jest ustawowa organizacja zawodowa rolnicza, organizacja kredytu rolniczego, komasacja gruntów, wytwórczość rolnicza i leśna oraz uprawianie i używanie przeznaczonych na nie obszarów, jako to: leśnictwo, polowanie, rybactwo, chów bydła, ochrona pól (policja polowa) i zarządzenia celem tępienia szkodników rolnych i leśnych,
- 10) ustawodawstwo o melioracjach rolnych,

miała swój sens jedynie pod warunkiem częstego i regularnego uchwalania przepisów odmiennych od ogólnopolskich. Gdyby miało być inaczej, do niczego nie byłaby potrzebna. Tymczasem zestawienie aktywności katowickiego parlamentu, dokonane przez częstochowski historyk dr. Witolda Marconia prowadzi do wniosku, iż chętniej przyjmowano ustawy obowiązujące w pozostałej części Polski niż proponowano własne. Przypomnijmy, że przepisy statutu organicznego pozwalały Sejmowi Śląskiemu, w zakresie spraw oddanych jego kompetencjom, postępować w trojaki sposób. Miejscowy parlament mógł mianowicie albo akceptować w danej dziedzinie ustawy ogólnopolskie, forsować własne projekty, względnie nie podejmować żadnej aktywności. W tym ostatnim przypadku w użyciu pozostawały dotychczasowe przepisy, tj. pruskie w części górnośląskiej i austriackie

w części cieszyńskiej. Gdyby działalność Sejmu Śląskiego sprowadzić do czysto arytmetycznych wyliczeń należałoby stwierdzić, że najczęściej wybierał on właśnie to ostatnie rozwiązanie. Taka postawa zawierała uznanie dla jakości prawa stanowionego przez dawne władze, ale i przekonanie, że gdy nie ma się w zanadru własnych, dobrze przygotowanych ustaw, uchylenie dotychczasowych tylko dlatego, że są obcej proveniencji, nie jest działaniem roztropnym. Identycznie zresztą postępował Sejm w Warszawie i dlatego dopiero w latach trzydziestych uchwalił np. kodeks karny, kodeks handlowy, czy prawo zobowiązań. Na przygotowanie wielu innych ważnych ustaw (np. kodeksu cywilnego) posłom II Rzeczypospolitej zabrakło czasu. Z pewnością więc utrzymywanie prawa pruskiego i austriackiego nie odbiegało od ogólnopolskiej praktyki ustawodawczej, a obraz Górnego Śląska petryfikujące-

go obce prawo w kontraście do międzywojennej Polski byłby nieprawdziwy.

W przypadku pozostałych możliwości działania Sejmu Śląskiego tj. przyjmowania ustaw ogólnopolskich bądź zastępowania ich własnymi, posłowie śląscy (przynajmniej ci, polskiego pochodzenia) znacznie częściej korzystali z pierwszego rozwiązania. Nie ukrywali źródła takiej postawy. Była nim chęć integracji z resztą kraju. Takie hasło należało do nielicznych, łączących politycznie zróżnicowany obóz polski. Było tak zarówno przed, jak i po przewrocie majowym. Wśród polskich partii, mających swych reprezentantów w Sejmie Śląskim nie znajdziemy takiej, która pryncypialnie sprzeciwiała się integracji. Oczywiście, kwestią różnicującą było tempo i zasady takiego połączenia, ale co do samej idei panowała ponadpartyjna zgoda. A, że większość spraw należących do kompetencji Sejmu Śląskiego obejmowała kwestie ekonomiczne, to i akceptowanie prawa ogólnopolskiego stawało się łatwiejsze. Drogownictwo, melioracje wodne czy polowania nie należały przecież do dziedzin, w których musiałyby się odzwierciedlać różnice prawne separujące województwo śląskie od reszty Polski. Ale nawet zagadnienia, które sięgały do świata wartości i potencjalnie mogły skutkować spektakularnymi przejawami odrzucenia ogólnopolskich wzorców (np. język urzędowy lub status prawny Kościołów i związków wyznaniowych) takiego rezultatu nie wywołały. Również w tych dziedzinach ogólnopolskie rozwiązania prawne stały się wyznacznikiem aktywności Sejmu Śląskiego.

Jedyną sferą, w której akceptowane przez Górnoszlązaków wzorce zupełnie rozminęły się z propozycjami ustawodawczymi państwa polskiego, było szkolnictwo. Świadczy o tym nie tylko ustawa o tzw. celibacie dla nauczycielek, choć to ona najczęściej jest przywoływana jako symbol odrębnej, śląskiej drogi ustawodawczej. Znacznie większe znaczenie miało odrzucenie flagowego projektu edukacyjnego II Rzeczypospolitej, tzw. reformy jędrzejewiczowskiej. Posłowie Sejmu Śląskiego jej nie chcieli więc sanacyjny wojewoda Michał Grażyński zmuszony był sięgnąć po niekoniecznie zgodne z prawem, ale za to skuteczne instrumenty administracyjne i własnymi rozporządzeniami wprowadzać kolejne elementy reformy. Pomocne okazało się to, że wojewoda śląski miał również uprawnienia kuratora oświaty. Proces stopniowej implementacji ogólnopolskich przepisów szkolnych trwał aż do 1939 r. W rezultacie, praktycznych efektów obowiązywania w województwie śląskim reformy jędrzejewiczowskiej nie da się dostrzec.

Trudno w tym kontekście pominąć pytanie o przyczyny tak silnie demonstrowanego braku zaufania do polskiej szkoły. Kwestii tym istotniejszej, że edukacja była, jak to już wyżej stwierdzono, jedyną dziedziną w której nieprzystawalność polskich i górnoszląskich

koncepcji uzewnętrzniła się w jaskrawy sposób. Po 1922 r. w województwie śląskim zaczęły działać, kształtowane na ogólnopolską modłę, urzędy, sądy, kancelarie. Nigdzie, poza szkołami, nie wywołało to negatywnego rezonansu społecznego. Wielu autorów sugeruje, że odpowiedzialność za taki stan rzeczy spada na samych nauczycieli. W zdecydowanej większości, zwłaszcza w latach dwudziestych, były to osoby przyjezdne, zaś ich sposób bycia nie przypadł do gustu autochtonom. Dowodów na antagonizm dzielący miejscowych (rodziców) oraz napływowych (nauczycieli) jest aż nadto, ale przecież przybysze z innych dzielnic państwa zatrudniali się również w urzędach, wymiarze sprawiedliwości, lecznictwie itp. Tam zaś ich obecność nie wywoływała takich emocji. Oczywiście, chcąc odpowiedzieć na pytanie o przyczyny niechęci Górnoszlązaków do ogólnopolskiej wizji szkolnictwa i edukacji można sięgnąć po argument przywoływany najczęściej, choć nieco bezrefleksyjnie, a sprowadzający się do dosadnej opinii: miejscowi uważali szkołę pruską za lepszą. Już choćby z powodu wysokiej częstotliwości pojawiania się takiego sądu, warto wziąć go pod uwagę. Tym niemniej wymaga on doprecyzowania. Jeśli dawna szkoła pruska traktowana była jako lepsza, to należy zapytać, pod jakim względem. Na pewno nie jako etap przygotowania do studiów wyższych. Tu ewidentna była przewaga szkoły polskiej. Jej ukończenie otwierało drogę do dalszego kształcenia się na uniwersytetach i politechnikach. Wielu Polaków-Górnoszlązaków z tego skorzystało, w odróżnieniu od ich przodków, którzy mimo ukończenia szkoły pruskiej, dobrych perspektyw na kontynuację nauki byli pozabawieni, nie licząc teologii we Wrocławiu. Zatem, to nie poziom przekazywanej wiedzy był problemem. Raczej ogólnie przyjęte metody wychowawcze oraz promowany system wartości. Od szkoły polskiej odpychało to, że w przeciwieństwie do dawnej, nie była już wyznaniową. Taką, do której uczęszczać mogli tylko dzieci tego samego wyznania, nauczane przez pedagoga należącego do tej samej grupy religijnej oraz, gdzie treści nauczania były zgodne z dogmatami dominującego wyznania. O szkołę wyznaniową przez niemal cały okres międzywojenny upominał się Kościół katolicki, niezmiennie sprawujący na Górnym Śląsku rząd dusz i kształtujący poglądy miejscowych. Przestrzegając przed laickimi, wyrotowymi hasłami, obecnymi jakoby w szkole neutralnej światopoglądowo, zapewne nieumyślnie, ale skutecznie wyrządził polskiej edukacji dużą krzywdę. Aktywni zwolennicy świeckiej szkoły swymi wypowiedziami uwiarygodniali przekaz duchownych. Wszystko to razem przekonywało zaś Górnoszlązaków, że nowa szkoła może i dobrze uczy, ale źle wychowuje, a takie wartości jak poszanowanie bożych przykazań, tradycji, autorytetu rodziców więcej jest warte

niż szeroko otwarte drzwi na uniwersytet. Wiele w takim myśleniu było stereotypowego uproszczenia, ale rezerwy w stosunku do szkoły nowego typu to nie zmniejszało. Przekonać do niej ogółu polskich Górnoszlązaków nie udało się aż do chwili wybuchu II wojny światowej. Tym niemniej, jeszcze raz podkreślimy, była to jedyna płaszczyzna, na której proces integracyjny toczył się nierychliwie.

Jeśli przyjąć, że Górnoszlązacy chcieli integracji z Polską, a autonomię traktowali jako tymczasowe rozwiązanie, to zapytać trzeba, dlaczego tak zdecydowanie wystąpili w jej obronie, gdy śląska sanacja próbowała autonomię zlikwidować. Po pierwsze, wszelkie uogólnienia w ramach opisywanej tematyki są niebezpieczne. Przyznających się do polskości Górnoszlązaków nie charakteryzował identyczny stosunek do autonomii. Zdania na jej temat wyrażały całą paletę obaw i nadziei więc i kategoryczność obrony nie była u wszystkich taka sama. Co ważniejsze jednak, szansę na w pełni wiarygodne odzwierciedlenie owej palety postaw unicestwił spór, jaki rozgorzał między chadecją W. Korfanego, a obozem wojewody M. Grażyńskiego. W konflikcie wyznaczającym kierunek życia politycznego województwa po przewrocie majowym, wątek autonomii używany był w funkcji obucha, którym można było zadać dotkliwe rany przeciwnikowi. W. Korfany, opowiadający się przed 1926 r. za szybką integracją z Polską, po przewrocie majowym stał się obrońcą autonomii. Nie dlatego, że dopiero wtedy dostrzegł jej atuty. Decydujące okazało się przekonanie, że ukazując obóz swych przeciwników jako obcych na Górnym Śląsku i wrogów wszystkiego, co definiowało autochtonów (w tym posiadanej przez nich autonomii), skutecznie osłabi rywala. Nie inaczej działała śląska sanacja. Skupiała wszak stronników Józefa Piłsudskiego, tego samego, który będąc naczelnikiem państwa, nie zablokował uchwalenia statutu organicznego. A jednak jego zwolennicy po przewrocie majowym wytoczyli przeciw temu aktowi prawnemu najcięższe armaty. Nie dlatego, że przestał im się on podobać, ale, że sugerując istnienie proniemieckich sympatii u W. Korfanego, autonomię wykorzystali jako koronny dowód tej tezy. Niestety, nie dostrzegli, że jedynie przez pierwsze cztery lata swego obowiązywania (między 1922 a 1926 rokiem) był on oceniany fachowo, bez politycznych konotacji. Po przewrocie majowym stał się elementem skrajnie zideologizowanego sporu politycznego. W takich warunkach nikt już nie patrzył na autonomię jak na jedną z propozycji uporządkowania życia publicznego w województwie śląskim. Prawdziwej, fachowej dyskusji na ten temat zabrakło aż do końca dwudziestolecia międzywojennego. A czy dziś istnieją ku niej warunki, to już pytanie do zupełnie innego felietonisty. ■



ŚLĄSKA  
OJCZYŻNA  
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# Katowski – bogucki – miechowski

W niezwykłe interesującym artykule Zygmunta Stuchlika pt. *Kopalnia „Beata” na Katowskiej Hołdzie* („Śląsk” nr 2, 2020, str. 20–22) obok tytułowej *Katowskiej Hołdy* znalazły się zapisy takich nazw własnych, jak *Katowska Hałda* – z „a” w *Hałdzie*, a nie z „o”, *Katowicka Hałda*, *Brynów* z *Katowicką Hałdą*, *Załęska Hałda*, *Miechowice*, *Kuźnica Bogucka*, a także połączenia wyrazowe *właściciel boguckiej kuźnicy*, *obszar bogucki*, *dobra bogucickie*. Czytamy też: „Pierwszy znany dokument wymieniający *Brynów*, a właściwie *Brwinów*, bo takie brzmienie zachowała miejscowość jeszcze w połowie XIX wieku, pochodzi z 1474 roku. Najwcześniejsza zaś wzmianka o *Katowskiej Hałdzie*, przysiółku *Brwinowa*, znajduje się w księgach metrykalnych Bogucic z 1714 roku”. – Zaiste, piękny to zestaw ciekawostek nazewniczych!

Nawiążemy do niego w niniejszym odcinku „Śląskiej ojczyzny polszczyzny”, zaczynając od *Brynowa*. Tak, to był najpierw *Brwinów* – nazwa pochodząca od prasłowiańskiego słowa, którego kontynuantami były liczne warianty wyrazowe: *birzwno*, *birwno*, *bierwno*, *bierzwno*, *bierzwno*, *birzwno*, *bierzmo*, *birzmo*, późniejsze *bierwiono* (też gwarowa *berwina*) – wszystkie o znaczeniu „kładka, kłoda drewna służąca do przejścia przez rzekę, belka, tram, drzewo”. Można zatem przypuszczać, że pierwotna osada była założona w pobliżu kładki na rzece, strumieniu czy w miejscu bagnistym, albo że wydobywano tu drewno w lesie i dowożono je do owej Kuźnicy Boguckiej z artykułu Zygmunta Stuchlika. Zmiana prymarnego *Brwinowa* na *Brynów*, oczywiście, rezultat uproszczenia grupy głoskowej „Brwi-” na „Bry-”. Dopuszczymy, że położony blisko Tarnow-

skich Gór *Brynek* (ze słynnym Technikum Leśnym) to był też najpierw z całą pewnością *Brwinek*.

Pozostałe nazwy przywołane na początku dzisiejszego artykułu to tzw. nazwy patronimiczne, odojcowskie: *Katowice* – pierw. *Katowicy* – to etymologicznie „ludzie, potomkowie *Kata*”, *Bogucice* – pierw. *Bogucicy* – „ludzie, potomkowie *Boguty*”, a *Boguta* to imię zbudowane na rdzeniu *bog* „szczęście” (por. *Bogdan*, *Bogusław*, *bogaty*, *bogactwo*, *Bóg*), *Miechowice* – pierw. *Miechowicy* – „ludzie, potomkowie *Miecha*”, *Miech* zaś to zdrobnienie skrócenie od *Mieciśława*, *Mieciława* (*Mieci* – „mieść, rzucić” + *ślaw*).

O pochodzeniu nazwy *Katowice* od imienia *Kat* przekonana jest absolutna większość historyków języka. Mój wrocławski profesor natomiast – Stanisław Rospond (1906–1982), powołując się na jeden z zapisów z samogłoską nosową „ą” (z roku 1598) – widział w *Katowicach* pierwotne *Kątowice* – nazwę topograficzną nawiązującą do *kątów* „lichych, ubogich chat zagrodników leśnych, w kącie, na ubożcu położonych”.

Pora przejść do przymiotników obecnych w tekście Stuchlika. Zacznijmy od formy *załęski* wywiedzionej od *Załęża* – etymologicznie „miejsca za łągiem – mokradłem, bagnem, trzęsawiskiem”. I w niej doszło do uproszczenia zbitki spółgłoskowej „-żsk-” na „-sk-” (identycznego jak w serii *mąż* – *mężski* – dziś *męski* czy *Bóg* – *bożski* – dziś *boski*).

Widzimy tu również brzmienia *katowicki* i *bogucicki*, które wywiedzie od nazw *Katowice* i *Bogucice* każdy współczesny użytkownik polszczyzny – tak jak od *Miechowic* stworzy derywat *miechowski*. Historycznojęzyko-

wym smaczkim są jednak stare postaci przymiotnikowe *katowski* i *bogucki* od *Katowic* i *Bogucic* urobione, a mógłbym do nich dołączyć również dawny derywat *miechowski* od *Miechowic*, obecny chociażby w tytule znanego poematu z roku 1879 *Stary kościół miechowski* ks. Norberta Bończyka – z tej miejscowości, dziś części Bytomia, pochodzącego.

Jaka prawidłowość dawnego polskiego słowotwórstwa ujawnia się w tych trzech formacjach? – Otóż było nią tworzenie przymiotników od nazw miejscowych nie od całych podstaw słowotwórczych (jak to robimy dzisiaj: *katowicki* – bo *Katowice*, *bogucicki* – bo *Bogucice*, *miechowski* – bo *Miechowice* itp.), ale od podstaw bez cząstek przyrostkowych: *katowski* – bo *Katow-ice*, *bogucki* – bo *Boguc-ice*, *miechowski* – bo *Miechow-ice*. A przecież i nazwa moich rodzinnych *Tarnowskich Gór* tak samo została stworzona – nie od całej podstawy słowotwórczej *Tarnowice* (bo byłyby to wtedy *Tarnowickie Góry*), ale od jej członu *Tarnow* – bez przyrostka „-ice”.

Służę na koniec innymi przykładami: *Drohiczyn* – *drohiczny*, ale kiedyś *drohicki*, *Niepołomice* – *niepołomicki*, ale kiedyś *niepołomski* (por. nazwisko *Niepołomski*, na starych mapach *Puszcza Niepołomska*), *Włocławek* – *włocławski*, *Lublin* – *lubelski*, *Nisko*, najpierw *Niżsko* – dlatego *nizański*, *Kościierzyna* – *kościerski* (*ziemia kościerska* – do dziś), *Nurzec* – *nurzecki*, ale tradycyjnie raczej *ziemia nurska*, *Zebrzydowice* – *zebrzydowski* (por. *Kalwaria Zebrzydowska*, a nie *Zebrzydowicka*), *Dobieszowice* – *dobieszowski*, *Ożarówce* – *ożarowski*, *Leszno*, najpierw *Leszczno* – stąd *leszczyński*. ■





# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Kajze mi sie podziół mój synocek miły?

**T**a szansa jest jeszcze, aby zrealizować pewien projekt badawczy, z czasem już tylko marzenie, znakomitego etnomuzykologa **prof. Adolfa Dygacza**. Dziś jest to zapewne kategorię zobowiązanie dla współczesnych badaczy.

Otóż w czasie polskiego „festiwalu wolności” wspomniany folklorysta usilnie myślał o tym, aby wydać **nowy zbiór śląskich pieśni powstańczych**. Nie udało się wówczas. Ale dziś jesteśmy w okresie symbolicznym. Bo to czas 100-lecia śląskich zrywów, plebiscytu, a wreszcie wkroczenia wojsk gen. Stanisława Szepetyckiego, włączenia w 1922 roku części „tej najstarszej oderwy od Korony” do polskiego organizmu państwowego.

Otóż w czasie polskiego „Sierpnia” prof. A. Dygacz mówił mi wielokrotnie, że należy wydać nowy zbiór śląskich pieśni powstańczych. Mówił o tym z typową dla siebie pasją, żarliwością, ale i dowcipnie. To nowe wydanie miało się różnić kategorię od zbioru *Śląskie pieśni powstańcze 1919–1921 z 1958 roku* w jego opracowaniu, czy książki Edwarda Bogusławskiego i A. Dygacza – *Zbiór śląskich pieśni powstańczych dla młodzieży szkolnej...* z 1972 roku oraz *Śpiewnika śląskich pieśni powstańczych* w opracowaniu Piotra Świerca z 1980 roku.

W tym planowanym przez folklorystę wydaniu teksty pieśni miały być uzupełnione – jak mówił – o „naukowe komentarze”. Konkretnie studia przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych. Ten pomysł narodził się we Wrocławiu, gdzie w Katedrze Etnografii wykładał folklorystykę. Nowy projekt konsultował z twórcą polskiego uniwersyteckiego kulturoznawstwa prof. Stanisławem Pietraszko, ale też z kolegą z katedry, socjologiem prof. Edwardem Pietraszkim. W Katowicach z teoretykiem muzyki Jądwigą Bobrowską. A kiedy myślał o no-

wym zbiorze szukał nadal pieśni czasu polskiego zrywu patriotycznego i tych dawnych.

Zabierał mnie wtedy na owe „famiłkowe peregrynacje”. Czyli jak to mówił Dygacz: „Trzeba chodzić od domu do domu, od ławeczki do ławeczki, od chływika do chływika, od klopsztangi do ogródka”. Wtedy poznałem wiele niezwykłych osób. Przykładowo Augustyna Halottę, górnika, samorodnego pisarza, znanego odtwórcę postaci Karola Habryki z filmu Kazimierza Kutza „Paciorki jednego różańca”. Pierwszy film jego śląskiej trylogii, czyli „Sól ziemi czarnej” kończy pieśń powstańcza, lament obołałej, zrozpaczonej matki:

*Kajze mi sie podziół mój synocek miły?  
Pewnie go w powstaniu grenczuce zabiły?  
Wy niedobrzy ludzie, dla Boga świętego  
Cemuście zabili synocka mojego?  
Zodnej jo podpory już nie była miała,  
Choćbych moje stare ocy wyplakała*

Warto skupić uwagę nad tymi słowami wyrażającymi wielki ból matki. A było ich na Górnym Śląsku – podobnie obołałych – wiele. W samorodnej pieśni ludowej wyrażały się przeżycia tutejszej ludności. Dlaczego Dygacz chciał nadać owemu zbiorowi tytuł *Kajze mi sie podziół mój synocek miły*? Dziś po latach podejrzewam, iż zadecydowała o tym popularność tej pieśni, która nastąpiła po przywołanym filmie Kutza, gdzie jest śpiewana przez samorodną pieśniarkę.

I na pewno zwrócić trzeba jeszcze uwagę na jeden fakt. O tym też folklorysta lubił mówić. Otóż do badacza zwrócił się kompozytor Mikołaj Henryk Górecki, aby przysłać mu kilka ludowych pieśni śląskich. Wśród przekazanych pieśni był również wspomniany lament rodem spod Opola. I okazało się, że kompozytor umieścił go (po pewnej weryfikacji słów-

nej) w swoim słynnym dziele: *III Symfonii pieśni żałobnych* op. 36 na sopran solo i orkiestrę. Kompozycja powstała w 1976 roku. O przekazanym utworze muzyk rok później mówił: *Według mojego odczucia jest to fantastyczny tekst poetycki. Zresztą nie wiem, czy poeta „profesjonalny” stworzyłby z takich lapidarnych, prostych słów tak przejmującą całość. Nie jest to smutek, nie rozpacz, czy rezygnacja, załamywanie rąk, tylko jakaś wielka żalność, lament matki, która straciła syna.* Efekt muzyczny w utworze Góreckiego jest niezwykły.

W tym miejscu powróćmy zatem do pomysłu prof. A. Dygacza. Powtórzmy. W latach polskiego „festiwalu wolności” folklorysta chciał usilnie wydać „złotą księgę pieśni powstańczych”. Zbioru opatrzonego kompetentnymi studiami z zakresu folklorystyki, historii, socjologii, językoznawstwa, muzykologii. Wyjaśniał, że jest to konieczne dla „prawdziwego” upamiętnienia śląskich zrywów i lepszego poznania tej ziemi. Chciał aby teksty naukowe wyjaśniały różne aspekty tego fenomenu kulturowego, ale i społecznego oraz politycznego przejawu konkretnej postawy narodowej i patriotycznej.

Dziś to wszystko powinno być pojmovane w aspekcie „ciągłości i zmiany”. Owe naukowe komentarze winny też uzupełniać rozważania z zakresu antropologii kulturowej. Niestety pomysł nie został zrealizowany. Ledwie załóżką była chyba inicjatywa na którą zwróciła mi uwagę niezawodna Bożena Gieburowska-Gabryś, czyli 14 tomik „Wszechnicy Górnośląskiej” pod redakcją Michała Lubiny.

O tym, że powinniśmy wreszcie zrealizować pomysł Adolfa Dygacza nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Dziś jest najlepszy czas, pełen jednoznacznej symboliki dla realizacji tej idei. ■

# Andrzej Ziemilski

## *Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe*

MARIAN SWORZEŃ

**P**o lekturze książki Ziemilskiego – przed kilkunastu laty – podarowałem jej egzemplarze kilku gliwickim przyjaciółom. Pisząc ten artykuł robię w zasadzie to samo, tyle, że dla szerszego kręgu.

Andrzej Ziemilski (1923–2003), syn lekarza, spędził okres okupacji sowieckiej w rodzinnym Lwowie. Potem był gubernierem pod Opolem Lubelskim, stamtąd trafił do Warszawy. Tam próbował nauki na kursach kreślarskich, ostatecznie został robotnikiem w fabryce kabli w Ożarowie. Należał do Armii Krajowej („Parasol”), w roku 1944 wysłano go na Podhale. Na początku 1945 r. był w Krakowie i Zakopanem, od końca lutego – w Katowicach i Gliwicach. Potem przyszedł studia w Warszawie, zakończone dyplomem z socjologii (1951 r.), wykluczało to wówczas podjęcie pracy w zawodzie, więc oddał się pasji, której był wierny przez całe życie – narciarstwu i jego instruktażowi. Po roku 1956 wrócił na UW, zdobywając kolejne szczyble naukowe. Wiele podróżował jako socjolog i ceniony praktyk (i badacz) narciarstwa. Pisał felietony, opowiadania, teksty naukowe – o Tatrach i przemianach cywi-

lizacyjnych, o nartach i obyczajach w Ameryce. W zbiorze wspomnień pt. „Znalezione nad jeziorem Wiartel” (Warszawa 2002) w tytułowym opowiadaniu znajdujemy wzmiankę (str. 115–116) o incydencie (opiszę to kiedyś) z życia księdza Paula Nieborowskiego rodem z Ornontowic. Spośród dzieł naukowych Ziemilskiego zwraca uwagę studium „Polska w latach dziewięćdziesiątych. Problemy społecznego przystosowania do Wielkiej Zmiany” – książka ukazała się w tym samym czasie co pierwszy numer „Śląska” (1995 r.).

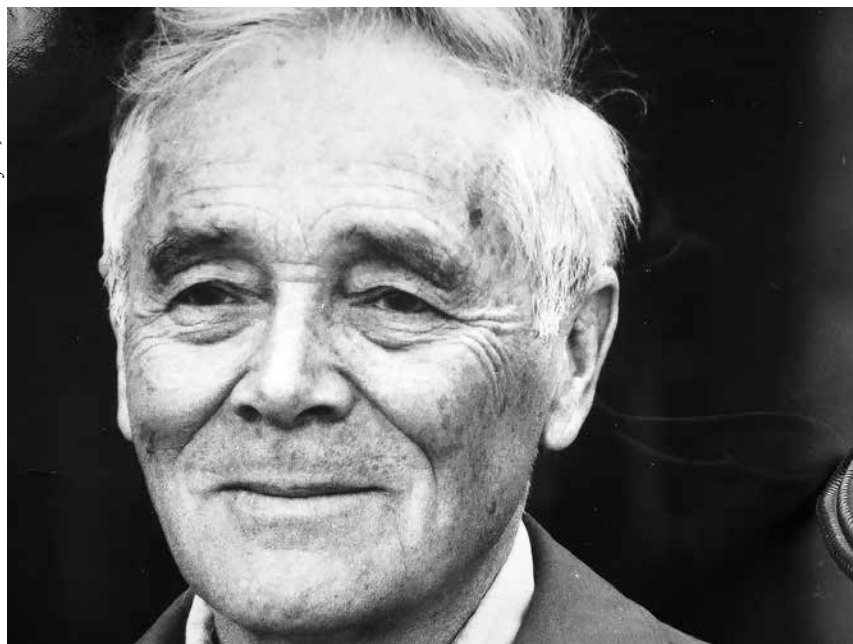
Przechodzę do fragmentów, w których pobłyskują sprawy śląskie. Z okładki spogląda na nas młodzieniec z portretu Dürera, przyjmujemy więc za dobrą monetę podtytuł książki – „Opowiadania prawdziwe”. I faktycznie – autor nie zapomina, by każdorazowo osadzić siebie (i nas) w czasie i przestrzeni.

Gdy młodziutki Ziemilski osiadł w okupowanej stolicy, czytywał pisma niemieckie „wpierw dla językowej wprawy, potem z ciekawości” – w jednym z nich trafił na artykuł o „dialekcie górnośląskim”. Oto wyjątek z jego omówienia: „Korespon-

dent «Warschauer Zeitung» z terenu Oberschlesien zastanawiał się najzupełniej serio, dlaczego właśnie tu, in Kattowitz und Schwientochlowitz, powstają zdumiewające, a nawet dowcipne neologizmy językowe, na dodatek zaopatrzone w niezrozumiałe końcówki. Np. zwyczajną zapalniczkę (Feuerzeug) nazywają tu Vielleichtka – że niby może, ale nie musi się zapalić”. Słowo to, bazujące na „vielleicht” (może), nie zadziwi na pewnością znawców gwary, niemniej ciekawym jest jego wychwycenie... przez Lwowiaka w Warszawie.

W roku 1943 Ziemilski usłyszał od swego przełożonego w AK, noszącego pseudonim „Luty”, następującą historię. Ten, choć zawsze pilnował, by nie mieć przy sobie bibuły, raz jeden, poproszony o dostarczenie pakunku z nielegalną prasą, zgodził się. Nie szczęściem trafił na kilkusobowy patrol wojskowy – po rewizji, kazano mu otworzyć walizkę. Był środek dnia i Warszawy, szans na ucieczkę żadnych, na pewną śmierć – tak. Co zrobił osaczony? Posłuchajmy: „Otworzył walizkę. Dowódca patrolu zajrzał do środka. Wziął jakąś broszurkę do ręki. Chwilę potrzymał. Potem wrzucił do walizki z powrotem. – Cytoj, pieronie, cytoj – powiedział półgłosem i jakby ze złością – to się docytos! I wymownym ruchem nakazał „Lutemu”, by jak najprędzej zniknął”. Ocalony konspirator podzielił się z Ziemilskim swymi przypuszczeniami: „Niepokoiło go pytanie: kim był ten dowódca patrolu? Ten feldfebel czy kapral Wehrmachtu? Przecież uratował „Lutemu” życie! Właściwie dlaczego? Wyglądało, że był Ślązakiem (to: „pieronie”). Może przymusowo wcielony do niemieckiego wojska znalazł się w Warszawie na czele patrolu. Zatem zrozumiał – i pomógł.” „Luty” nie wykluczał również, że mógł to być „z w y k ł y d o b r y Niemiec”, albo i „niemiecki butny Górnoślązak”, gardzący Polakami, no i możliwość ostatnia – patrol szukał broni albo trotylu, a tu nawinał im się ktoś z papierami. Odpowiedzi nie znamy – „Luty” zmarł z ran odniesionych w Powstaniu Warszawskim...

fot. Joanna Potocka



Andrzej Ziemilski

W marcu 1945 r. Ziemilski wziął udział w spektaklu w teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach. Pomysłodawcą był Henryk Woźnicki, do niedawna więzień Oświęcimia. Występowali amatorzy z socjalistycznej młodzieżówki, w finale występu przygotowano kilka scen obozowych. „Graliśmy wszyscy: więźniów (w tym duchownych) i esesmanów [...]. Sztuka kończyła się chóralnym, patriotycznym śpiewem podjętym przez całą, w większości śląską, widownię (niektórzy mieli na sobie jeszcze niemieckie mundury z niedawno odrpniętymi naszywkami...)”. Sala była wypełniona – Ziemilski mówi o tysiącu obecnych – on sam deklamował utwór Hemara, zaś Woźnicki własny wiersz „Obóz cygański” o zagładzie, której był świadkiem. Na końcu akapitu znajdujemy zapis: „Wokół katowickiego teatru, przy ul. Młyńskiej i św. Jana stały wypalone doszczętnie budynki”.

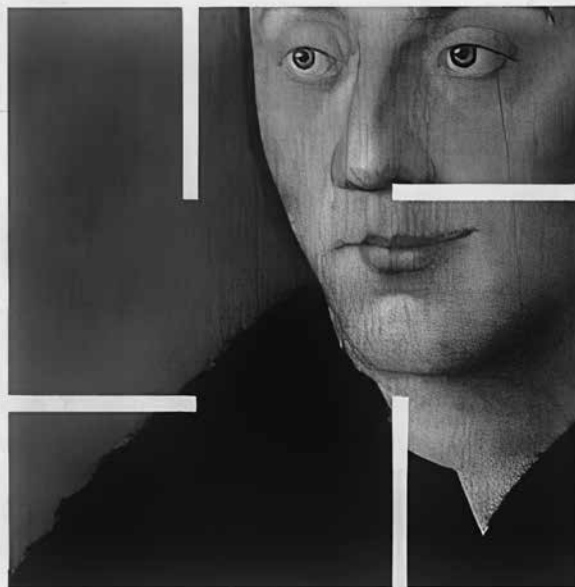
Niech nas nie dziwi, że Ziemilski zapamiętał ulicę św. Jana, tam bowiem mieściła się siedziba komitetu PPS. Wstąpiwszy do tej partii, pełnił w niej (krótko) najróżniejsze funkcje – był nawet komendantem milicji PPS, także „referentem świetlicowym” w administracji gen. Zawadzkiego. W końcu, wyposażony w pełnomocnictwa znalazł się w ciężarówce wiozącej do Gliwic tzw. grupę operacyjną – razem z nim jechał Szpaltowski (niebawem prezydent Gliwic), także Gruszczyński (późniejszy wiceprezydent). Po wizycie u wojskowego komendanta miasta, Torisznego, „Ukraińca w radzieckim mundurze”, zakwaterowali się w budynku przy Klosterstrasse nr 27 (szło o bezpieczeństwo, zaraz na obok na Klasztornej była wojenna prokuratura). Widok otwierający: „Jeszcze widziałem w tych gruzach trupy chłopaków z Hitlerjugend, którzy próbowali się bronić. Jeszcze dymił spalony teatr”. Trudno też pominąć konstatację, „że połowa tego, co spłonęło na Śląsku, to nie skutek rozmyślnych podpaleń, lecz braku wody, elektryczności, a głównie j a k i e j k o l w i e k ochoty gaszenia pożarów”. Oto kolejne obrazy: „Gliwice robiły wrażenie zupełnie wydłubionego miasta, ale w naszym domu jeszcze mieszkali ludzie. Niemieccy Ślązacy, przeważnie o słowiańskich nazwiskach. Nie mówili po polsku, choć w bramie ktoś napisał kredą: Twische sapsetsch”. Czy dziś bez trudu umielibyśmy to natychmiast odczytać jako „dźwierze zaprzec”? Nie jestem pewien. Z tego powodu dałem dłuższy cytat – słyszymy i widzimy to, co było udziałem autora...

Ziemilski wspomina, że dostał zadanie wyrugowania napisów niemieckich. „Ten mój rozkaz zaczynał się tak: Im Austrage des Pan Wojewoda Śląsko-Dąbrowski Aleksander Zawadzki, befehle ich hiermit... – a kończył się tym, że nieściąganie niemieckich napisów będzie karane śmiercią. Było to hitlerowskie Bekanntmachung, tylko na odwrót, do granicy absurdu”. Przyznał, że wzorował się na afiszach z okupowanej Warszawy. Być może dzisiejszy socjolog nazwałby to kalką zachowań...

Przytaczam za autorem opis pewnego wydarzenia w Gliwicach. Jest maj 1945 r., trwają obchody zakończenia wojny, gdy nagle rozlegają się w pobliżu krzyki... „Prezydent Gruszczyński chwycił pistolet i pobiegł na drugą stronę placu, za nim woźny magistracki, pan Szostak [...]”. Po chwili usłyszeliśmy strzały i pan Szostak wrócił przerażony. Okazało się, że na schodach w jednym z domów Gruszczyński natknął się na żołnierza radzieckiego (może któregoś z rannych, były tam dziesiątki lazaretów). W każdym razie wyglądało, że tam-

## Andrzej Ziemilski DOBRY NIEMIEC

OPOWIADANIA PRAWDZIWE



Czytelnik

ten rabuje. Obaj strzelili równocześnie i obaj padli trupem”. Porównałem to z innymi relacjami – teraz wiem, że jest to kolejna wersja tego epizodu.

Nie mogąc omówić wszystkiego, poprzestaną na liście tematów rozdziału „Gleiwitz – Gliwice A.D. 1945”: wysiedlanie, książki znajdujące w opuszczonych w pośpiechu mieszkaniach, denuncjacje, sprawy volkslisty, oburzenie polskich Ślązaków praktykami nowej władzy, wywózki do Donbasu, szabrownictwo, masowy napływ przybyszów ze wschodu, zaczątki życia kulturalnego. Nie dziwi wcale tytuł jednego z podrzdziałów – „Jak wysiedlałem Horsta Bienka”, wierzymy, że UB dało Ziemilskiemu spokój, gdyż wyrzucił bramę triumfalną dla Bieruta, Osóbki i Zawadzkiego jadących przez Gliwice dla objęcia Opolszczyzny w polskie władanie.

Kończę postulatem. Skoro Politechnika Śląska ma własną socjologię, warto odszukać w warszawskich archiwach pracę seminaryjną Ziemilskiego sprzed 70 lat o składzie narodowościowym Gliwic, a znalazłszy – wydać. To prawdziwe zadanie! Ale czyż autor „Opowiadań prawdziwych” swego nie wykonał... ■

**Andrzej Ziemilski, *Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe*, Czytelnik, Warszawa 1997.**

**O Śląsku: str. 39, 41–44, 65, 75, 79, 97–127.**

## Zagłada kresowego świata

JAN MALICKI

**K**siążeczka wojskowa. Na książeczce dwugłowy orzeł. Herb Imperium Rosyjskiego. Rok 1859. Dworianin Feliks Miłecki, syn Macieja. Służył w wojsku 5 lat za panowania Aleksandra II. Tyle mam w pamięci o ojcu.

Tak zaczyna się jeden z najciekawszych rękopiśmiennych pamiętników, jaki mogłem ostatnio przeczytać. Ciekawy, nie tyle z tego powodu, iż powstał na dalekich terenach Podola, owych dziś już mitycznych Dzikich Polach, ale głównie dlatego, że towarzyszył autorowi przez całe jego długie życie. Od lat poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej, poprzez doświadczenia lat dwudziestych i trzydziestych, jakże totalnie i skutecznie unicestwiających mieszkańców tamtejszych terenów, kiedy to przez wielką, potworną biedę, ale i w kamatach NKWD, wyginęła cała najbliższa rodzina autora; wreszcie pamiętny rok 1939 i kopalnie Donbasu,

wywózkę w głąb Rosji, wielką wojenną tułaczkę i powojenną wędrówkę do Bytomia; aż po lata osiemdziesiąte i karnawał „Solidarności”. Wielka odyseja człowieczego żywota.

Ale ów pamiętnik to także swoisty fenomen kulturowy. Rzadko się bowiem zdarza, by tak długi okres historii był dokumentowany własnymi spostrzeżeniami uogólniającymi, wręcz ocierającymi się o historiozoficzne uniwersalia. Uwagami często niezwykle krytycznymi wobec opisywanej rzeczywistości, stanowiącymi jednak osobisty komentarz do makrodziejów Europy. W tym też upatrywałbym wartość pamiętnika. A jeśli do owych wielowymiarowych i różnokształtnych wirów wydarzeń z odległej przeszłości przypominanych przez autora, dodamy człowieczy los; jego zwiewność i ulotność, to wówczas owa beznamiętna opowieść nabiera cech epopeicznych, dopełniających sferę realną, sferą innych jeszcze wartości, nie rzadko dzisiaj odmiennie interpretowanych niż wtedy.

Intrygująca jest też osoba autora. Polak spod Machnówki, samouk wychowany na Sienkiewiczowskiej „Trylogii” o nieprzeciętnym talencie epickim, który z równą swadą opisuje przelot aeroplanu i Zeppelina, co pierwsze spotkanie z polską księżką czy ułanem Marszałka. I to jak pisze! W zasadzie to beznamiętna relacja, silnie zobiiektywizowana, acz z ukrytą nutą nostalgii i wszechogarniającego tragiczmu, wyraźnie ujawniającego się wtedy, gdy autor relacjonuje dalsze losy swojej rodziny.

*Niedaleko miasta Kamieniec Podolski ciągną się daleko na zachód i wschód wielkie ukraińskie wioski. Połowa tego obszaru należała do hrabiów Potockich. Dużą wioskę Kuryłowce miał posesor Pius Koźmiński. Ciocia Aniela była dużo młodszą siostrą mojej mamy. Pewnego razu posesor Koźmiński przyje-*

*chał do mego ojca; zobaczył fotografię cioci Anieli i jemu się spodobała. Bo też ładna była. Poprosił o adres cioci Anieli, pojechał do niej i się ożenił. Byli bogaci, ale dzieci nie mieli, więc moją siostrę Kornelię wzięli za swoją. Siostra Kornelia uczyła się w Polskim Gimnazjum w Winnicy i często przyjeżdżała do domu. Uczyła mnie pisać i czytać po polsku. Dużo opowiadała o p. Zagłobie, Wołodzyjowskim, Skrzetuskim. W tym czasie była wydana trylogia Sienkiewicza. Gdy już czytałem, przywoziła mi inne polskie książki. Czytałem, było, przy lampie naftowej, aż pierwszy kur zapieje. Miałem marzenie zobaczyć Jasną Górę, Wawel, Warszawę.*

Pod koniec roku 17-go wojsko Imperium Rosyjskiego zbuntowało się. Ruszyło do domu. Pewnej nocy zrobiła się strzelanina na folwark wujka Koźmińskiego. Wujek folwark opuścił i przyjechał do nas. Tej nocy chłopcy cały majątek zrabowali; konie, bydło, zboże, a piękny pałacyk rozebrali. Na wiejskich płotach pojawiły się hasła: precz z burżujami. Wujek Koźmiński w Machnówce dostał cztery hektary ziemi; pracował jako rolnik. Siostra Kornelia wydała się za mąż za Baranowskiego Józefa i dobrze się jej powodziło. Ciocia Aniela była gospodynią w domu. W latach trzydziestych została wydana przez Stalina Nowa Ekonomiczna Polityka, NEP. W roku 37 wujek został aresztowany przez NKWD. Wujek Ignacy Czyżewski, brat mojej mamy, i jego córka Niusia, nauczycielka języka polskiego w Kijowie, oboje także aresztowani przez NKWD. Ślad po nich zaginął.

Jednak obok panoramicznych ujęć tragicznych losów rodziny, w owym niezwykle dla mnie ciekawym manuskrypcie, uwagę skupiają opisy spotkań rodzinnych; tych zwyczajnych, jak i tych odświętnych, kiedy to wielka historia tamtych lat miesza się i nakłada na rutynę i szarość codziennego trwania.

Mój starszy brat, Józef Miłecki, w pierwszej wojnie światowej służył unteroficerem w carskiej armii w pułku gwardii w Moskwie, a później w Warszawie. Gdy tworzyli polskie legiony w 18 roku wstąpił do pierwszego pułku ułanów, który nazywał się Pierwszy Ułański



1925.

Ostatnia Pielgrzymka  
do Berdyczowa.

15 sierpnia poranek był bardzo ciepły  
Słonko wychodziło za małych słonecz-  
kach ogromna srebrna tarcza, ze stepu  
słychać było melodi różnych gatunków  
ptaków, skowronków, słowików, i innych.  
Podmuch stepowego wiatru przynosił  
zapach piołunu, Rumianka, szalwii  
sznurawce i t.p. <sup>Matka</sup> ~~Matka~~ do woreczka  
położyła kawałek chleba, słomiane solony  
cołecy półtrocku-bieczce, i jednego srebrnego  
rubla. Procesja wyruszyła na czele z  
ks. Karpińskim, z kościoła św. Jana  
w Machnówce, do Berdyczowa trasa 10 km  
było 6 muzyków wtórowali pieśni pobożne,  
parę tysięcy głosów zaśpiewało.  
Matko Berdyczowska  
Polań cie prosie

Pułk, piąty eskadron pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Walczył w obronie Lwowa z Ukraińcami. Gdy przyjechał do domu zobaczyłem pierwszy raz orzełek na piersiach z koroną na tle czerwonym, wysokie buty z ostrogami i u boku szabla. Cieszyła się cała rodzina, a ja najbardziej. Zobaczyliśmy prawdziwego polskiego ułana. A dla mnie prezent. „Śpiewnik Dąbrowskiego”, a na okładkach Legiony Polskie w rogatywkach. Brat Józef po długiej podróży odpoczywał. Na drugi dzień matka przygotowała się na przyjęcie gości. Zabiła kilka kur, ojciec przygotował parę butelek bimbru, który tam nazywał się samogonem. Przyjechała ciocia Aniela z mężem Piusem Koźmińskim, wujek Czyżewski Ignacy; przyszedł kuzyn Józef Wojna, marynarz Floty Czarnomorskiej i przyniósł gramofon na korbkę z wielką trąbą. Wypili kilka kieliszków samogonu, a brat Józef otworzył śpiewnik na pierwszej stronie i zaśpiewał:

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki  
Otoczał blaskiem potęgi i chwały...

Ja mając 9 lat, siedziałem na dużym murowanym, ukraińskim piecu i przyglądałem się. Pierwszy raz usłyszałem tę pieśń i pozostała mi na całe życie. Zobaczyłem łzy w oczach matki i cioci Anieli. I druga pieśń: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”; i trzecią: „Jeszcze Polska nie umarła, kiedy

my żyjemy... Po wypiciu trzeciej szklanki samogonu kolejką przyszła na wesole. Marynarz nakręcił gramofon i popłynęła stara wojskowa pieśń: „Słowiec, słowiec...”. Matka i ciocia Aniela zaczęły się żegnać; mówiły, że zły duch w trąbie siedzi. W tym czasie trzeci kur zapiał. Trąba ucichła, goście poszli spać do stodoły na siano. Noc była bardzo ciepła. Wszyscy spali bez przykrycia, w białiznie.

Brat Józef wkrótce się ożenił z Heleną Łozińską, ładną kobietą. Pracował w cukrowni blisko Machnówki. Dostał trzy hektary ziemi. Miał dwoje dzieci; syna i córkę. W 1937 roku został aresztowany przez NKWD. Słuch po nim zaginął.

Czytając ten fragment wspomnień, uderzyła mnie niezwykła prostota i wielobarwność pojęcia, które dzisiaj określamy mianem patriotyzmu. Obecnie prawie obowiązujący, niemal państwowy, nakazowy, rozkrzyczany, uproszczony, wieloznaczny, przeinaczany; tam w swojej prymarność – wspólnotowy, naturalny, wyciszony, choć wszechobecny. Swoista дума z historycznej odrębności, która wzmocniana i utrwalana była przez język i wyznaczenie. Nic więc dziwnego, że pamiętnik pisany jest tylko po polsku, choć nierzadko słownictwo i formuły gramatyczne zaczerpnięte zostały z gwary wschodniomałopolskiej, z pogranicza polsko-ukraińskiego. Wszak w rodzinnej wsi autora żyło trzysta rodzin ukraińskich, siedem rodzin polskich i kilka żydowskich. Jednak nie wydaje mi się, iż w rodzinach polskich był to patriotyzm wymuszany. W samym pamiętniku nie ma takich sygnałów.

Ale pamiętnik ten oddaje natomiast zmiany dokonujące się na Podolu w sferze kulturowej. Ogromne wrażenie na czytelnikach robi niezwykle plastyczny opis ostatniej pielgrzymki do Berdyczowa z roku 1925.

15 sierpnia poranek był bardzo ciepły. Słonko dopiero wychodziło zza małych domków jak ogromna złota tarcza. Ze stepu schodziła melodia różnych gatunków ptaków, skowronków, słowików. Podmuch stepowego wiatru przynosi zapach piołunu, rumianku, szalwii. Matka do woreczka włożyła ka-

wałek chleba, słonię wędzoną, co pół roku leżała w beczce, i jednego srebrnego rubla. Procesja wyruszyła rano z ks. Karpińskim z kościoła św. Jana w Machnówce. Trasa 10 kilometrów. Było sześciu muzyków, którzy wtórowali pieśniom pobożnym, a parę tysięcy głosów śpiewało:

Matko Berdyczowska, Polak cię prosi,  
Ze łzami w oczach prośby swe zanosi  
O nasza matko jedyna  
Uproś nam łaski u swojego Syna.

Rosa opadła, piasek się nagrzał, słonko prażyło niemiłosiernie. Po bosaku przyjemniej iść. Zbliżamy się do miasta. Zatrzymujemy się, by wody się napić. Przedmieście nazywało się Łysa Góra. Tu pierwszy raz zobaczyłem wielkie, murowane budynki. Były to koszary wojskowe. Na dużym placu, na koniach żołnierze z karabinami, z szablami przy boku robili ćwiczenia. Był to pułk kawalerii im. Kotowskiego. Po odpoczynku w południe weszliśmy na długą, brukowaną kamieniami, ulicę Karmelitańską. Ponad niskimi dwu-, trzypiętrowymi domami żydowskimi zobaczyłem wysokie mury i wieże klasztoru oo. Karmelitów Bosych. Przy wejściu na dziedziniec klasztorny, nad żelazną bramą widnieje mało czytelny napis wykuty w kamieniu. Fundatorem klasztoru był książę Janusz Tyszkiewicz. W obronnych murach tkwią armatnie kule z wojen tureckich lub może z powstania Chmielnickiego. Wielka brama żelazna zapasowa podparta lufami armatnimi z XVII wieku.

Klasztor oo. Karmelitów dzielił się na dolny i górny. Drugie piętro przeznaczony było dla pielgrzymów i wojska. Nabożeństwa odbywały się w górnym i dolnym kościele. Zrobiły na mnie duże wrażenie. Po mszy św. poszedłem oglądać obronne mury, wysokie na kilkanaście metrów. Tę noc przespałem w dolnym kościele.

Po trzech latach raz jeszcze trafiłem na dziedziniec klasztorny. Klasztor był zamknięty. Korytarze przerobione na koszary i hotel. Nie jest mi znany los oo. Karmelitów.

Tak więc czytając ów niezwykły pamiętnik, można by rzec – za Fernandem Braudem -

to „historia długiego trwania”. Dodając, ale często też unicestwienia lokalności z nadzieją na przyszłość. W innej już jednak przestrzeni geograficzno-historycznej. ■



# O doświadczeniu skóry

ANNA NOWAK

Schodzi ze mnie skóra. Spada płatkami i zwisa między włosami. Wisi i się suszy. Wyszuszone skóra. O, to Moja. Skóra obrośla moje życie i tematy, jakie się w nim tlą. Nie ma mnie. Nie ma mojego ciała. Jest skórzane obicie, nawierzchnia, płachta. Przykryła moje myślenie. Moje myślenie też jest skórą.

~  
Nie pamiętam jak to było być małą dziewczynką. Ale pamiętam, jak to było mieć piegi. Jak to słońce samo wypiętrzało je nad powierzchnię jak pagórki, zastępując makijaż. Jak to zima barwiła je pudrem z mrozu o barwie różowej. Z nimi wszystko wyglądało pełniej. Z nimi było.

Jak to było być piegatą? Nie wiem, choć byłam. Zauważyłam to dopiero, gdy piegi zmyły się pod nadmiarem wody. Gdy starałam je paznokciami, a zdarłam siłą, krwią i mięsem z siebie. Poczulałam stratę. Czuję ich brak.

Na ich miejsce włożyłam parę blizn, zadrapań, dziur zalejonych tkanką naturalną (nie dla mnie), ale one mnie nie przekonują. Piegi były lepsze. Znacznie łatwiejsze w utrzymaniu. Nikt o nie nie pytał.

~  
Piegi są brązowe, a ślady czerwone. Chyba stąd ta niechęć. Stąd różnica. Czerwień nie pasuje do wszystkiego. Brąz? Owszem.

Szkoda, że już nie jestem brązowa. Szkoda że czerwień toczy się we mnie w takim nadmiarze, że szuka ujścia. I wychodzi, i się sączy, ścieka. Wiecznie ścieka po mnie krew, nie wiem już czyja. Czy-ja?

Ostatnio gubię paznokcie tam, gdzie myśli. Wszędzie leżą kawałki już nie-mnie. Leżą nie moje, nie czyjeś, niczyje nawet nie, bo nikogo. Nikogo paznokcie leżą tam, gdzie szłam. Za dużo chodzę. Za dużo śladów tam zostawiam.

Sypie się moje ciało. Sypie się martwą tkanką. Moje ciało schnie, a usycha się ponoć z braku miłości. Żywe i nie odpadające ode mnie jest jedynie mięso na zewnątrz. Brzydzi mnie i chyba nie tylko mnie, bo jak gdzieś przechodzę to swoje własne obrzydzenie widzę na czyjejs twarzy. W każdej twarzy.

Chociaż pewnie żadna twarz nie patrzy na mnie, bo nawet nie musi. Czuję ich obrzydzenie i bez tego.

A jakby to było, gdybym powiedziała Wam, że jestem ład-

na? Że ładna, ale bez gładkiej cery i nie pachnę perfumami? Żaden perfum się mnie nie trzyma. Nawet perfumy nie są trwałe. Ja pachnę moją skórą, ale Michał mówi, że to moja skóra pachnie mną. Z niej sączy się odór. Zmywam go, ścieram, próbuję, a on cieknie dalej. W kieszeni mam chusteczki pełne krwi już nie wiadomo skąd i jak stare. Już wstyd je wyrzucać wszędzie, za sobą. Chusteczki podsumowują mój dzień. Moje dni. Krwiste – oznaczają podwyższony stan bezradności. Bledsze – najwidoczniej taki spadek energii, że zabrakło sił by otworzyć skórę na świat. By nakarmić chustki mięsem.

Tak, w kieszeni mam chustki, co piją krew.

Wypiły ją całą.

Gdybym miała mieć ksywkę, nazwaliby mnie „Dziewczynka z chusteczkami”.

~  
Zapach mojej skóry jest odpychający. Wiem to. Mój chłopak też to czuje, ale nie przyzna mi, że to specyficzne. Dla niego po prostu nikt inny tak nie pachnie.

Bo to nie zapach. To surowe mięso. Tak pachnie surowe mięso, nie człowiek.

Moja skóra ma woń surowego mięsa.

Ona cała jest mięsem.

~  
Poszarpałam tekst jak własną skórę. „Nie zbliżaj się. Rozszarpuję.”

Wyrzucam sobie czasem, że niszczę środowisko. Nie, papierki wyrzucam do odpowiednich kontenerów, ale ta ilość. Ilość środków maskujących, kamuflujących, łagodzących, obmywających jest wyczerpująca, więc musi być nadmierna. Moja „morning routine” to prysnięcie sobie w twarz Octaniseptem. Porządnie, byle bolało, byle piekło i drażniło. To znaczy, że leczy. Ale goi się długo, bo zdrapuję strupki.

Widzę jak ludzie w autobusie pytają patrzą, kto mi to zrobił, ale głupio mi tłumaczyć każdemu, że jedyna przemoc w moim domu to moja własna. Nade mną samą. Jestem przemocą.

Uzależnienie od szyb. Oficjalnie go u mnie nie stwierdzono, ale wiem, że jest. Musi być. Uzależnienie od luster. Od widoku siebie samej w tym stanie. Niebłogosławionym.



rys. Bogna Skwarra

A czasem brakuje mi wpatrywania się w siebie. Zapominam jak wygląda moja twarz, bo ona zawsze jest inna, w innym stadium gojenia. I nie lubię tak nie wiedzieć. Wolę aktualna być, świadoma jak bardzo unikać mam ludzi. Czy rany są bardzo odrażające, czy tylko trochę.

– Jak jest dziś? – pytam samą siebie.

– Tylko trochę – odpowiada ja.

Wychodzę.

Widzę jak wykrzywiają się ludzkie twarze.

– A jednak, bardzo.

Wracam, zmywam, ścieram. Cierpię.

Woda koi. Wodą przykryję się jak kołdrą. Ułożę jak pościel, uścielę, miękkością się ogarnę. Odetchnę.

Nieprawda.



Zdarza się, że woda mnie piecze. Pali mnie jej łagodność i przezroczystość jaką obejmuje mój pełny kolor. Żle mi, że tak szybko przesiąka barwą, która się ze mnie wylewa. Cała wanna topi się w krwi. Ja się w niej taplam. To niemal zabawne, ta imitacja musującej kuli. Ręce sztywnieją od bólu, ale drą dalej. Kawal za kawalem. Ale to wcale nie jest kawal, to jest ból. Bolesnie przyjemne to wydrapywanie myśli.

Kiedyś bardzo chciałam kąpać się z Michałem. Chciałam szorować jego ciało gąbką i wycierać w ręcznik. Chciałam bawić się fakturą i dotykiem zwilżonym. Bardzo chciałam. Ale dla niego to nie byłaby zabawa równie fascynująca. Moja skóra różni się od jego. On patrzy na nią ze współczuciem, bo on współczuje mi mojej skóry. On współczuje mojej skórze.

Jego skóra jest sucha, nie wysuszona, zwyczajnie umyta, tak nieskażona. Przyjemna. Zapomniałam już, że skóra może taka być.

Moja własna przypomina raczej karykaturę zdrowia i młodzieńczej witalności.

Wydarłeś kiedyś swoje żyły na wierzch? Nie? Bo ja miałam wrażenie, że byłam już blisko.

I dusiłam się wtedy. Nie tak naprawdę i nie tak całkiem na niby. Chrzęściłam trochę, ale nie znów tak przesadnie. Coś osadziło się na wewnętrznej stronie płuc, jakby sadza na oskrzelach, na czymś, co pomagało oddychać i teraz dręczy, nadwerężone, jakby niesłusznie. Niesłusznie to sobie robię. Nie, słusznie.

Kiedy byłam w brzuchu u mamy przesiąkałam wstrętem. Wstrętem, który miała do mięsa. Wiem, że to niby norma, a jednak ta odraza jakoś pozostała we mnie do dziś. Jego odcień, jego miękkość, jego rozciągliwość... wciąż nie są tak odstręczające jak zapach. Nie dotykam go. Nie surowego. Zjadam gotowe, bo nie o zwierzęta mi chodzi. Sęk w mięsie. W samym jego surowym stanie, nie do przejścia. Fobia ma nawet swoją nazwę. Miło tak czasem łapać się w etykietę, aż dziwnie nie być poza. Zastanawiam się tylko, czy to nie fobia przed samą sobą. Przed swoim wnętrzem. Własnym mięchem.

Karnofobia.



Wędrowały mi dłonie po skórze. Szukały każdej nierówności na twarzy, plecach, dekolcie i w udach. Między piersiami też. I na sutkach. Na sutkach nadmiar czegoś niepożądanego musiał być zdarty. Wydrapany. Każdy problem można zdrzeć, prawda? Moje ciało żąda czasem krwi, ma jej chora potrzebę, a członki mu ulegają. Nie opanowałam jeszcze tego mechanizmu i przeraża mnie odrobinię. Ale strach to też przyzwyczajenie. Lęk ugryzł mnie w kark i bliżej mi było do płaczu, ale ucichłam. Zaabsorbowana wędrowną ręką moich, szukaniem ich bezwiednym, a może właśnie tęsknym, roz-

rywki, ucieczki, ujścia, oderwania. Szukały oczy czegoś, na czym mogłyby się zawiesić, ale przymknęły je powieki, gdy paznokcie trafił na grudkę, jedną, drugą, później trzydziestą. Kapała z oczu sól, szczypało wszystko.

A ręce moje wciąż głodne były bólu.



Nie traktuj go jak osoby.

Ból to wymysł ludzkiego serca.

Nie boskie stworzenie.

Mój ból ma imię, ale nie wybrałam mu go sama. Osobiście nie do końca mi się podoba. Nie całkiem do niego pasuje. Brzmi łagodniej, a on dość ostry jest, bo kaleczy mi gardło i drapie w przełyku, regularnie.

– Jak nazywa się twój ból? – pyta mnie koleżanka niepoważnie. Nie dowierza, że on faktycznie ma nazwę.

– Nerwica natręctw – odpowiadam.

Był taki moment, kiedy zabrakło mi przymiotników do opisanego cierpienia. Kiedy nawet synonimy łez się przelały i zostało tylko wyliczanie:

Lęk przed utratą.

Lęk przed samotnością.

Lęk przed oszukaniem.

Lęk przed błędnym zrozumieniem.

Lęk przez zapomnieniem.

Lęk przez surowym mięsem.

Lęk przed ciemnością.

Lęk przed utyciem.

Lęk przed zgubieniem.

Lęk przed uzależnieniem.

Lęk przed biedą.

Lęk przed bogactwem.

Lęk przed brakiem umiaru.

Lęk przed bezradnością.

Lęk przed ośmieszeniem.

Lęk przed upadkiem.

Lęk przed własnym zachowaniem.

Lęk przed poznaniem.

Lęk przed niedoświadczonym.

Lęk przed już przeżytym.

Lęk przed zatajeniem.

Lęk przed smutkiem.

Lęk przed przyszłością.

Lęk przed brakiem czasu.

Lęk.

Lęk.

Lęk przed czymś, o czym jeszcze nie wiem, ale pewnie już jest.

Lęk przed kolejnym lękiem.

Lęk.

Lęk przed przeszłością.

Lęk przed irracjonalnością.

Lęk przed prawdą.

Lęk przed teraźniejszością.

Lęk przed niedosytem.

Lęk przed paniką.

Lęk przed lękiem.

Zzzz...

Zrozumiałam, że to nie skóra się rozdarła.

To serce ją otwarło.

Krwawiło.

Mama pisała historie, Michał opowiadania. Artyści wierze, a przyjaciółka baśnie. Zwłaszcza ona była moją zazdrością, była żalem.

Z utęsknieniem czytałam jej bajki. I zamiast bajkowego znów napisałam to.

Napisałam ból na inny sposób.

# Tadeusz Jacek Makles

14 sierpnia 1943 – 26 czerwca 2020

MARIAN KISIEL



Dowiedzieliśmy się o jego śmierci za późno. Odszedł od nas tak, jak chciał, prywatnie. Bo śmierć jest zawsze sprawą prywatną – a pogrzeb? Jedni pragnęliby na tej ostatniej drodze westchnień i łez, nawet jeśli udawanych. A Tadeusz Makles, odsunąwszy się przed ćwierćwieczem od uniwersyteckiego świata, skupił się na innym wymiarze życia. I chciał, żeby tak było również w jego dniach ostatnich. Outsider za życia, odszedł też jak outsider – niezwiązany ze światem zewnętrznym i przez ten świat niezauważany. Walczący przez co najmniej dwie dekady z chorobą, nie poddawał się jej – i wygrał, bo zawsze wygrywa się, kiedy udaje się na czas jakiś odsunąć to, co nieuchronne.

Urodził się w Częstochowie, doktorat uzyskał na Uniwersytecie Gdańskim – na seminarium prof. Marii Janion – w roku 1978. Praca nosiła tytuł *Z zagadnień historyzmu romantycznego w twórczości Juliusza Słowackiego* („*Mindowe*” – „*Ksiądz Marek*”) i później została opublikowana w osobnych książkach, rozdzielając dwa zagadnienia romantyczne – historyzm (*Mindowe*) i mistycyzm (*Ksiądz Marek*). Ale swoją biografią naukową był związany z Zakładem Teorii Literatury Uniwersytetu Śląskiego, kierowanym od 1974 roku przez prof. Ireneusza Opackiego. Nie był z jego szkoły, różnił się od niego metodologią i sposobem widzenia romantyzmu, nawet tego nie ukrywał. Nie był jednak buntownikiem bez powodu, swoje myślał, swoje robił. Jakoś odstawał od kolegów, którzy rzucaли się w wir coraz to nowszych tematów, pragnęli zmiany lub twierdzili, że są

tej zmiany twarzami. Ukrywający się za kłębem papierosowego dymu, ironicznie uśmiech Maklesa nakazywał podchodzić do tego, co mówiono, z dystansem.

Kiedy przyszedłem na studia w 1981 roku, spotkałem się z Nim na tzw. „michalkach”, jak nazywano ówczesnie przedmiot o nazwie „nauki pomocnicze”. Niepoważna nazwa kryła poważną treść. Uczył nas tego, co jest podstawą wszelkich nauk humanistycznych: tworzenia przypisów i bibliografii, znajomości katalogów i reguł funkcjonowania bibliotek i muzeów, czytania krytycznego, a wreszcie poznawania tajemnych obszarów literaturoznawstwa. „Nauki pomocnicze” dostawali w przydziale na ogół asystenci, ale też tacy uczeni, jak (ówcześnie) docent Zbigniew Jerzy Nowak. Mówiono, że do tego przedmiotu nie potrzeba nadmiernych kompetencji. Ale ci, którzy tak mówili, właśnie owych kompetencji nie mieli.

Makles był oryginałem, potrafił przemilczeć całe ćwiczenia (półtorej godziny), jeśli nie uzyskał odpowiedzi na zadane przez siebie pytanie. Ale w swojej sumienności, którą nazywamy filologiczną akrybią, czyli do przesady egzekwowaną szczegółowością, potrafił wydobyć nawet od najbardziej leniwego studenta porcję wiedzy minimalnej. Bawiły go sposoby zapisu przypisów – kropka, przecinek, dwukropki; ironizował na temat skrótów łacińskich: cf., ib., ibid., ed. cit., op. cit., loc. cit., id., idem, eadem; albo polskich: por., zob., ob., dz. cyt., j.w., tenże, też. Kiedy pokazywał nam metanaukowe studium Stanisława Dąbrowskiego, przestrzegał, by zapisu typu: „W. 35; Se

244; Gp 44, przyp. 56 (opinia Budzyka); ThL 17 [...]” – nie brać na pijacką czkawkę. Ten rodzaj wprowadzenia do literaturoznawstwa zawsze warto pamiętać.

Nawet jeśli mierzły go te zajęcia, nie dawał tego po sobie poznać. Odkrywał przed młodym umysłem, że nic nie jest ostateczne, że na drodze pewności wiele jest kamieni, o które można się potknąć. Więc – i historia literatury nie jest historią *sensu stricto* (ale „i” historią), że teoria nie jest jedna, lecz wieloraka, a poza teorią rozciąga się przestrzeń, w której ukryte są rozmaite poglądy i pomysły. A krytyka? Może być i tym, i tym, a czasem jeszcze czymś, czego sobie dzisiaj jeszcze nie uświadamiamy. A kiedy powątpiewaliśmy w taki relatywizm naukowy – odsyłał nas do akrybicznej lektury Herdera. Był w tym głęboki sens, ponieważ Herder – w tym co nazywał „komparatystyką” – otwierał oczy na to, co niezamknięte, ale w ciągłym pragnieniu poznawania.

Czytał uważnie, ale także z jakąś nadwyżką intelektualną, która nie zawsze sprzyja klarowności wyводу. Wiedza musi znaleźć dla siebie ujście, odkryć kanał, w którym będzie mogła uwyżnić to, co spójne i ważne. Tadeusz Makles częstokroć – i zbytnio – narzucał to, co jest nad tym, co czytamy. Dlatego jego artykuły i książki piętrzą się od przypisów, a wyraz dopowiedzeń czy polemiki zdaje się przekraczać zwykłą pojętność czytelnika. Ale taki był. Nie odpuszczał na chwilę, do jednego słowa dodawał kolejne (cudze), jakby w przekonaniu, że nie tyle sami mówimy, ile mówimy w „rozgwarze”, czyli – jak to definiuje *Słownik*



Doroszewskiego – „w gwarze rozlegającym się wkoło; wrzawie, hałasie, zgiełku”. Czym innym jest literaturoznawczy dyskurs? Tym właśnie!

W ścisłym tego słowa znaczeniu był historykiem literatury, choć niebywale uważnie czytał teksty teoretycznoliterackie. Lubił podręcznik Rene Welleka i Austina Warrena, bo był pomostem między szkołą formalną i strukturalną, a przy tym dawał zdroworozsądkowy wykład zależności wewnątrz – i zewnątrzliterackich. Nie odrzucał wszakże innych teorii, on je – *excusez le mot* – „przeżuwał”, czasami się nimi zachlystując, ale czasami – w tym gorszym wydaniu.

Nie obdarzył nas jakoś wieloma tekstami, ale napisał trzy książki: *Wobec odczyn. O ojczyznach ziemskich i idealnych w twórczości Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego* (1987), *Narodziny historii. O „Mindowem” Juliusza Słowackiego. Z zagadnień historyzmu romantycznego* (1992), *Od historii świeckiej do świętej. Ku genezyjskiemu systemowi Juliusza Słowackiego. Z zagadnień mistycyzmu romantycznego* (1995). Książki późniejsze – o, paradoksie! – są pokazaniem wcześniejszej twarzy badacza; książka wcześniejsza pokazuje jego oblicze, którym – najpewniej – nie chciał się afiszować. Albowiem to romantycy, a nie skamandryci (nawet ci, którzy podejmowali romantyczne kwestie) byli bohaterami jego lektury. Nie dał nam okazji, aby to zobaczyć gruntowniej.

Historyzm i mistycyzm romantyczny to zagadnienia dogłębnie dyskutowane w czasach młodości naukowej Maklesa, zwłaszcza zaś w kręgu jego Mistrzynie – Marii Janion. Nie uciekł więc on od tych kwestii daleko, co więcej – pozostał w ich kręgu, starając się na nowy sposób podjąć interpretację utworów, które wcześniej jakoś umykały uwadze badacza. W latach 70. XX wieku (zwłaszcza w ich pierwszej połowie) zainteresowaniem cieszyli się romantycy poeci mniejsi i mniejsze dzieła romantyzmu. Makles skoncentrował swoją uwagę na *Mindowem* i *Księdzu Marku*. Dla literaturoznawców to utwory ważne, ale dla czytelników – nie. Co zatem zobaczył młody badacz w tych dramatach?

Nie podjął wielkiej dyskusji z innymi badaczami, raczej skoncentrował się na uwyrażnianiu stanowisk, starć, czy metodologicznych różnic. To go zawsze zajmowało i powodowało przyjemność: od-

krywanie tego, co Lévinas nazywa „separacją”, czyli poszukiwaniem w Innym tego, co może stać się częścią mnie samego, pod warunkiem, że nie naruszy mojej samotności. Barbara Skarga pisała w tym kontekście: „Separacja jest istnieniem w świecie własnych zainteresowań i interesów”. Tak widzę – przez zasłony dziesięcioleci – postać Tadeusza Maklesa.

Pozostawił po sobie kilka zaledwie recenzji i sprawozdań (w „Pamiętniku Literackim” i „Biuletynie Polonistycznym”). Czytając je po latach widzę w nich tę sumiennność, która nie może zostać zastąpiona przez towarzyskie więzi. Słabszy artykuł opisywał bez większej emocji, do dobrego stosował emocjonalne przymiotniki zgody, z pracą dużej rangi stawał w dyskretnie szranki. Myślę, że w tym umyśle przeładowanym biblioteką rozmaitych poglądów i stanowisk był także prześwit tolerancji, a może nawet przyzwolenia na mniej ważne pomysły?

Barbara Skarga w swojej fascynującej *Tożsamości różnicy* zanotowała zdanie kategoryczne: „Filozofię trzeba jednak separować od utopii, uzasadnione tezy od postulatów”. Zwracam uwagę na słówko „jednak”. Zamknięta w nim została owa kategoryczność, przed jaką staramy się zwykle uciekać. Przed czym mielibyśmy „separować” historię literatury? Tutaj utopie, a więc nierealne postulaty, są częstokroć ważniejsze od tez. Makles nie umiałby się chyba znaleźć w świecie relatywnych twierdzeń. Stałby po stronie Skargi, nawet jeśli miałyby poświęcić swoją samotność (milczenie) na rzecz niepotrzebnej w tym względzie dyskusji.

Pamiętam jego reakcję, kiedy wystąpiłem na sesji poświęconej literaturze emigracyjnej. Wygłosiłem wtedy swój (do dzisiaj najczęściej cytowany) szkic o poezji Adama Czerniawskiego. Jeden z profesorów, ukryjmy go pod kryptonimem IO, zaatakował mnie wtedy, że jest on „pęknięty metodologicznie”. O, „pęknięty”! Śmiały się z tej etykiety, gdyby ów profesor uzasadnił swoją opinię; ale nie miał w zwyczaju uzasadniać. Wielu miałooby z tego powodu niedobry dzień, ale Makles wziął mnie na bok i powiedział: „niech się pan nie przejmuj; profesor często mówi, że coś jest pęknięte; niech pan trwa przy swoim”. Przyznam, że była to największa lekcja wytrwałości. Nie udzielił mi jej nikt z moich przyjaciół

– ówczesnych, ani późniejszych. A po latach z uśmiechem mógłbym powtórzyć to samo: „często mówi”. Iluż przez lata tego nie zauważyło?

Pisząc ten nekrolog, nie chcę go formułować ani w tonach górnych, ani niskich. Jakoś mi żaden z nich nie pasuje, bo mam zobaczyć przed sobą twarz tego, który odszedł, a wciąż widzę twarz tego, który jest. – Oto, przechodzimy korytarzami dawnego liceum im. Bolesława Prusa w Sosnowcu, a od 1982 roku nowego lokalu polonistyki; palimy papierosy w nazbyt ciasnych salach; siedzimy na trawniku na zewnątrz budynku; pijemy kawę w „Czarnym Diamencie”... To trwa, bo zawsze trwa w nas, co jest nasze i – nieoddawalne.

Mam świadomość, że to wspomnienie jest adresowane tylko do wąskiej grupy studentów i znajomych albo przyjaciół Tadeusza Jacka Maklesa. To oczywiste, że kiedy zamyka się rozdział naszego społecznego bycia, to i pamięć się domyka. Mijając na ulicy twarz prawie znajomą, zastanawiamy się, czy się zatrzymać, czy iść dalej – w przestrzeń nieznana, ale wolną od duchów przeszłości. Pisząc to wspomnienie, chcę zachować ważną postać naszej przeszłości, bo jeżeli nad tą przeszłością nie pochylimy się, żeby ją na chwilę zatrzymać, to po co jesteśmy, byliśmy?

Co na koniec? Może te dwuwiersze z wiersza Juliana Tuwima: „I pójdziemy potem każdy w swoją stronę / Na wędrowniki nasze smutne i szalone”. Makles napisał w kontekście tych słów: „inność, obcość samotność”. Niby o Żydach, a przecież o nas: „człowiek jest w istocie skazany na samotność. Inni ludzie to tylko tło społeczne, jakie pozwala ją ukazać. Z odczynny ziemskiej, która poetycko umiera, pozostaje tylko dom. Estetycznym substytutem domu, idealizowanym, mitologizowanym, sakralizowanym, działającym terapeutycznie – ocalająco jest sama poezja, słowo, które przecież łączy ze społeczeństwem i kultura polską oraz preczy samotności”.

O czym mowa? Makles powie wprost, zamykając w tych słowach również swój portret trumienny: „o jednej ojczyźnie, o autentycznej tożsamości, jaką jest opisana jednak w kategoriach zamknięcia – »ojczyzna-polszczyzna«”.

Odпочywyj w jej wyzwolonym żywiole, panie Tadeuszu. ■

# Biała – rzeka niebanalna

## Dawniej dzieliła, dzisiaj łączy

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Jest jedną ze szczególnych rzek regionu – prawobrzeżnych dopływów górnej Wisły. W latach 1456–1772 była polsko-czeską granicą państwową. Przez wieki odgradzała historyczne ziemie Śląska i Małopolski. Po pierwszym rozbiórce Polski stała się wewnętrzną granicą monarchii Habsburgów pomiędzy Galicją a Śląskiem Austriackim. Potem oddzielała także przez długie lata Bielsko od Białej Krakowskiej, do chwili połączenia obu miast we wspólny organizm w 1951 roku.

29-kilometrowa Biała od dawna nie jest już ponurym symbolem etnicznych i historycznych podziałów. Stawia dziś ważną część składową sieci rzecznej Śląska Cieszyńskiego. Źródła rzeki (na wysokości ok. 512 m n.p.m.) znajdują się na wschodnich stokach beskidzkiego wzniesienia Magura w gminie Buczkowice. Przepływa ona następnie przez Pogórze Śląskie, uchodząc do Wisły na pograniczu Czechowic-Dziedzic i Kaniowa (na wysokości 242 m n.p.m.). Dorzecze

Białej zajmuje niemały obszar prawie 140 km<sup>2</sup>. Rzeka ma sporo małych i dużych dopływów, z których aż cztery (Białka, Olszówka, Straconka i Kamieniczanka) to atrakcyjne potoki górskie z Beskidu Śląskiego i Małego.

– *Wody w zlewni Białej spełniają różnorodne funkcje przyrodnicze i krajobrazowe, stanowiąc m.in. miejsce bytowania i rozrodu wielu gatunków ryb, płazów, gadów i ptaków. W strefie brzegowej rzek i potoków oraz sztucznych zbiorników wodnych w dorzeczu Białej występuje zaś wiele gatunków ssaków i owadów, korzystających z naturalnych walorów przyrodniczych tych terenów – zapewniają Mariusz Rzętała i Robert Machowski, naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego, autorzy fachowej ekspertyzy hydrologicznej na temat rzeki.*

Nad Białą leżą m.in. trzy nietuzinkowe miejscowości – Bystra, turystyczna wieś beskidzka, oraz dwa ośrodki miejskie: Bielsko-Biała i Czechowice-Dziedzice. Rzeka spaja ze sobą tereny, które w przeszłości wchodziły w skład odręb-



fol. Jerzy Marszałek

Leśne źródła rzeki w Buczkowicach

nych stref etnicznych i kulturowych. Przechadzając się – dla przykładu – po uczęszczanym moście w ciągu ul. 11 Listopada w ścisłym śródmieściu Bielska-Białej i patrząc na przepływającą tamtędy rzekę, nie odczuwa się w ogóle faktu przekraczania dawnej granicy między Bielskiem a Białą. Obie części miasta zintegrowały się całkowicie, a jedyną dostrzegalną różnicą między nimi jest nieco odmienna architektura nadrzecznych kamienic.

### Rzeźby filmowych postaci

Lokalne władze samorządowe umieściły w bliskim sąsiedztwie rzeki charakterystyczne rzeźby znanych postaci z dziecięcych kreskówek, które powstały przed laty w Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Sympatyczne figury zabawnego psiaka o imieniu **Reksio** oraz dwóch doskonałych znanych urwisów – **Bolka** i **Lolka** są wizerunkowymi znakami rozpoznawczymi miasta. Oba oryginalne pomniki z brązu zostały odsłonięte w latach 2009–2011. Wielce pomysłowy jest przyciągający uwagę monument filmowych urwisów (dzieło rzeźbiarza Jarosława Mączka). Obaj chłopcy stoją przy globusie, na którym Bolek pokazuje Lolkowi Polskę i Bielsko.

Trudno o lepszy i bardziej wymowny symbol 170-tysięcznego miasta, kojarzonego przecież zwyczajowo z tamtejszą wytwórną filmów animowanych. Plac przed galerią handlową obok rzeki jest z tego właśnie powodu ulubionym miejscem wizyt spacerowiczów i przyjezdnych turystów, którzy chętnie fotografują swoje dzieci na tle postaci Bolka i Lolka.

Śródmiejska rzeźba Reksia przy widowskiej fontannie pełni natomiast pożyteczną rolę ważnego punktu topograficznego na planie miasta. W pobliżu tego miejsca wpływa do Białej jeden z jej licznych dopływów – potok **Niwka** o długości ponad 6 km. Końcowy odcinek potoku przy jego ujściu do rzeki został przed kilkudziesięciami laty uregulowany i przykryty betonowymi płytami, na których pojawiła się nawierzchnia asfaltowa. Liczni kierowcy

fol. Z. Lubowski



Reksio obok nadrzecznej fontanny

samochodów poruszających się po ul. Stojałowskiego nawet nie zdają sobie sprawy, że jeszcze w dekadzie lat sześćdziesiątych zeszłego wieku płynął tam (między budynkami mieszkalnymi) otwarty i mocno śmierdzący potok.

### Zagrożenie powodziowe

Zasilana wodami z wielu dopływów Biała bywała niekiedy bardzo niespokojną rzeką.

– *W ciągu ostatnich 60 lat doszło do 12 większych wezbrań opadowych. W dwóch przypadkach (w latach 2007 i 2010) były to gwałtowne zjawiska pogodowe o bardzo niepokojącym charakterze. Najwyższy poziom wody w rzece odnotowano w latach 1970 i 2010. Kulminacyjna fala powodziowa sięgała wtedy szczytowego pułapu murów oporowych. Gmach Ratusza nie został jednak, na szczęście, zalany* – relacjonuje Artur Dunat z Wydziału Ochrony Środowiska i Energii Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej.

Katastrofalna powódź nawiedziła Bielsko w 1915 roku. Rzeką zalała Plac Ratuszowy na wysokość prawie jednego metra. Ślad tamtego żywiołu jest do dziś zaznaczony symbolem WW na ścianie jednego z miejskich budynków (siedziba Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego).

– *Biała charakteryzuje się znacznym potencjałem powodziowym. Wynika to w dużym stopniu z koncentracji jej głównych dopływów na terenie miasta, co stwarza warunki do groźnego nakładania się poszczególnych fal kulminacyjnych i powstawania zjawiska tzw. superpozycji fali* – wyjaśnia fachowo Artur Dunat, pracujący na co dzień w Ratuszu.

### Wizja nadrzecznych bulwarów

Na początku tego roku zorganizowano w tym właśnie zabytkowym obiekcie miejskim ciekawą debatę pod hasłem: jak uatrakcyjnić dla mieszkańców obecność rzeki na terenie miasta? Co zrobić,



Biała wśród śródmiejskich zabudowań Bielska-Białej

by bielszczanie mogli z pożytkiem korzystać z jej walorów?

– *Na pewno należy najpierw wyprowadzić z centrum Bielska tranzytowy ruch drogowy. Wymaga to budowy odpowiedniej arterii komunikacyjnej. Nadrzeczna przestrzeń będzie wtedy przyjazna dla pieszych. Można wówczas doprowadzić do budowy schodów i stosownych zejść, by mieszkańcy mogli dotknąć wody, a nawet pomoczyć nogi, ale pod warunkiem, że nie będzie destrukcyjnych zanieczyszczeń w rzece. W sąsiedztwie nadrzecznej galerii handlowej mogłyby powstać bulwary spacerowe z atrakcyjnymi zieleńcami i skwerami, co spotkałoby się zapewne z aprobatą wielu bielszczan* – mówili uczestnicy zimowego spotkania lokalnych samorządowców.

### Zróznicowane krajobrazy

Rzeka przepływa przez całe niemal miasto. Inaczej prezentuje się jednak w peryferyj-

nych dzielnicach o charakterze rekreacyjnym, inaczej wśród śródmiejskich zabudowań, a jeszcze inaczej w północnej, typowo przemysłowej, części Bielska-Białej, w której znajdują się zakłady przemysłowe Fiat Auto Poland (w rejonie ujścia ponad 6-kilometrowego Potoku Starobielskiego, wypływającego ze źródeł zlokalizowanych na północ od popularnego lotniska aeroklubu w Aleksandrowicach).

Rodowici bielszczanie potrafią błędnie wskazać, w którym punkcie miasta można zrobić najbardziej efektowne zdjęcie rzeki. Jeden z życzliwych przechodniów zaprowadził mnie nawet do jednego z nadrzecznych parków, proponując sfotografowanie unikatowych stopni kamiennych, ukrytych częściowo w nurcie Białej. Z dziennikarską otwartością muszę wyznać, że takich nietypowych widoków nie ma w rzekach Górnego Śląska...

foto. Z. Lubowski



Rzeka na tle Beskidów



foto. Z. Lubowski



Ujście potoku Niwka do Białej

Na terenie Czechowic-Dziedzic wpływają do Białej kolejne potoki – Kromparak i Świerklówka, zbierające wody z południowej części 35-tysięcznego miasta. Od tego miejsca aż do ujścia rzeki do Wisły łączą się z nią pojedyncze cieki z rowów odprowadzających wody z licznych stawów hodowlanych. Łączna długość wszystkich cieków w zlewni Białej wynosi niespełna 300 km.

#### Zmiana koryta rzeki

Działalność przemysłowa, prowadzona w przyujściowej strefie rzeki przez firmę górniczą „Silesia”, doprowadziła do istotnej zmiany układu powierzchniowej sieci rzecznej. Zmiany te są doskonale widoczne na starszych mapach topograficznych. Rozwój czechowickiej kopalni węgla kamiennego i zajmowanie przez zakład nowych terenów do-

prowadziły w konsekwencji do odcięcia i zasypiania przyujściowego odcinka koryta Białej, na długości ok. 1,4 km.

– Wody rzeki zostały skierowane do nowego koryta, które współcześnie łączy się z Wisłą w odległości ok. 820 m poniżej naturalnego miejsca połączenia obu rzek. Część terenów kopalnianych, po których dawniej płynęła Biała, została zaadaptowana przez Bielski Park Technologiczny Lotnictwa, Przedsiębiorczości i Innowacji. Dla jego potrzeb utworzono lotnisko w Kaniowie z myślą o małym ruchu lotniczym, tworząc w tym celu niezbędny pas startowy o długości 700 m – czytamy w hydrologicznym materiale informacyjnym, opracowanym przez naukowców z Uniwersytetu Śląskiego. Ostateczne ujście Białej do Wisły znajduje się na 35 kilometrze biegu najdłuższej z polskich rzek.

#### Ekologiczne zastrzeżenia

Z dziennikarskiej rzetelności trzeba jednak koniecznie dodać, że jakość wód w zlewni Białej pozostawia dużo do życzenia. Decyduje o tym przede wszystkim charakter nadrzecznych terenów miejsko-przemysłowych Bielska-Białej oraz Czechowic-Dziedzic. Istnieje tam wiele punktów zrzutu ścieków różnego pochodzenia, a także wód opadowych i roztopowych. Wyniki badań przeprowadzonych przez Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach wskazują wyraźnie, że parametry wód rzeki pod względem ekologicznym (zarówno biologicznym, jak i fizykochemicznym) są po prostu złe. Nie jest to jednak tylko następstwo zrzutu ścieków przemysłowych.

Warto sobie uzmysłowić, że do zlewni Białej trafiają przecież także ścieki pochodzące z terenów rolniczych, powstające m.in. w efekcie odwadniania licznych kompleksów stawów hodowlanych. W takich zbiornikach gromadzi się zaś niemało tzw. substancji biogennych (fosforanów i azotanów). Wraz z wodą przedostają się one potem do rzeki, przyczyniając się w oczywisty sposób do jej zanieczyszczenia. Takie niedogodne dla przyrody zjawiska nie występują wszakże na całej długości Białej. Lepsze parametry fizykochemiczne mają cieki powstające na skutek odwadniania terenów zalesionych, położonych w obrębie Parków Krajobrazowych Beskidu Śląskiego i Małego.

Lasy stanowią blisko 25% powierzchni zlewni rzeki. Istnieją dwa duże skupiska kompleksów leśnych w tej rozległej strefie. Porastają one na wschodnich stokach wzniesień Beskidu Śląskiego (Magury, Klimczoka, Szyndzielni) oraz na zachodnich zboczach wzniesień Beskidu Małego (Magurki, Łysej Góry, Czupla). To ekologiczne dobrodziejstwo dla obszaru dorzecza Białej. ■



Kamienne stopnie w nurcie rzeki



Ujście Białej (z lewej) do Wisły na pograniczu Czechowic-Dziedzic i Kaniowa



Nadrzeczny gmach Ratusza w Bielsku-Bialej



Śródmiejska rzeźba Bolka i Lolka w sąsiedztwie rzeki



„Skarb hutnika” to ok. 1000 srebrnych denarów, które odkryto w szklwionym naczyniu glinianym, o pięknym ornamentcie.



Koryto i płuczka służące do wyptukiwania rudy srebra i ołowiu, to cenny zabytek muzeum „Szttygarka”

# Srebrne Zagłębie

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Odkrycia archeologiczne wskazują, że dzisiejszy teren Zagłębia Dąbrowskiego już we wczesnym średniowieczu był jednym z najpoważniejszych ośrodków obróbki ołowiu i srebra, i że zagłębie hutnicze istniało w pobliżu dawnej Huty Katowice („ArcelorMittal Poland” S.A. o. w Dąbrowie Górniczej) już w XI wieku. Wcześniej sądzono, że ludność zamieszkująca ten teren przerabiała występujące tu rudy srebra i ołowiu dopiero w wiekach XII i XIII. Dziś namacalnymi dowodami historii są niezwykle cenne zabytki prezentowane w dąbrowskim Muzeum Miejskim „SztYGarka” m.in. „Skarb hutnika”, (ponad 1000 srebrnych denarów w naczyniu ceramicznym z ornamentem bizantyjskim) oraz tzw. płuczka z XV w., w której płukano rudę srebra i ołowiu.

## Ołów równie cenny jak srebro

Istnienie zagłębia górniczo-hutniczego na pograniczu historycznych ziem Śląska i Małopolski potwierdza szereg wykopalisk, m.in. z terenu Łośnia (dziś dzielnica Dąbrowy Górniczej), Zagorza (obecnie dzielnica Sosnowca), Siewierza. Głównym materiałem pozyskiwanym w procesie produkcyjnym był ołów. Wykonywano z niego np. pokrycia dachów, oprawiano witraże, tworzone naczynia i ozdoby. Dodawano go nawet do wina (prawdopodobnie by go zakonserwować). Był to materiał szkodliwy o czym pewnie w dużym stopniu nie wiadomo. Niemniej jednak był wykorzystywany w wielu dziedzinach gospodarki. Srebro pozyskiwano jako produkt uboczny przy produkcji ołowiu – podkreśla Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej i autor opracowań historycznych o Zagłębiu Dąbrowskim. Z wykopalisk prowadzonych w Strzemieszycach (dziś także dzielnica Dąbrowy Górniczej) przed II wojną światową mamy kilkanaście srebrnych ozdób, natomiast skarb z Łośnia obejmuje w większości srebrne monety. Tak więc obok ołowiu srebro dawało kapitał do działania chociażby naszym księżętom dzielnicowym, bo monety, które posiadamy, wybijał m.in. Władysław Wygnaniec i jego brat Bolesław Kędzierzawy.

Często można przeczytać w publikacjach, że nasi książęta pozyskiwali fundusze i bogactwa z wypraw rabunkowych i oczywiście tak było, jednak dużym wzmocnieniem władzy był rozwinięty przemysł górniczy i metalurgiczny.

– Sam Kędzierzawy musiał zapłacić trybut z części ziem polskich cesarzowi Barbarossie – dodaje Arkadiusz Rybak. – Płacił monetami, które pewnie w większości były wybijane ze srebra produkowanego w naszym regionie. Hołd lenny w Krzyszkowie pod Poznaniem został zawarty 30 sierpnia 1157 r., między księciem Bolesławem Kędzierzawym i jego bratem Mieszkiem III, a cesarzem Fryderykiem I Barbarosą. Z postanowień traktatu wynikało oddanie w lenno cesarskie części spornych ziem polskich, do których pretensje wysuwał wygnany z kraju przez młodszych braci Władysław II.

Dzięki złożeniu hołdu Bolesław Kędzierzawy mógł nadal władać nieprawnie zagarniętą dzielnicą senioralną. Ponadto (już jako lennik) zobowiązywał się do uczestnictwa w roku następnym – 1158 w tzw. cesarskiej „wyprawie mediolańskiej” oraz zapłacenia za-

ległego trybutu w wysokości 3400 grzywien srebra. Rekojmia zobowiązań krzyszkowskich było wysłanie do Królestwa Niemieckiego wybranych zakładników z możnych rodów polskich, a także Kazimierza, najmłodszego brata Bolesława i Mieszka.

## Skarb, który zainteresował BBC i „National Geographic”

Został odnaleziony w lipcu 2006 roku w Łośniu. Prace prowadzone tu od 1998 roku, odbywały się one pod kierunkiem Dariusza Rozmusa z muzeum „SztYGarka”. W Łośniu odkryto rozległą osadę pochodzącą z okresu XI-XII/XIII wieku, związaną z wytopem srebra i ołowiu. Podczas badań archeolodzy odkryli szyb górniczy związany z wydobywaniem rud ołowiu, zawierających znaczne ilości srebra oraz piece hutnicze. Ranga znaleziska potwierdziła, że osada hutnicza w Łośniu była jednym z najpoważniejszych ośrodków obróbki ołowiu i srebra w średniowiecznej Polsce. Zagłębie hutnicze istniało w dzisiejszym Zagłębiu Dąbrowskim już w XI wieku. Wcześniej sądzono, że ludność zamieszkująca ten teren przerabiała występujące tu rudy srebra i ołowiu dopiero w XII i XIII wieku. Z odnalezionych śladów walk i pożarów wiadomo, że hutnicza osada wielokrotnie była niszczona przez najeźdźców, którzy najprawdopodobniej chcieli ją przejąć lub obrabować.

Aby opisać cenne znalezisko powołano zespół pod kierunkiem wybitnego archeologa, numizmatyka i historyka prof. dr. hab. Stanisława Suchodolskiego z Warszawy, w którym znaleźli się też Bartłomiej Szmoniewski z krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk i z muzeum „SztYGarka”: Dariusz Rozmus i Joanna Tokaj. Datowania losieńskich stanowisk archeologicznych dokonano na podstawie cech ceramiki oraz ozdób, elementów uzbrojenia i grupy odważników (badanie metodą węgla C14). W skład skarbu wchodzi ok. 1200 monet, przy czym pra-

wie 1000 znajdowało się bezpośrednio w szklawionym naczyniu glinianym lub jego bliskim sąsiedztwie, natomiast pozostałe znaleziono przy okazji dalszych prac wykopaliskowych. Są tu wszystkie znane cztery typy denarów wydawanych za czasów panowania Władysława II Wygnańca (czyli w latach od 1138 do 1146) oraz cztery z siedmiu typów monet wydawanych za Bolesława Kędzierzawego (czyli od 1146 do 1173 roku). W skład znaleziska wchodziła też jedna moneta Bolesława Krzywoustego oraz denarek krzyżowy. Jest tu też ok. 2 kg luźnych bryłek srebra i tzw. siekańców – płaskich kawałków srebra, których używano, gdy brakowało odpowiednich monet. Bryłki srebra odważano przy pomocy prezentowanych w muzeum żelaznych odważników obłożonych w koszulki z brązu.

„Skarb hutnika” to wyjątkowe znalezisko w skali europejskiej, powstało na jego temat kilkaset opracowań naukowych. W 2014 r. Dariusz Rozmus, Stanisław Suchodolski i Joanna Tokaj opublikowali monografię „Wczesnośredniowieczny Skarb hutnika z Dąbrowy Górniczej”, wydawcą publikacji było muzeum „SztYGarka”. Przedmiotami mocno interesującą się też media, w Dąbrowie gościli m.in. dziennikarze z „National Geographic” i stacji BBC.

## Naczynie jak suknia bizantyjskiej dwórk

Skarb został ukryty najprawdopodobniej ok. 1163 r. Być może działała tu nawet mała mennica, o czym mogłaby świadczyć znaczna liczba ukrytych monet. Ukrycie skarbu miało miejsce podczas wojny toczonej przez synów Władysława II Wygnańca i krakowskiego księcia seniora Bolesława IV Kędzierzawego. Szczególnie piękne i cenne jest też naczynie, w którym znajdowały się monety. Jest ozdobione ornamentem bizantyjskim, co może świadczyć o kontaktach z obszarem Bizancjum. Podobny wzór jak na naczyniu odnajdziemy na szacie jednej z dwórek cesarzo-



„Skarb hutnika” to ok. 1000 srebrnych denarów, które odkryto w szklawionym naczyniu glinianym, o pięknym ornamentcie

for. Muzeum Miejskie „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej



Awersy i rewersy monet przedstawiają m.in. św. Wojciecha, sceny rycerskie i myśliwskie

wej Teodory, żony cesarza Justyniana I Wielkiego, na mozaice w bazylice San Vitale w Ravennie.

Jeśli chodzi o przedstawienia na monetach, znajdziemy tu np. jagnię widoczne w szponach orla. Inna interpretacją to gazela w szponach orla, co odsyłałoby znalezisko w stronę Bizancjum, gdzie lania była często pokazywanym zwierzęciem. Inna z monet przedstawia książąt wznoszących kielich, być może to Władysław II Wygnaniec i Bolesław IV Kędzierzawy. Najczęściej jednak przedstawiany jest św. Wojciech (nosił też imię Adalbert, w jęz. łacińskim Adalbertus), jest widoczny na ok. 400 monetach. Św. Wojciech, biskup praski, benedyktyn i misjonarz został zamordowany w Prusach w 997 r., a jego głowę zatknęto na pal. Bolesław Chrobry, władca Polski wykupił ciało męczennika i pochował w Gnieźnie. Biskup został też wkrótce kanonizowany, a jego czyny obrosły legendami (to pierwszy polski święty i obecnie jeden z patronów Polski, jego życiorys istotnie przyczynił się do poznania początków państwa polskiego). Kult świętego zaczął szerzyć się ok. 100 lat po śmierci Wojciecha. Powstało wówczas wiele jego relikwii i wtedy też trafił m.in. na monety.

### Oblicza świętego Wojciecha

– W zbiorze monet znalezionych 13 lipca w Dąbrowie Górniczej-Łośniu przedstawienia św. Wojciecha po-

jawiają się m.in. na monetach typu II, należących do Władysława II Wygnańca. Generalny schemat przedstawienia ikonograficznego sprowadza się tu do ukazania półpostaci księcia z mieczem i tarczą na awersie monety oraz półpostaci biskupa z pastorałem na rewersie. Schemat kompozycyjny tych monet został zapożyczony z monet czeskich. Przy czym w wypadku przedstawienia biskupa trzyma on w prawej ręce pastorał, a w lewej ręce Ewangelię. Jedną z monet tej odmiany (Władysław Wygnaniec typ II) jest o tyle ciekawa, że twarze księcia i św. Wojciecha są identyczne. W podobny sposób oddano również przedstawienie najprawdopodobniej kolczugi, a także krzyża umieszczonego zarówno na awersie, jak i rewersie – wskazują Dariusz Rozmus i Joanna Tokaj w opracowaniu „Oblicza świętego Wojciecha na monetach Bolesława Kędzierzawego”.

W „Skarbie hutnika” najwięcej przedstawień to twarze świętego (również w tzw. relikwiarzu) na monetach Kędzierzawego. Są ich aż 72. odmiany, co wynika też ze sposobu produkcji monet.

„Przy użyciu jednego stempla można było wybić nawet kilka tysięcy sztuk monet, po czym ulegał on odkształceniom lub po prostu pękał. Dlatego też po zużyciu stempla mennicznego (na podstawie starego zużytego tłoku, wybitych nim monet lub wzorca sporządzonego na pergaminie) mincerz wykonywał jego

nowy odpowiednik, który (co raczej nieuniknione) chociaż w niewielkich detalach musiał różnić się od poprzedniego” – dodają autorzy.

Monety różnią się też napisami w tzw. otoku.

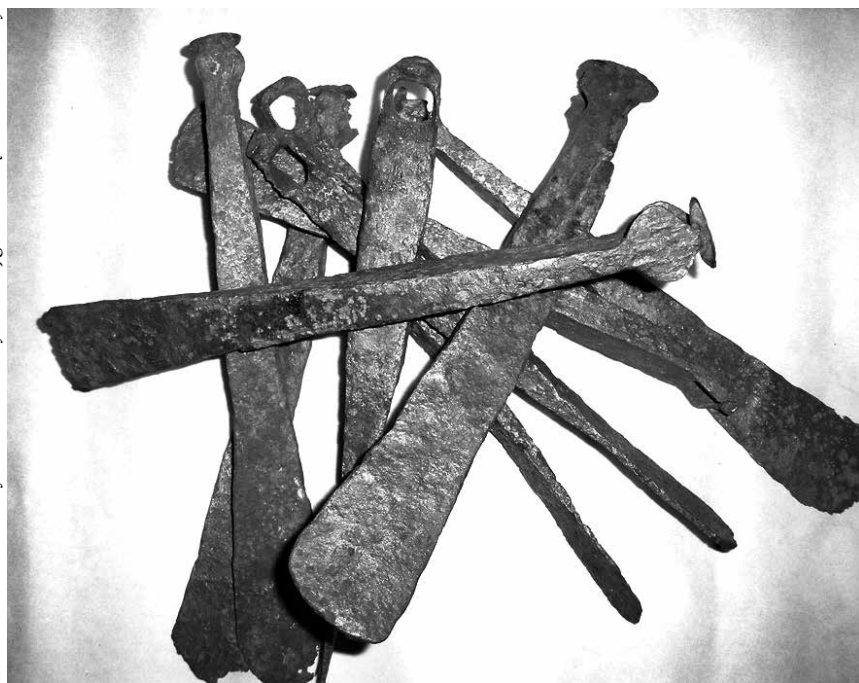
### Metalurgia i ofiara „na szczęście”

Muzeum Miejskie „Szttygarka” prezentuje historię metalurgii srebra i ołowiu Ziemi Zagłębiowskich. Ekspozycję nazwano „sałą trzech skarbów”. „Skarb rabczyński” (odkryty nieopodal zamku w Rabsztynie k. Olkusza) składa się z 200 monet. Są to wykonane z miedzi i posrebrzane denary jagiellońskie z początku XV wieku. Na rewersie i awersie monet możemy rozpoznać koronę i orla. Prezentowane są tu też XV-wieczne ostrogi z bodźcami gwiazdzistymi, które znaleziono w czasie prowadzonych w Rabsztynie wykopalisk. W muzeum zrekonstruowano też jeden z kilku grobów krów, odsłoniętych na stanowisku archeologicznym w Łośniu nieopodal pieców hutniczych. Analiza kości zwierząt wykazała w nich wysokie stężenie ołowiu. Grób ułożono wykorzystując oryginalny szkielek krowy. Rytualny pochówek to tzw. ofiara zakładzino-wa. Być może w ten sposób wczesnośredniowieczni hutnicy chcieli zapewnić sobie opiekę bóstw, szczęście i dobry efekt trudnej pracy.

Przez wieki eksploatacja oraz wytop srebra i ołowiu przebiegały w podobny sposób. Wydobyta z ziemi rudę przed wytopem najpierw płukano, odbywało się to w tzw. płuczkach. Ekspozowane w muzeum koryto i płuczkę odkryto w Hutkach koło Olkusza. Opisane zostały przez znawcę górnictwa Georgiusa Agricole w XVI wieku w dziele „De Re Metalica”. Konstrukcja została nazwana płuczką polską. Z kolei wytop rudy odbywał się dwóch typach pieców hutniczych: prostym, czyli w palenisku i w bardziej zaawansowanym. W muzeum przygotowano rekonstrukcję takiego pieca. Powstała na podstawie badań archeologicznych i rycin z dzieła „De Re Metalica”. Podczas wytopu z rudy ołowiu pozyskiwano tlenek ołowiu (tzw. glejtę) i odciągano srebro.

Z kolei prezentowany w muzeum „Szttygarka” tzw. „skarby z Kostkowic” to pochodzące z IX wieku grzywny siekieropodobne, które pełniły w tamtym okresie rolę... płacideł, czyli pieniądza niemonetarnego. Podobne grzywny znane są z Czech i Moraw, Małopolski i Skandynawii.

– Najcenniejsze zabytki naszego muzeum to oczywiście skarby monet z XII wieku, koryto płuczkiz XV wieku z pnia jodły, gdzie płukano rudę ołowiu. Ponadto mamy w zbiorach tzw. bochny ołowiu. W najbliższym czasie pozyskamy do zbiorów wyniki wykopalisk prowadzonych pod Siewierzem. Najciekawsze z nich to sztaby ołowiane z XII wieku – podkreśla dyrektor Rybak. ■



Grzywny siekieropodobne, były rodzajem płaciwa niemonetarnego.



**W**dawnych czasach koń był nie tylko partnerem w ciężkiej pracy, lecz także podstawowym środkiem lokomocji. Współczesny człowiek nie usunął jednak ze swego rozwiniętego świata powozów konnych. Kontakt z naturą, jaki zapewnia jazda bryczką, jest lekarstwem na wiele bolączek zabieganego życia. Odprężającą wakacyjną przejażdżkę w roli pasażera może odbyć każdy. Pragnący zastrzyku emocji przesiadają się na koziół, by rywalizować w niezwykle widowiskowych i trudnych zawodach w powożeniu sportowym bądź odtwarzać ziemiańską przeszłość z całym jej kolorytem w powożeniu tradycyjnym. Górny Śląsk jest gościnnym gospodarzem dla obu tych dyscyplin jeździeckich.



Uczestnik Mistrzostw Świata Piotr Mazurek. Zawody CAI Ptakowice 2018

### Pałac, konie i śpiew

Koszęcin – sława tego miejsca wykracza daleko poza Śląsk, a nawet granice Polski. Ta około czteroiopółtysięczna wieś leży w powiecie lublinieckim i jest siedzibą gminy oraz nadleśnictwa. To nie te role jednak przysparzają jej najwięcej renomy, lecz klasycystyczny zespół pałacowo-parkowy – od 1953 roku siedziba Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hady.

Dawniej w Koszęcinie stał drewniany zamek, który spłonął na początku XVII wieku, podpalony przez lisowczyków. W 1609 roku Andrzej Kochcicki rozpoczął budowę murowanej kaplicy i pałacu, którą zakończył Filip von Rauthen. Za czasów Mikołaja Filipa von Rauthen w pałacu gościł Jan Sobieski, a jego żona Marysienka pozostała tam, gdy król – oczywiście konno – wyruszył pod Wiedeń na wyprawę przeciw Turkom. Następnie pałac przechodził z rąk do rąk, a w 1829 roku rozpoczęto jego przebudowę w stylu późnoklasycystycznym, w którym zachował się do dziś. Ostatni właściciel pałacu, Karl Gottfried zu Hohenlohe, wymigrował do Austrii, gdzie zmarł bezpotomnie.

Koszęciński zabytek to jeden z największych w Polsce zespołów pałacowych z okresu neoklasycyzmu. Składa się z trzech niesymetrycznych skrzydeł. Badania ustaliły, że najstarszym z nich jest skrzydło północne – odkryto tu kamienie pochodzące z XVI wieku. Nieczynna od 1945 roku kaplica pałacowa w 2001 roku została wyremontowana, stając się Kameralną Salą Koncertową „Śląska”. To tutaj odbywają się koncerty okolicznościowe podczas imprez organizowanych w siedzibie Zespołu. W podziemiach dawnej kaplicy spoczywają niektórzy z poprzednich właścicieli pałacu.

Kompleks obejmuje także Dom Pracy Twórczej im. Adolfa Dygacza. Zarządzano tam Izbę Pamięci Zespołu „Śląsk”, w której znajduje się stała

ekspozycja śląskich strojów ludowych i pamiątek z licznych tras koncertowych zespołu. Ponadto na dziedzińcu pałacu stoi „Ławeczka profesorska” – pomnik profesora Stanisława Hady, założyciela Zespołu i jego wieloletniego dyrektora. Jest tam też fontanna w oryginalnym kształcie... fortepianu. Pałac otacza park krajobrazowy założony w połowie XIX wieku. W jego zachodniej części znajduje się malownicze oczko wodne, a wiele drzew to pomniki przyrody.

Co roku na przełomie czerwca i lipca z okazji urodzin ZPiT „Śląsk” odbywa się impreza kulturalna pod nazwą Święto „Śląska”. Jest to piknik artystyczny z pokazami historycznymi takimi jak walki rycerskie, czy dawne rzemiosło. Występują tam europejskie zespoły taneczne oraz zespoły muzyki rozrywkowej. Dyrekcja zespołu „Śląsk” wręcza wówczas nagrodę Animus Silesiae, by wyróżnić artystów szczególnie dbających o śląskie dziedzictwo kulturowe.

### Powożenie w wersji retro

Od pięciu lat na początku sierpnia Koszęcin gości imprezę wyjątkową: Międzynarodowy Konkurs Tradycyjnego Powożenia (CIAT) o Trofeum „Śląska”, rozgrywany pod szyldem i według zasad Międzynarodowego Stowarzyszenia Powożenia Tradycyjnego (AIAT). Współorganizatorami zawodów są: Gmina i Nadleśnictwo Koszęcin oraz Polska Grupa Tradycji Powożenia (PGTP), a partnerują im m.in.: Muzeum Powozów w Galowicach, ma-

zowiecka Stadnina Koni i Muzeum Powozów M.K. Szuster oraz firma Powozy Doruch. Co roku zapraszani są goście honorowi, jak np. pierwsza dama polskiego jeździectwa – olimpijka Wanda Wąsowska – czy znana aktorka Emilia Krakowska. Patronem medialnym jest Program 1 Polskiego Radia. Wydarzeniu towarzyszą odpowiednio dobrane atrakcje dodatkowe, takie jak pokaz jedynej czynnej w Polsce parowej sikawki strażackiej, pokaz pracy sokolników, szkolenia poświęcone powożeniu tradycyjnemu czy jarmark rękodzieła i wyrobów ekologicznych. W zeszłym roku odbył się także pierwszy w Polsce pokaz historycznego spięcia dziesięciu koni w zaprzęgu w tzw. klin, który odnotowało Biuro Rekordów. Rzecz jasna, imprezę co roku uświetnia koncert galowy ZPiT „Śląsk”. Kto sądzi, że powożenie w takiej oprawie pozostaje rozrywką dla elit, ten musi wiedzieć, że wstęp na wydarzenie jest bezpłatny, a szkolenia – otwarte.

Podobnie jak na zawodach powożenia sportowego, powożący tradycyjni z całej Europy rywalizują w trzech próbach, które ocenia komisja sędziowska w międzynarodowym składzie. Do tej pory przewodniczył jej baron Christian de Langlade z Francji – kolega i dawny rywal legendarnego polskiego powożącego zaprzęgami czterokonnymi, Kazimierza Andrzejewskiego, a obecnie prezes AIAT.

Pierwszą próbą jest prezentacja, podczas której komisja ocenia pięć elementów: wrażenie ogólne, zaprzężone konie lub kuce, uprzęż, pojazd oraz ze-

# Bryczką po Śląsku

ELEONORA JOSZKO

spół, tj. powożącego, luzaka i pasażerów. Dla publiczności jest to kopalnia wiedzy o zaprzęgach – a zobaczyć ich można bajeczną różnorodność: powóz w stylu hiszpańskim, szybkie i zwinne zaprzęgi góralskie, bryczkę krakowską (wiozącą grający na żywo zespół muzyczny!), tzw. doktorkę (jednokonną powóz dawnych lekarzy) powożoną przez... współczesnego chirurga, ludowy zaprzęg weselny z panną młodą w tradycyjnym czepcu, a dwa lata temu nawet trojkę z Moskwy! Podobna różnorodność panuje wśród koni: Koszęcin gości m.in. fryzyskie „czarne perły”, stworzone do powożenia konie ras śląskiej i kladrubskiej (z niedalekich Czech) czy walczone kuce w zaprzęgach dzieci. Po prezentacji formuje się barwny korowód – korso, który podąża ulicami Koszecina.

Następnego dnia rano odbywa się próba terenowa, poprowadzona ulicami wsi i drózkami parku pałacowego. Objęta normą czasu trasa zawiera nietypowe zadania, takie jak kieliszek, cofanie czy zatrzymanie na pochyleniu terenu. Najbardziej widowiskowe dla publiczności jest pierwsze z zadań, w ramach którego zawodnicy muszą podjechać do stojaka po kieliszek, opróżnić go, wypijając lub wylewając zawartość i odstawić kilka metrów dalej, cały czas trzymając lejce i bat w lewej ręce.

Po południu następuje próba zręczności powożenia: zaprzęg musi na czas przejechać trasę z bramkami z plastikowych stożków, zwanych w żargonie jeździeckim keglami. Na każdym z nich leży piłeczka, której strącenie oznacza punkty karne. Stopień trudności zadania obrazuje fakt, że odstęp między kołem pojazdu a keglem z każdej strony wynosi tylko 15 cm!

### Tradycja znaczy otwartość

O życzliwej atmosferze i gościnności tak tradycyjnej imprezy świadczy m.in. jej klasyfikacja końcowa. Oprócz trofeum za zwycięstwo w całych zawodach przyznaje się nagrody w szeregu kategorii: zaprzęgów jedno-, par-, trzy-, cztero – i pięciokonnych(!), zaprzęgów kuców i powożących juniorów. Organizatorzy wręczają także nagrody specjalne. Wyróżnienie takie otrzymuje m.in. zaprzęg z najdalszej strony (w jednej z edycji była to entuzjastycznie oklaskiwana przez publiczność trojka z Muzeum Trojki i Kłusaka Orłowskiego z Moskwy, która przebyła ponad 1500 km!). Polski Związek Hodowców Koni (PZH) funduje nagrodę dla najlepszego zaprzęgu koni polskiej hodowli. Najważniejszą nagrodą specjalną jest jednak tytuł Zaprzęgu Dobrych Serc, przyznawany po głosowaniu publiczności połączonym ze zbiórką na rzecz Ośrodka Rehabili-



Niemka Maria Rita Walter w próbie terenowej. Zawody CAI Ptakowice 2018

tacyjnego pw. św. Rafała Archanioła dla dzieci niepełnosprawnych w Rusinowicach. Po ceremonii dekoracji wszyscy uczestnicy wykonują wspólnego kadryla, czyli pokaz z choreografią do muzyki.

### U mistrza za miedzą

Kto przyjechał do Koszęcina z miejscowości położonych na południe od Tarnowskich Gór, ten w drodze powrotnej w niedalekiej odległości mija Ptakowice. Owa wieś sołecka znajduje się w połowie drogi między Parkiem w Reptach i Doliną Dramy a wsią Zbrostawice. Jak widać, już sama okolica Ptakowic jest bogata w walory turystyczne, przyrodnicze i kulturowe. Park repecki, znany dzięki Górnośląskiemu Centrum Rehabilitacji im. gen. Jerzego Ziętka, słynie również z szybów wpisanej na listę UNESCO Zabytkowej Kopalni Srebra oraz instytucji salezjańskich – zakładu opieki zdrowotnej i ośrodka szkoleniowo-wychowawczego. Warto tam także zboczyć z utartych ścieżek i dotrzeć do

doliny rzeki Dramy, aby zobaczyć soczyste zielone wiosną łąki i baśniowy las bukowy. Zbrostawice natomiast to prawdziwa jeździecka gmina na mapie Polski – jej teren jest wprost upstrzony ośrodkami jeździeckimi, wśród których pierwszy był istniejący do dzisiaj legendarny KJ Zbrostawice, założony w roku 1973 jako Akademicki Klub Jeździecki przez studentów śląskich uczelni. Barwną historię tej okolicy opisał i wszystkie współczesne stajnie przedstawił w swojej książce *Jeździecka dolina Zbrostawice* Wojciech Ginko – jeden ze współzałożycieli pierwszego zbrostawickiego klubu.

Ptakowice nawiązują do tej niezwykłej historii w sposób wyjątkowy: jeden z wychowanków AKJ, przedsiębiorca Rafał Wojtacha, postanowił wrócić do swej jeździeckiej pasji i stworzyć miejsce poświęcone powożeniu, którym zajął się wraz ze swoją żoną, Patrycją Hartwig-Wojtachą. Tak powstał ośrodek jeździecki Lando, położony w malowniczej okolicy na obszarze



Mistrz Świata Bartłomiej Kwiatek i ogier śląski Bazyl. Zawody CAI Ptakowice 2018

25 hektarów. Tak duża powierzchnia i otoczenie pięknej przyrody sprzyjają uprawianiu sportów konnych. Obiekt zbudowano w 2016 roku zgodnie z najwyższymi europejskimi standardami. Działa tutaj pensjonat (dla koni) z bogatą infrastrukturą, wśród której największe wrażenie robią dwie duże ujeżdżalnie otwarte z nowoczesnym podłożem kwarcowym (jedyne takie w Polsce dla zaprzęgów) oraz potężna ogrzewana hala. Dla jeźdźców przewidziano bogate zaplecze socjalne, a dla wszystkich pozostałych hotel i restaurację z ogrodem i oczkiem wodnym. Smaczku dodaje miejscu fakt, że niemal wszystko mieści się w jednej bryle budynku, tworząc prawdziwy pałac powożenia sportowego.

Nie jest to bynajmniej pochwała na wyrost: Ptakowice już trzy razy z rzędu zorganizowały Mistrzostwa Polski (MP) w powożeniu zaprzęgami parokonnymi połączone z wysokiej rangi zawodami międzynarodowymi (CAI). Również trzy razy z rzędu złoty medal MP zdobył tam... Rafał Wojtacha, który później szczerze przyznawał, że wbrew pozorom trudno było wspiąć się na najwyższy poziom na własnym podwórku – w znanym otoczeniu, pod czujnym okiem sąsiadów i znajomych. W tym roku pandemia koronawirusa pokrzyżowała organizatorom plany, wymuszając odwołanie mistrzostw. Ku rozczarowaniu dzieci i młodzieży zdecydowano się również zamknąć szkółkę jeździecką. Miłośnicy powożenia mają jednak na co czekać: KJ Lando podpisał kontrakt na ich organizację z Polskim Związkiem Jeździeckim aż do 2022 roku. Zaprzęgi z całej Europy z pewnością powrócą więc także do Ptakowic.

### Brawurowo i walecznie

Zawody w powożeniu sportowym, czyli współczesnej formie jazdy zaprzęgami, także obejmują trzy próby, lecz ich charakter jest zdecydowanie bardziej wyczynowy niż tradycyjny. Pierwszego dnia odbywa się próba ujeżdżenia, w ramach której należy przejechać program obejmujący określone figury na prostokątnym placu zwanym, podobnie jak w jeździe konnej, czworobokiem. Punktowane jest także przygotowanie całego zaprzęgu – utrzymanie koni i bryczki oraz stroje i styl jazdy powożącego. To element nawiązujący do powożenia tradycyjnego, próżno tu jednak szukać podobnego zróżnicowania i kolorytu. Bryczki sportowe podporządkowane są bowiem wymogom takim jak wytrzymałość, zwrotność i stabilność, co czyni je podobnymi do siebie. Uniformizacja w mniejszym stopniu dotyczy koni – powozić można dowolną rasą o walorach zaprzęgowych i sportowych.

Drugiego dnia następuje najbardziej widowiskowa próba terenowa, tzw. maraton, którego trasa obejmuje nawet siedem przypominających prawdziwe labirynty przeszkód, w tym mostki i przeszkodę wodną. To właśnie pędzące galopem w ciasnych zakrętach zaprzęgi, które starają się zmieścić w normie czasu i nie pomylić trasy, ujawniają prawdziwe oblicze współczesnego powożenia jako sportu ekstremalnego przeznaczonego dla odważnych. Emocje wycisza nieco trzeci dzień i znana nam już z Koszęcina próba zreczności powożenia – jeśli pominąć fakt, że przejazdy wykonywane zgrabnymi nowoczesnymi bryczkami są o wiele szybsze i bardziej brawurowe.

### Wielki sport w Ptakowicach

Kogo oprócz utytułowanego gospodarza można oglądać na ptakowickich zawodach? Jedną z gwiazd jest weteran Jacek Kozłowski – zdobywca 19 medali MP, w tym dziesięciu złotych oraz jedyny powożący na świecie, który wystąpił na Mistrzostwach Świata we wszystkich kategoriach (tj. zaprzęgów jedno-, dwu – i czterokonnnych). W Ptakowicach startuje też Roman Kusz – posiadacz siedmiu złotych medali MP (w tym złota z pierwszych MP rozegranych w 1985 roku) i członek wszystkich polskich ekip medalowych na MŚ. Stałym bywalcem i laureatem imprezy jest reprezentujący dolnośląski SLKS Książ multimedalista Bartłomiej Kwiatek – jedyny jak dotąd polski mistrz świata w powożeniu i wielokrotny zwycięzca dorocznej klasyfikacji powożących, prowadzonej przez Międzynarodową Federację Jeździecką (FEI). Po piętach depcze mu siostra Weronika, trenerka kadry narodowej dzieci i juniorów, z którą Bartek na co dzień prowadzi drużynę Kwiatek Driving Team.

W kategorii zaprzęgów czterokon-

nych rywalizuje tu m.in. uczestnik MŚ Piotr Mazurek. Koniecznym należy też odnotować 9. miejsce w Ptakowicach Krzysztofa Idzikowskiego, który dwa tygodnie wcześniej był trzeci podczas... zawodów w powożeniu tradycyjnym w Koszęcinie! W obu imprezach startuje także inny powożący czwórkami – Pomorzanie Wiesław Sadowski. Jak widać, wszechstronność i zaradność to dla odważnych powożących codzienność. Najbardziej egzotycznym uczestnikiem zawodów w Ptakowicach był jak dotąd 67-letni Chilijczyk Ricardo Massmann.

### Historia i nowoczesność

Koszęcińskie zawody udowadniają, że powożenie tradycyjne rozwija się bardzo dynamicznie. To znakomita propozycja zarówno dla miłośników koni, jak i pozostałych widzów, których urzeka różnorodnością i rodzinną atmosferą. W dobie globalizacji i unifikacji dyscyplina ta pomaga popularyzować tradycję, prezentuje kulturę różnych zakątków świata i zbliża do siebie narody. I choć w tym roku organizacja koszęcińskich zawodów stoi pod znakiem zapytania z powodu pandemii, to barwne zaprzęgi prędzej czy później z pewnością wrócą na Ziemię Górnośląską.

Warto wtedy stanąć w gościnnych progach zespołu „Śląsk” i odbyć podróż nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie – do dni, gdy koń był chlubą bogatych i skarbem biednych, gdyż to od niego zależał ludzki byt. Kilkanaście dni wcześniej (lub później) można dla równowagi wybrać się do Ptakowic, by doświadczyć nowoczesnego sportu na światowym poziomie i przekonać się, że współczesny stechnicyzowany świat nadal potrzebuje uroku, siły i zreczności koni. Na pracowitym Śląsku z pewnością zawsze znajdzie się dla nich miejsce. ■



Węgier Zsolt Szilágyi w próbie terenowej. Zawody CAI Ptakowice 2018

# Akt, który wszystko zmienił

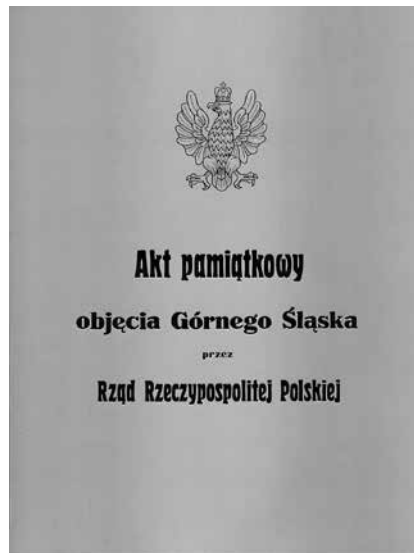
PIOTR SKOWRONEK

Zwykle, kiedy w gablotach muzealnych natrafimy na interesujący dokument, mamy zaledwie kilka chwil, by przyjrzeć mu się uważnie, odczytać fragment treści czy podpisy sygnatariuszy. Rzadko zdarza się, aby opis artefaktu zawierał więcej niż kilka linijek tekstu. Tymczasem Archiwum Państwowe w Katowicach posiada w swoich zbiorach prawdziwe cymelium *Akt pamiątkowy objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej*, który został uroczystie podpisany w Katowicach 16 lipca 1922 roku. Ten bardzo cenny i bliski duszy każdego Ślązaka dokument został opracowany z myślą o uczczeniu 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę i wyeksponowany w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach.

Benedyktyńską pracę wykonała Elżbieta Matuszek, kierownik Oddziału IV – Udostępniania zasobu archiwalnego i informacji naukowej Państwowego Archiwum w Katowicach. Archiwistka nie tylko pieczołowicie przybliżyła dzieje dokumentu, ale także ukazała jego losy na tle wydarzeń historycznych i to zarówno te, które do podpisania aktu doprowadziły, jak i jego dalszą, niezwykle interesującą historię, nadając opracowaniu książkowemu podtytuł *Dzieje jednego dokumentu*.

Jak wskazano w omówieniu publikacji los podpisanego aktu był następujący: „Przed II wojną światową był przechowywany w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach, a po utworzeniu w 1929 roku Muzeum Śląskiego w Katowicach został tam przeniesiony. W czasie wojny, wraz

z pozostałymi zbiorami zlikwidowanego przez Niemców muzeum, został przeniesiony do zbiorów Ober-schlesisches Landesmuseum w Bytomiu. Tam przetrwał wojnę, a jesienią 1951 roku, w ramach ogólnopolskiej akcji scalania archiwaliów został przekazany do Archiwum Państwowego w Katowicach, gdzie jest przechowywany do dziś”.

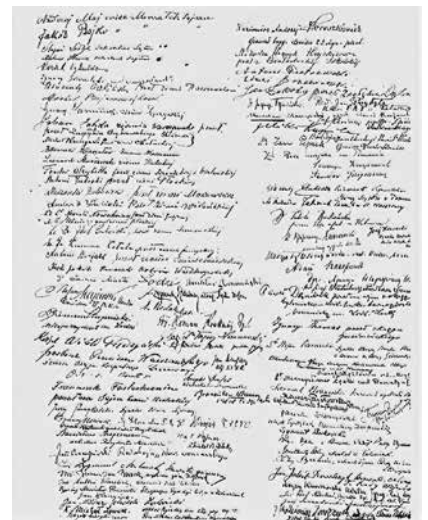


A jak doszło do jego powstania? Otóż przekazywanie władzy na ziemiach po powstaniach i plebiscycie przyznanych Polsce odbyło się w kilku etapach, sukcesywnie od 17 czerwca do 16 lipca 1922 r., bowiem podzielono je na pięć stref. Świętowano jednak nie tylko na Śląsku, gdzie powołany został Wojewódzki Komitet Uroczystości Dnia Objęcia Górnego Śląska, ale także w Rzeczypospolitej, gdzie w Warszawie powstał Central-

ny Komitet Uroczystości Dnia Objęcia Górnego Śląska pod przewodnictwem marszałka Sejmu Ustawodawczego Wojciecha Trąpczyńskiego, aby nadać odpowiednią rangę temu wydarzeniu, a także komitety lokalne w innych polskich miastach.

20 czerwca 1922 roku nastąpiło zajęcie pierwszej strefy – Katowic wraz z powiatem. Autorka za ks. Emilem Szramkiem tak opisuje to wydarzenie: „oddziały wojska polskiego pod dowództwem generała S. Szeptyckiego – po symbolicznym rozerwaniu żelaznego łańcucha i przy dźwiękach dzwonów – przekroczyły zniesiony kordon graniczny. Przy moście w Szopienicach wojsko witali wojewoda śląski Józef Rymer i Wojciech Korfanty oraz członkowie Komitetu do spraw Przyjęcia Wojska Polskiego. Następnie oddziały wojska przez Szopienice i Zawodzie dotarły do Katowic. Na rogatkach miasta przed specjalnie wzniesioną bramą triumfalną pochód powitali przedstawiciele władz miasta, a na rynku czekały na wojsko oddziały Związku Byłych Powstańców Śląskich, Towarzystwa Gimnastycznego »Sokół« oraz innych towarzystw i związków polskich. Wszędzie powiewały biało czerwone flagi”. Uroczystością towarzyszyła połowa msza św., uroczyste przemówienia oraz zabawa ludowa w parki im. Tadeusza Kościuszki. Podobny plan uroczystości rysował się w każdej z kolejno przejmowanych stref. Obchody 16 lipca 1922 r. których centralnym punktem było podpisanie *Aktu pamiątkowego objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej* stanowią więc wznośne zwieńczenie całego procesu i mia-

fol. arch. aut.



ły charakter uroczystości ogólnopolskiej z udziałem najwyższych władz państwowych i regionalnych.

Autorem *Aktu* został Stanisław Ligoń, utalentowany rysownik i malarz, znany z pisma satyryczno-propagandowego „Kocynder”, późniejszy Dyrektor Polskiego Radia Katowice, poseł na sejm RP, autor *Berów i bojek śląskich*. Co interesujące, autor projektu sygnował go i pod dolną częścią bordiury znajdziemy napis: „rys. Stanisław Ligoń. Katowice.”

Karlik z „Kocyndra” nie tylko zaprojektował ów dokument, ale także własnoręcznie go wykonał na dwóch luźnych kartach z papieru czerpanego. W roślinną ornamentykę ramki otaczającej tekst karty pierwszej Ligoń wpisał sześć stylizowanych herbów, zaś nad tekstem króluje biały orzeł w koronie z wpisanym węż orłem śląskim. Karta druga, pusta, ozdobiona jedynie ramką roślinną, przeznaczona była na podpisy sygnatariuszy. *Akt* umieszczono w wielkiej, wiązanej czerwonej tece ze złotymi napisami. Być może w ten sposób zaznaczono również trudy i ofiary poniesione przez Ślązaków oraz ich godność.

Jak przystało na ukoronowanie procesu *Objęcia Górnego Śląska* partytura obchodów była niezwykle bogata i uroczajona. Elżbieta Mazurek obok dokumentacji fotograficznej włączyła do publikacji *Program objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej w Katowicach*, który obejmował wydarzenia wigilii święta z 15 lipca, i samą uroczystość rozpoczynającą się o 7:30 rano od powitania delegacji na dworcu kolejowym, do pożegnania tychże o 22:40.

*Akt* podpisywano w dwóch etapach. Po raz pierwszy po mszy świętej, przy straży honorowej górników, poprzedzony uroczystym ślubem wierności wobec ojczyzny, który złożył wojewoda Józef Rymer, przemówieniem ministra spraw wewnętrznych Antoniego Kamińskiego i odczytaniu dokumentu przez Emila Caspariego. Wówczas podpisy złożyli najwyżsi rangą goście. Pozostali uczestnicy uroczystości mieli możliwość podpisania dokumentu w tymczasowej siedzibie Urzędu Województwa Śląskiego. Składanie podpisów – jak dodaje autorka opracowania – odbywało się wśród huku dział, fanfar wojskowych i okrzyków tłumnie zebranych gości i miejscowego społeczeństwa.”

Ostatecznie *Akt pamiątkowy objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej* podpisał 160 uczestników tej nie mającej precedensu w historii Polski i Śląska uroczystości. Jednak zabrakło wśród nich podpisów dla wielu najważniejszych: Józefa Piłsudskiego i Wojciecha Kor-



reszta gości nie mieszcząca się w powyższych kategoriach.

W opracowaniu dokumentu autorka umieściła również aneksy (1–3) z okolicznościowymi przemówieniami wojewody śląskiego Józefa Rymera, ministra Antoniego Kamińskiego i marszałka Sejmu RP Wojciecha Trąmpczyńskiego. Monografia *Dzieje jednego dokumentu* jest niezwykle rzetelna i skrupulatna, a przez to wielce interesująca. Elżbieta Mazurek pokazuje nam nie tylko uwarunkowania historyczne, ale także miejsca przechowywania i sposoby ekspozycji dokumentu, a wszędzie tam, gdzie jego los jest niepewny i niedostatecznie udokumentowany skrzętnie zwraca na to uwagę.

W zamasystrych podpisach, czerwonych oprawach i złożonych literach teki widzimy odciski ślady naszych przodków z ich marzeniami, nadziejami i troskami. Nie cały Śląsk przypadł wówczas Polsce, co autor projektu *Aktu* dostrzegł w *Numerze pamiątkowym zjednoczenia G. Śląska z Polską* „Kocyndra”. „Radość” z okładki przyćmiewa nieco rysunek zatytułowany *Rozłąka*, gdzie dwóch Ślązaków z Rybnika i Raciborza podają sobie na pożegnanie ręce, a obraz dopełnia tekst zakończony słowami: „Choć rozłąka dziś smuci i boli, / Ale i Ciebie Polska też wyzwoli!”

Obecnie opracowanie dokumentu w wersji cyfrowej udostępniono na stronach Archiwum Państwowego w Katowicach w połowie maja 2020 roku w ramach akcji #zostanwdomu. Serdecznie zachęcam do odwiedzenia strony internetowej tej instytucji i zapoznania się z jej zawartością, by poczuć na skórze oddech naszej historii.

Elżbieta Mazurek, *Akt pamiątkowy objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Dzieje jednego dokumentu*. Katowice 2018, wydanie I, 2019, wydanie II.

# Proust, Boy i „wydanie dla dzieci”. Esej nie dla infanta lub „infantyła”!

JERZY PASZEK

W poszukiwaniu straconego czasu Marcela Prousta przetłumaczył Tadeusz Boy-Żeleński tuż przed wybuchem II wojny światowej: udało mu się w latach 1937–1939 wydać pięć części 7-tomowej całości. Dwie ostatnie (*Nie ma Albertyny* oraz *Czas odnaleziony*) zostały zagubione w trakcie ucieczki tłumacza z Warszawy do Lwowa; ponownie przełożyli je Maciej Żurowski i Julian Rogoziński do edycji z 1960 roku. Konstanty Troczyński powitał w „Dzienniku Pознаńskim” (1937, nr 256) początkowe woluminy wielkiego (nie tylko gabarytowo – polska edycja z lat 1956–1960 miała 3564 strony) prozatorskiego dzieła recenzją pt. *Prousta wydanie dla dzieci. Impresje laika*. Krytyk pije tu zapewne do stwierdzeń Boya, zawartych w przedmowie *Od tłumacza*, o stylu autora: „Olbrzymie, przez wiele stronnicę tego druku ciągnące się okresy [retoryczne] bez momentu wytchnienia [...]; zdania trwające przez stronnicę i dłużej; zawile, skomplikowane, pełne nawiasów w nawiasach – niby pudełeczko w pudełeczku – i pauz wydzielających kilkuwierszowe nieraz wstawki [...] Takiego [zdania], jak jest w oryginale, nie zniósłby często język polski. To, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi” (M. Proust: *W poszukiwaniu straconego czasu*, przełożył i wstępem opatrzył T. Żeleński (Boy), Warszawa 1956–1960, t. 1, s. 18–19; dalej stosuję skróty tomów i stronnic, czyli np. WPS 1, 18–19; podkr. J.P.).

Nie wiem, czy tylko dzieci – jeśli w ogóle zabierają się do takiej lektury! – wymagają „łamania zdań i składania ich na nowo”, „zwiększania liczby akapitów oraz wyodrębniania dialogów” (ib., 19–20). Także dorośli przez długie lata jakoś pogodzili się z tymi redakcyjnymi zabiegami Boya, a gdy zechcieli masochistycznie torturować się „kilmetroowymi zdaniami” (z których wyśmiewał się sam autor!), to sięgali po oryginał i opracowania naukowe, dotyczące kształtowania tekstu od fazy brulionów do fazy maszynopisu i kolejnych korekt

szpalt drukarskich (np. J. Milly: *Proust dans le texte et l'avant-texte*, Paris 1985). Uważam, iż długie zdania (znane z *Ulysesa* Jamesa Joyce’a) mają swój sens, gdy próbują naśladować nieokreślony składniowo tzw. strumień świadomości, ale nie muszą towarzyszyć dociekaniom, przemyśleniom i dywagacjom, które są prowadzone przez bardzo inteligentnego, wykształconego i wścibskiego (śledzi wszak tajemnice wielkiego świata wyższych sfer, ale też zagłębia się w ezoteryczność półświatka) Narratora.

W podtytule eseju przywołuję kalambur Witolda Gombrowicza (zob. W. Gombrowicz: *Ferdydurke*, Warszawa 1956, s. 266), gdyż sytuację polskiego pisarza można łatwo zestawiać z życiem i twórczością jego francuskiego poprzednika. Po pierwsze, i jeden, i drugi opisują w swych dziełach bohaterów rodem z Sodomy (mężczyzn) i Gomory (kobiet), ale Narrator 7-księgu – tak samo jak Narrator w *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyku* – nie przyznaje się do homoseksualnych ciągów; obaj powieściopisarze są osobami biseksualnymi. Po drugie, obadwaj (by użyć słowa Stefana Żeromskiego) odważnie eksperymentują z leksyką, syntaksą i interpunkcją rodzimych języków. Po trzecie, ewolucja ich umiejętności lingwistycznych oraz oryginalnego, niepodrabialnego stylu zaczęła się od okresu parodii i pastiszu, by przywołać *Les Plaisirs et les jours* (1896 – pastisze stylu Paula Bourgeta i Anatola France’a) oraz pisane od roku 1908, a opublikowane w całości dopiero po 11 latach, *Pastiches et mélanges*, a z drugiej flanki – *Bakakaj*, który pierwotnie (przed rozszerzeniem o 5 tekstów) nosił tytuł *Pamiętnik z okresu dojrzewania* i zawierał satyryczne obrazy ucztowania sfer wyższych (*Biesiada u hrabiny Kotlubaj*) bądź drwił z namaszczonego procedur detektywów i kryminologów (*Zbrodnia z premedytacją*).

Po przekładzie przez Michała Pawła Markowskiego dwu parodii stylu francuskich klasyków XIX stulecia – „*Afera Lemoine’a*” w powieści Balzaca, „*Afera*

*Lemoine’a*” w powieści Flauberta („Literatura na Świecie” 1998, nr 1–2, s. 175–180, 184–190; 180–183) – można przekonać się o tym, jakim mistrzem pastiszu był Proust, a także o tym, ile przypisów wymaga wyjaśnianie realiów autentycznej afery finansowej oraz powiązań tekstu prześmiewczego z zawartością wielotomowej *Komedii ludzkiej*. Tłumacz aż 6 stronnic poświęcił na tropienie aluzji do utworów męża Eweliny Hańskiej, natomiast zrezygnował z opisu powiązań parodii stylu Flauberta z jego słynną powieścią o pani Bovary. Pastisze i parodie, ujawniające się w *Ferdydurke*, są tak fundamentalne dla zrozumienia tej powieści, iż w monografii utworu (J. Paszek, F. Mazurkiewicz: *Przeczytacie „Ferdydurke”*, Katowice 1998, s. 61–73) umieściłem z moim kolegą cały rozdział o znamienym, bo – co jest rzadkością w literaturoznawstwie – palindromowym nagłówku *Satyra rarytas* (a tu nasze atu – podrozdziały i paragrafy o tytułach: *Powieść-parodia*, *Główne działa*, *czyli Satyra*, *groteska*, *farsa*, *Powieść-satyra* i *powieść Satyra*). Takie objaśnienia do arcydzieła Francuza zajęłyby obszerne i opasłe tomiszcze (a może i kilka takich informacyjnych kompendiów!). Marzeniem czytelników powinna być BN-owska edycja 7-księgu Prousta w trzech 1500-stronicowych księgach!

Dopóki nie istnieje wspomniane wydanie „Biblioteki Narodowej”, dopóty należy posługiwać się użytecznymi opracowaniami. Polecam książeczkę Jana Błońskiego *Widzieć jasno w zachwyconiu. Szkic literacki o twórczości Prousta* (Warszawa 1965, wzn. 1985) oraz znakomity esej Vladimira Nabokova, zawarty w jego *Wykładach o literaturze*, przełożonych przez Zbigniewa Batkę (Warszawa 2000, s. 280–324). Dla zafascynowanych życiem i dorobkiem francuskiego pisarza przeznaczona jest dwutomowa monografia George’a D. Paintera pt. *Marcel Proust. Biografia* (Warszawa 1972, przeł. A. Frybesowa), a także tom *Proust w oczach krytyki światowej* w oprac. Błońskiego (Warszawa 1970).

Jako ciekawostkę dodam, iż zamordowani później w Katyniu jeńcy wojenni mogli wysłuchać wykładów malarza Józefa Czapskiego, wygłoszonych po francusku!, o *Poszukiwaniu...* (ogłoszono je pt. *Proust w Giazowcu* w paryskiej „Kulturze” z 1948 roku w tłumaczeniu T. Skórzewskiej; przedruk w antologii szkiców i artykułów Czapskiego pt. *Czytając* w oprac. J. Zielińskiego, Kraków 1990, wzn. 2015).

Tematyka 7 tomów *W poszukiwaniu straconego czasu* rozciąga się od młodzińskich lat Narratora (jest on bliski Autorowi, ale od biografii Prousta są tu zmyłkowe – brak młodszego brata – lub zamaskowane – Albertyna jest w rzeczywistości portretem Alfreda Agostinello, szofera pisarza – odstępstwa) do prezentacji ok. 200 postaci z okresu 1840–1915. Najwięcej miejsca i czasu narracji zajmują oczywiście dzieje Narratora, jego rodziny (w szczególności matki i babki) oraz znajomych (Swann i jego żona Odeta oraz córka Gilberta, pani Verdurin, prowadząca elitarny salon literacko-muzyczny, baron Charlus, snob i gej). Nabokov żartobliwie streszcza ambicje większości przedstawianych osób w jednym wspólnym mianowniku, to jest w zaznajomieniu się i zaprzyjaźnieniu z kręgami książąt de Guermantes: „pani Verdurin wychodzi w końcu za księcia de Guermantes [...], córka Swanna poślubia w końcu bratanka pani de Guermantes [...], ukoronowaniem kariery Odety jest romans z panem de Guermantes” (V. Nabokov: op. cit., s. 284). Autor *Lolity* trafnie sugeruje, iż tematyka gejowska (bardzo starannie maskowana tu przez wielopiętrowe metafory, czerpane z zasobów królestwa flory i fauny) nie jest już tak istotna – jak była dla pokolenia przełomu XIX i XX wieku – dla społeczeństw żyjących po II wojnie światowej, które dojrzały do tolerancji i późniejszego ruchu „coming out”. W XXI stuleciu wszak czytamy powieści gejowskie (np. *Lubiewo* Michała Witkowskiego, 2004) i bardzo szokujące opisy wzięte z życia „kochających inaczej”.

Aby nie być gołosłownym komentatorem, mogę przytoczyć, wyzyskując wiedzę zaczerpniętą z cennej książki Małgorzaty Kity pt. *„Coming out” w polskiej przestrzeni dyskursywnej* (Katowice 2016, s. 162–163) fragment z utworu Marcina Szczygielskiego *Berek* (Michałów – Grabina 2007, s. 14–15), stanowiący męski wariant motywu kobiecego „głębokiego gardła”: „Zostawiam Michała w kabinnie, wychodzę z kibla i zanurzam się w wilgotny, pachnący męskimi ciałami mrok. [...] Lekko przytrzymuję zębami jego kutasa tuż za żołądźką [laptop nie wie, iż jest taka forma fleksyjna!], a potem wciągam głęboko. Chłopak wypina biodra do przodu, potem je cofa i tryska przy wtórze głośnego jęku. Trzy wielkie



Marcel Proust, 1895 r.

porcje spermy lądują mi w samym gardle. Kręci mi się w głowie, fala szczęścia zalewa mnie jak przypływ. [...] Euforia. Dla takich chwil jak ta warto żyć”. W zapiskach Jerzego Andrzejewskiego spotyka się dokładny przebieg tzw. „gejowskiej gwiazdy”, czyli jednoczesnego aktu seksualnego 4 partnerów, powiązanych kopulacją oralno-analno-genitalną: „Trzech mocnych i opalonych chłopaków wzięło mnie w obroty po swojemu [...] tamten kłęczący chwycił moje nogi i mocnym, bardzo wprawnym ruchem podciągnął się sobie na ramiona, drugi na mnie usiadł okrakiem i wówczas równocześnie poczułem aż nadmiar rozkoszy, [bo] olbrzymi i gorący członek wpiął się w moją odbytnicę, wchodził na mnie siedzący wpełchnął mi członek do ust, a swój własny poczułem w ruchliwych jak zwierzątko wargach trzeciego chłopaka. [...] żałowałem, że nie posiadam stu otworów, aby w stu miejscach, w stu zakamarkach ciała wypełnić się bujną męskością” (cyt. za: W. Śmieja: *„Notatki do autobiografii. Przyczynek do biografii”*. Jerzy Andrzejewski – dzieło

(i życie) *otwarte*, „Teksty Drugie” 2019, nr 1, s. 167–168).

U Prousta (a także Gombrowicza) próżno byłoby szukać takich fragmentów, leżących zapewne blisko literackiej soft pornografii, pozostającej jednakże daleko w tyle za hard pornografią internetową, filmową i telewizyjną! Pewnie ma rację Nabokov, który i w swojej twórczości (*Lolita*, *Ada*), i w swoich komentarzach, dotyczących dzieł innych autorów, nigdy nie jest wulgarny bądź obleśny (a Gombrowicz lubi nawet igrać anagramem gwarowego epitetu „boleśny”: „obleśny”!). Stąd radzi zajmować się raczej artystem i stylem „katedry ze słów”, jaką wedle wielu miłośników francuszczyzny jest powieść Prousta, aniżeli okolicami Sodomy.

Autor *Ady albo Żaru. Kroniki rodzinnej* (dzieje rekordowo długiego, kazirodczego romansu!) dostrzega w narracji *W poszukiwaniu straconego czasu* „trzy szczególnie wyraziste elementy” stylu: 1. „bogactwo metaforycznego opisu, wielowarstwowe porównania”; 2. „tendencję do napełniania zdania i naciągania go na wszystkie strony, żeby upchnąć w tej

**pojemnej pończosze zdania** zdumiewającą liczbą fraz, wtrącen w nawiasach, **zdań podrzędnych i podrzędnych** [w oryginale: the stocking of the sentence a miraculous numer of clauses, parenthetical phrases, subordinate clauses, sub-subordinate clauses]; 3. „dialogi i partie opisowe stapiające się z sobą, tworzące nową jedność, gdzie i kwiat, i liść, i owad są integralnymi częściami tego samego kwitnącego drzewa” (Nabokov, ib., s. 285; podkr. i dodatkowo tekst angielski pochodzą ode mnie, J.P.). Może więc być u Prousta porównanie „mgła była jak woal”, prosta metafora „spowiadał woal mgły”, ale najczęściej pojawia się „hybrydalne, czyli złożone porównanie”: „woal mgły był jak uśpiona cisza” (ib.). Widoczne jest, iż przenośnia „pojemna pończocha zdania” nie pada daleko od porównania Boya, mówiącego o zdaniach nawiasowych jako mieszczących się jak gdyby „pudełeczko w pudełeczku”. Polski tłumacz, zachowując – przeważnie – „bogactwo metaforycznego opisu”, nie lubi naciąganej „pończochy” i bardzo rzadkich akapitów!

Przyjrzyjmy się temu, czy istotnie polszczyzna nie toleruje zdań-pończoch i nawiasów typu pudełeczko w pudełeczku. Oto w roku 2018 pojawił się nowy przekład pierwszego tomu 7-księgi, czyli wolumin pt. *W stronę Swanna*. Tłumaczką jest Krystyna Rodowska, która – jak wyznała w internetowym serialu „Rozmowy o literaturze” – transponowała tekst francuski, śledząc stale robotę translatorską swojego poprzednika. Mam przed sobą wersję wcześniejszą (bo z numeru 1–2 „Literatury na Świecie” z roku 1998), gdzie początkowy fragment rozmyślań Narratora doprowadzono do legendarnego popijania herbaty i zajadania się biszkoptem (tak robił Proust), czarodziejsko zamienionego w popijanie lipowego naparu oraz uszczknięcie pulchnej magdalenki przez bohatera powieści (nb., gdyby autor był Polakiem, to „magdalenka” mogłaby tworzyć kilka kalamburów!). Tak więc u Rodowskiej, czyli w tekście pt. *W poszukiwaniu utraconego czasu* (ten hiatus dwóch „u” bywa traktowany przez badaczy stylu jako błąd!), mamy zdanie o ukochanej babci Narratora:

„Na co moja biedna babcia wkraczała i prosiła męża gorąco, by nie brał do ust koniaku, on zaś dąsał się, mimo wszystko wypijał swój łyżeczek i babcia odchodziła, smutna i zniechęcona, a jednak uśmiechnięta, była bowiem osobą pokornego serca i tak wielkiej słodyczy charakteru, że czułość, jaką okazywała innym, w połączeniu z nieprzejmowaniem się sobą i własnymi dolegliwościami, stapiała się w coś na kształt uśmiechu w spojrzeniu, w którym – co kontrastowało z wyrazem twarzy wielu ludzi – jeśli malowała się ironia, to

skierowana wyłącznie przeciwko niej samej, nas wszystkich zaś zdawała się całować oczami, co to nie potrafiły parzyć na drogie istoty, nie obdarzając ich namiętą pieśzczotą w spojrzeniu” („Literatura...”, s. 13).

Boy rozbija to długie zdanie, łamiąc się w okolicach frazy „w spojrzeniu, w którym” (to „w którym” zmusza tłumaczkę do posłużenia się formą „co to” w dalszej części tego zdania), na dwie części, co jest, moim zdaniem, łatwiejsze do przełknięcia (jak łyżeczek koniaku!) przez czytelnika:

„Biedna babka wchodziła, prosiła gorąco męża, aby nie łykał koniaku; gniewał się, wypijał mimo to swój łyżeczek, a babka odchodziła smutna, zniechęcona, ale uśmiechnięta, bo była tak pokorna sercem i tak łagodna, że jej tkliwość dla drugich, jej mała dbałość o własną osobę i o własne bóle spływały się w jej spojrzeniu w uśmiech. W uśmiechu babki – na wspaniałym – co się widzi u wielu osób – była ironia tylko dla niej samej, a dla nas wszystkich jakby pocałunek oczu [un baiser de ses yeux], niezdolnych widzieć tych, których kochała, bez gorącego ich upieszczenia wzrokiem” (WPS 1, 35).

Sądzę, że nawet powtarzanie pewnych słów (u Boya „którego” – „którego”; „błędy” – „błędy”) jest lepsze, niż pomijanie przecinków u Rodowskiej: „W rezultacie mogłoby mi się wydawać, że ów ojciec Swanna był wcielonym potworem, gdyby dziadek – który w mych oczach uchodził za arbitra [,] a jego opinie [,] stanowiące dla mnie wyrocznię [,] sprawiły, że nie raz w późniejszym czasie zdarzało mi się rozgrzeszać błędy, które sam z siebie byłbym skłonny potępić – nie wykrzyknął: »Skądże znowu? To był człowiek o złotym sercu!«” („Literatura...”, s. 18). U Boya mamy zaś następujący, lapidarniejszy mimo wszystko o jedną linijkę, układ typograficzny:

„Byłbym uważał, że ten ojciec Swanna był potworem, gdyby dziadek, którego miałem za lepszego sędziego i którego zdanie, będąc dla mnie wyrocznią, często pomogło mi później rozgrzeszyć cudze błędy (błędy, które byłbym skłonny potępić), nie był się okrzyknął: – Ale skądże, to było złote serce!” (WPS 1, 39).

Czyżby całe to zdanie – jego rozbicie na dwa akapity – nie było lepiej i łatwiej czytelne niż oczekiwanie przez 3 linijki tekstu na drugą pauzę, po której pojawią się słowa „nie wykrzyknął” oraz dwa dodatkowe oznajmienia („Skądże znowu? To był człowiek o złotym sercu!”). Wynik ogólny: 3 zdania w nowszym przekładzie, 2 w dawnym! W zdaniu o magdalence u Rodowskiej jest „tamten wiekowy, stary dom” („Literatura...”, s. 57 – pleonazm), a u Boya „stary, szary dom” (WPS 1, 76), co wy-

gląda dźwięczniej i nawet wdzięczniej! Błoński w swej libelli przypomina o „zaśloności francuskiej składni” („kto zaś uczył się dokładniej francuskiego, wie, że trudność tkwi tam właśnie w syntaktycznych subtelnościach”; wśród zdań *Poszukiwania* „Trafiają się takie, których na polski nie można dosłownie przełożyć bez obawy śmieszności”; Błoński, op. cit., s. 118) i daje znamieny przykład dotyczący zdania o Gilbercie (u Boya: WPS 1, 473–474): „zbudowane z sześciu członów równorzędnych, które rządzą kolejno sześcioma, czterema, czternastoma, ośmioma, sześcioma i jedenastoma członami podrzędnie złożonymi” (Błoński, ib.). Painter wylicza, iż najdłuższe zdanie w omawianej powieści zbliża się do 1500 słów!

Batko poprawia dwa razy przekład Boya (Nabokov, s. 315, 322), a także Rogozińskiego (ib., s. 324). Ostatnie zdanie arcydzieła, wedle Batki, powinno brzmieć: „Miejsce, przeciwnie, rozrastające się w bezmiar, gdyż ludzie ci [o których ma pisać Narrator], na podobieństwo olbrzymów sięgający w minione lata, dotyczą równocześnie całych rozdzielonych niezliczonymi dniami epok, w których żyli, tak bardzo rozproszeni w Czasie” (Nabokov, s. 324). U Rogozińskiego pojawia się tu 9-wersowe zdanie, którego końcówka brzmi: „miejsce, przeciwnie, rozszerzane w bezmiar – gdyż dotyczą [ci ludzie] równocześnie, jak giganci pogrążeni w latach, epok tak od siebie odległych, między którymi mieści się tyle dni – wśród Czasu” (WPS 7, 454). Można byłoby tak poprawiać styl 7-księgi, nie mordując przeciętnego czytelnika „kilometrowymi zdaniem” Prousta. Bo poprawia się XIX-wieczne tłumaczenia dramatów Szekspira (nb. dodając pikantniejsze seksualizmy!), a obok nich możemy sobie czytać majstersztyki translologiczne Barańczaka!

A co do lipowego naparu i pulchnej magdalenki: jedząc po roku 2000 smacznie przyprawione przez żonę bitki wołowe, przypomniałem sobie smak mięsa wołowego, znany mi z charytatywnych puszek organizacji UNRRA, rozprowadzanych w Polsce w latach powojennych; smak ten przywiódł mi jako dar pamięci podświadomej (lub mimowolnej) naukę w pierwszej klasie podstawówki, gdy nauczycielka uczyła nas haftowania kolorowymi niciami na kawałkach białego płótna (gender!); pamięć świadoma ukrywała fatalny fakt wykucia przeze mnie na blachę całego elementarza i męki mej matki, by za pomocą liter, wypisywanych przez nią na kartach do brydża, nauczyć mnie alfabetu! Ale najwięcej kłopotu na stare lata sprawia inna pamięć, tzw. pamięć krótkotrwała, i na przykład ciągle – przez cały Czas! – szukanie okularów!!!



# Smutek nowoczesności

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL



Taką książkę mógł napisać tylko Artur Żywiołek. Doskonale merytorycznie wykształcony w każdej z dyscyplin, jakie wymieniono w podtytule monografii, jest on jednocześnie gruntownie przygotowany do kulturowej interpretacji mitu. Jego wcześniej opublikowane prace pokazują, że badacz w pełni zrealizował postulat współlistnienia sztuk w wykładzie dyskursywnym, jak również że tym, co go szczególnie interesuje w humanistyce jest szeroko rozumiana komparatystyka, czy też kulturowa interpretacja literatury. W *Tristitia moderna* mamy do czynienia ze znakomitą połączeniem kompetencji literaturoznawczych, kulturoznawczych, filozoficznych i muzykologicznych, a utwory dobrane do interpretacji – choć nieoczywiste – perfekcyjnie z sobą się zespala.

We wstępie do książki przeczytamy, że główny cel badawczy, zamierzony przez autora, to „próba przedstawienia morfologii wyjątkowego momentu w dziejach modernizmu, jakim była »rewolucyjna« *de facto* zmiana estetyczna: przemiany w zakresie »kultury oka« i »kultury ucha«; »wizualności« i »fonosystemu«, przede wszystkim zaś – przemiany w dziedzinie literatury” (s. 36). To postulat poniekąd maksymalistyczny, a u jego podstaw leżą dwa przeświadczenia: *primo*, że kultura przełomu XIX i XX wieku znalazła się w momencie „wielkiego podsumowania”; *secundo*, że kultura nie jest zbiorem autonomicznych sztuk i nauki, ale występuje w swojej hybrydycznej czy dialogowej postaci za sprawą tego, co nazywamy dzisiaj intertekstualnością i in-termedialnością.

Artur Żywiołek swoim spojrzeniem obejmuje formację modernistyczną, czy też – wedle innej nazwy – nowoczesności, czyli od połowy wieku XIX do połowy wieku XX. Twierdzi, że „wielow-

miarowa interpretacja mitu tristanowskiego w jego rozmaitych inkarnacjach literackich, filozoficznych, muzycznych, politycznych i ekonomicznych, umożliwia całościowe – do pewnego stopnia – ujęcie zjawiska rytmu (»instynktu myśli« według Adama Dziadka) kultury europejskiej i polskiej w fazie modernistycznego przełomu; kulturowego rytmu rozumianego jako oscylowanie między tradycją i nowoczesnością, przeszłością i przyszłością, logosem a mitem, racjonalnością i afektywnością” (s. 37).

Autor ma świadomość, że poza literaturą „tristanowskie repetycje, rewo-kacje i reaktualizacje pojawiają się również na gruncie muzyki, filozofii, malarstwa i filmu” (s. 22), natomiast „rytm moderny inicjuje »akord tristanowski«, ów dźwiękowy moment osobliwości, z którego wywodzą się pozostałe tematy i motywy”, koncentrujące się wokół „problemów filozoficznych, społecznych, ekonomicznych czy aksjologicznych” (s. 37). W ten sposób badacz zaprasza nas do lektury „przejścia” formacji kulturowych, a pretekstem do takiego odczytania stają się wielkie narracje filozoficzne i estetyczne.

Badacz nie jest namiętnym referentem myśli filozoficzno-estetycznych, ale przywołując fundamentalne dla współczesnej humanistyki dzieła, stara się odszukać w nich to, co łączące, co układa się we wspólne im przekonanie o repetycjach i reaktualizacjach mitu, czy – bardziej ogólnie – wielkiej narracji kulturowej. Nie ma powodu zatem, by ponownie przechodzić drogą, którą już odbył Artur Żywiołek. Zaznaczyć tutaj trzeba, że jego dyskurs jest jednocześnie gęsty i swobodny, uczony płynnie przechodzi przez niespokojne morze myśli, jakby nie zważając na cychające na niego pułapki (wiry i wzburzone fale). Więc

jeszcze raz: nie jest referentem świadomości modernistycznej, lecz jej odpowiedzialnym kodyfikatorem.

Dlaczego przyjął taką postawę? Ano dlatego, że – jak czytamy w podsumowaniu monografii – „Mit tristanowski stanowi [...] swoistą konstelację i kryształizację powracających idei, a także afektów, które organizują nowoczesne imaginaria kulturowe. Prezentacja rozmaitych tekstów kultury muzycznej, literackiej, filozoficznej, składających się na mozaikę cytatów, zapożyczeń i przetworzeń, wskazuje na fakt, że tristanowskie tematy konstytuują wielką metaforę zawierającą diagnozę stanu cywilizacji zachodniej w momencie »podsumowania« i »przesilenia«, w chwili »wielkiej transformacji«, a także prognozę dotyczącą możliwego powrotu do kulturowych źródeł: Grecji, Rzymu i Jerozolimy” (s. 377).

Od opisu *Vorspiel*, czyli „momentu dźwiękowej osobliwości”, rozpoczyna się właściwa część monografii, w której – wychodząc od Wagnera – badacz przedziera się przez poglądy Nietzsche-go, Schopenhauera i Kierkegaarda, odnajdując w nich zasadnicze paralele tak właściwe dla owego „punktu zero”, jakim są narodziny formacji modernistycznej. Artur Żywiołek napisał: „Poszukiwanie podobieństw, zależności, wzajemnych oddziaływań filozoficznych stanowisk, ich literackich konceptualizacji, muzycznej mediacji ma – w wypadku przywołanych nazwisk i tytułów – istotne znaczenie dla wyjaśnienia i zrozumienia fenomenu namiętności, rozkoszy (*Lust*), która swoją moc znaczeniową zawdzięcza nie tylko archaicznym mitom, lecz przede wszystkim nowoczesnym repetycjom i reaktualizacjom. Stanowisko zakładające, że tacy twórcy jak między innymi Wagner, Schopenhauer, Kier-

kegaard, a zwłaszcza Nietzsche to »tarce obrotowe« nowoczesności, by przywołać znaną frazę Jürgena Habermasa, należy dziś do repertuaru powszechnie przyjmowanych tez» (s. 131).

W rozdziale *Das Streben jako nastrój końca Europy. Tristitia Zdziechowskiego* badacz powiada, że »wbrew rozpowszechnionym przekonaniom o dekadentckim charakterze kultury Zachodu końca XIX wieku, przejściu do XX wieku patronują niezwykle silne namiętności (*das Streben, höchste Lust*), którym jak cień towarzyszą afekty opisane przez Witkacego (nie-nasylenie, pustka, absurd), a które zostały uznane przez Mariana Zdziechowskiego za fundamentalne impulsy końca »tragicznej Europy« (s. 37). Jak zauważy badacz, Zdziechowski czyta *Tristana i Izoldę* Wagnera w dialogu, dokonuje komparatystycznej interpretacji dzieła w »rejestrach» literackich, muzycznych i filozoficznych, a wreszcie »interesuje [go] przede wszystkim fakt krystalizacji w opowieści o *Tristanie i Izoldzie* emocji, nastrojów, idei korespondujących z ówczesną atmosferą »zmięzchu Zachodu« oraz pojawienie się oznak chrześcijańskiego odrodzenia (modernizmu katolickiego), przede wszystkim zaś zjawiska estetyzacji (uczuciowego przeżycia) religii [...]» (s. 173–174).

Łączę rozdział pierwszy i trzeci książki po to, by potwierdzić, że przywołane przez badacza przekonanie Rogera Scrutona, iż »nowoczesna kultura wysoka jest w takim samym stopniu zbiorem przypisów do Wagnera, jak filozofia jest – według Whiteheada – zbiorem przypisów do Platona» (s. 11), świetnie przystaje zarówno do zachodniej, jak polskiej formacji modernistycznej. Nowoczesność spojrzenia Artura Żywiołka polega na tym, że nie wikła się on – jak wielu innych – w rozważania na temat uniwersalności i prowincjonalności kultury polskiej tamtego czasu, ale stara się ją zobaczyć w stanie przetwarzania, na różnych poziomach nadbudowywania znaczeń, przekształcania paradygmatu, włączania »nowego» do »dawnego». Jakby powiedział badacz: ująć ją w kontekście zmiany estetycznej »oka» i »ucha».

Wspomniałem wcześniej, że dobrane do refleksji komparatystycznej utwory, choć nieoczywiste, układają się w spójny ciąg. Jakże to są utwory, poza kanonicznym Wagnerowskim dziełem i wielkimi postulatami filozofów przełomu wieków? Oto one: *Tristan* oraz *Nielad i wczesna udręka* Thomasa Manna, *Lalka* Bolesława Prusa, *W malinowym chruśniaku* Bolesława Leśmiana, *Tristan i Izolda* oraz *Niekochana* Adolfa Rudnickiego, *Kolczyki Izoldy* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, *Tristan przebrany* Jarosława Iwaszkiewicza, *Tristan 1946* Marii Kuncewiczowej. Dominuje tu pierwsza połowa wieku XX. Badacz tak uzasadnia

swój wybór: »Bolesław Leśmian poszukiwał w doświadczeniu miłości estetycznych (zmysłowych) wyznaczników rytmu istnienia: nie tylko percepcji trwania (*durée*), lecz także trwania percepcji. [...] Adolf Rudnicki, rozwijając temat »złej miłości« [...] potwierdził kulturotwórczą moc mitu tristanowskiego pozostającego – jako »świadomy smutek istnienia« – w wyraźnej symbiozie z rytmem »życia, którego nigdy nie jesteśmy syci«. [...] *Tristan przebrany* Jarosława Iwaszkiewicza, *Kolczyki Izoldy* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz *Tristan 1946* Marii Kuncewiczowej [...] łączy [...] matryca tristanowskiej legendy jako literackiego i światopoglądowego »modelu« języka zdolnego wyrazić to, co jest *de facto* niewyraźalne: śmierć, okrucieństwo i rolę miłości w zdegradowanym przez wojnę świecie» (s. 38).

Chcę zaznaczyć, że prowadzone interpretacje są na mistrzowskim poziomie. Znakomite jest połączenie Gałczyńskiego i Iwaszkiewicza, gdzie ten drugi swój poemat sytuuje jako odpowiedź na utwór pierwszego. »Przetworzony przez Gałczyńskiego mit o samotnej polskiej Izoldzie (pozbawionej więzi z Tristanem) ujawnił swoją retoryczną moc, włączając zdegradowaną rzeczywistość powojenną w wymiar historii i kultury» (s. 333); »Jak Izolda w poemacie Gałczyńskiego, tak Tristan (»harcerz z trzema lilijkami«) w poemacie Iwaszkiewicza stał się synekdochą zbiorowości (narodu, pokolenia), obrazem tych wszystkich młodych ludzi, żołnierzy, powstańców warszawskich, dla których czas życia i miłości zmienił się nagle w czas śmierci, czego rytmicznym ekwiwalentem jest dialektyka obecności i nieobecności tytułowego bohatera, a także jego *nokturnalia* – artykułowane przez sensualne doznania dźwięków i ciszy, a także widzialności i niewidzialności – status» (s. 345). Podobnie interpretację *Tristana 1946* Kuncewiczowej uważam za wybitną, a zdanie podsumowujące: »Kuncewiczowa przedstawia zdegradowane przez doświadczenia wojenne »nagie życie«, które nie daje się pochwycić w sieć symbolicznych znaków, ani poddać sile mitycznej, wyimaginowanej utopii» (s. 369) za kluczowe dla kolejnych prób odczytania powieści.

Badacz pyta: »Czy tristanowskie nokturnalia są li tylko nieudaną próbą wskrzeszenia poległych, czy raczej ustanawiają gest ocalającej pamięci o wspólnocie żywych i umarłych?» I odpowiada: »Mimo oczywistych różnic – stylistycznych, gatunkowych, aksjologicznych – [...] legenda o Tristanie i Izoldzie wykazuje zadziwiająco moc retoryczną jako zbiór sensotwórczych *topoi*, owych zasobów myśli i figur stylistycznych (s. 368).

Nie referuję wszystkich rozdziałów tej znakomitej monografii, ponieważ

należałoby je potraktować jako fundament do rozważań nad mechanizmami zmiany estetycznej, u której źródeł leżą definitywne niejednokrotnie postawy wobec człowieka i jego pragnień. To zwłaszcza przypadek Adolfa Rudnickiego, gdzie – jak słusznie pisze badacz, porównując przed – i powojenną wersję *Niekochanej* – »dwudziestowieczna nowoczesność oscyluje między powtórzeniem regresywnym (ku przeszłości) a ruchem progresywnym, między nieudaną (?) próbą restytucji archaicznych form literackich pozostających w wyraźnej kolizji z rytmem moderny, a ruchem w stronę nieokreślonej przyszłości. Obie te formy powtórzenia (wstecznego i postępowego) biorą początek w tym samym rytmie życia przechodzącego w śmierć, miłości mocnej jak śmierć, albo w nieustannie pulsującym pragnieniu »życia, którego nigdy nie jesteśmy syci« (s. 316).

Artur Żywiołek nie jest zwolennikiem analizy fenomenologicznej w duchu Foucaulta, w której z analizy rzadkości konstruuje się pełnię narracji. Sądzę, że badacz ufa raczej wielkim systemom zamkniętym, które dają jakąś całkowitą wizję świata i w nich poszukuje pięknie, rozdarć i szczelin, które – w prześwicie – rzucają czasami niki, a czasami ożywcze światło. Jego interpretacje znakomicie dobranych utworów literackich są zanurzone właśnie w wielkich systemach, a zrodzone z prześwitów uwagi analityczne ukazują nowe oblicze dzieł, nad którymi się uczony pochylał.

Monografia *Tristitia moderna* to studium najwyższej próby, studium o smutku i melancholii, które zapoczątkowały zmięzchu Zachodu pod koniec wieku dziewiętnastego i przeniosły go dalej niż myśłano – nie tylko na cały wiek dwudziesty, ale i do dzisiaj. Co ważne: rozważania literackie, muzykologiczne i filozoficzne, jakie zostały w książce przedstawione, są niebywale aktualne i dzisiaj. Ostatecznie badaczowi nie chodziło o przejście przez idee wielkich systemów, które uobecniły się prowokacyjnie w micie tristanowskim, ale o pokazanie, że o jego pasji decyduje »aktywny udział owego mitu w organizowaniu współczesnej wyobraźni kulturowej, utrwalaniu zmian w dziedzinie »estetycznej władzy sądenia«, a także – a może przede wszystkim – w artystycznej ewokacji przemian światopoglądowych XIX i XX wieku» (s. 380). ■

**Artur Żywiołek: *Tristitia moderna. Pasja mitu tristanowskiego w nowoczesnej literaturze, filozofii i muzyce*. Universitas, Kraków 2019, 408 s.**

# Kraina najcięższego powietrza

KSIĄŻKI

ANNA HERMAN

Meksyk, który znam z reportaży, powieści, poezji, albumów fotograficznych, przewodników turystycznych, książek historycznych i kucharskich, to nie jeden i ten sam Meksyk. Inną krainą okazał się dla Fuentes, inną dla Juany Inéz de la Cruz, inną dla Che Guavery i dla Mrożka, inaczej wspomina go Maria Sten. Raz słoneczna, przeludniona i obsypana kępcami, później pogrążona w ciemności i opustoszała jak zgłiszcząca azteckich ruin, wśród których bawią się i polują oceloty – meksykańskość jest różnorodna, niedokończona, pełna zagłuszających się nawzajem narracji. Niezmiennie stanowi też obiekt zainteresowania Europejczyków.

Beata Kowalik – publicystka i podróżniczka, która przez kilka lat mieszkała w Meksyku – postanawia opowiedzieć historie Meksykanek – kobiet z jednej strony zagrożonych, doświadczających przemocy, pełnych obaw, z drugiej – działających, kreatywnych, odczuwających potrzebę wielkich i dogłębnych zmian w kraju, który raz po raz wstrząsany jest koniecznością reform, wiatrem rewolucji. Począwszy od czasów konkwisty, jednego z najbrutalniejszych aktów zawłaszczenia, który jednak zwykle się nazywało „odkrywaniami”, Meksyk jest w stanie nieprzerwanego zrywu. Akty buntu dotyczą wszelkich obszarów codziennego życia. W 2016 roku na ulice stolicy wyszły *muchache*, kobiety zatrudniane jako pomoc domowa, by domagać się nie tylko zwiększenia płacy minimalnej, ale również prawnej ochrony: „ponad sześćdziesiąt procent (z nich – A.H.) nigdy nie miało wakacji, a połowa nie otrzymuje tzw. *aginaldo*, czyli trzynastej pensji. »Domagamy się skończenia z niewolnictwem, poniżaniem i wykorzystywaniem nas, także seksualnym – wolały protestujące kobiety«”.

Czy w Meksyku naprawdę nic się nie dzieje? Czy *No pasa nada* to tylko puste i smutne powiedzenie, którym można utwierdzić się w przekonaniu, że wszystko jest w porządku? Jak w Meksyku wygląda praca seksualna? Jak to jest być lesbijką wśród *machos*? Czy aktywizm w krainie najczystszej powietrza jest zadaniem tylko dla tych, którzy nie mają nic do stracenia?

Tragiczna sytuacja kobiet i osób *queer* w Meksyku staje się odbiciem globalnych problemów w epoce późnego kapitalizmu. Dualizm kultury i natury, racjonalności i chaosu, postępu i zacofania, stanowiący podstawę często nieuświadomionego myślenia o świecie u schyłku XX i początku XXI stule-

cia, jest – według indyjskiej myślicielki, Vandany Shivy, również źródłem dyskryminacji ze względu na płeć. Pojmowanie kobiecości (lub szerzej – nie-męskości) w kategoriach przynależności do nieodgadnionej natury, sfery nieuporządkowania i irracjonalności, stawia podmiot żeński w opozycji do podmiotu męskiego – założycielskiego, władającego nauką, reprezentującego umysł i logiczne myślenie. Natura – niższa, mniej wartościowa, musi zostać ujarzmiona i wykorzystana. Filozofka wskazuje na wciąż żywy model pojmowania kobiecości jako podległości w społeczeństwach przechodzących aktualnie fazę najaktywniejszego rozwoju gospodarczego i przemysłowego (m.in. niektóre części Indii, ale także Meksyk). W tym miejscu warto podkreślić, że państwa, w których przemiany gospodarcze zaszły wcześniej, nie są wolne od tego myślowego schematu. Tożsamość powstaje w oparciu o przynależność do wielu kategorii społecznych – na przecięciach rasy, narodowości, etniczności, klasy, płci, orientacji seksualnej, wieku czy sprawności rodzą się również unikalne rodzaje dyskryminacji.

Dyskryminacja jest pojęciem centralnym dla narracji Beaty Kowalik. W 2019 roku liczba przestępstw popełnionych z powodu nienawiści do osób LGBTQ+ wzrosła o jedną trzecią względem roku 2018. Rozmawiając z transseksualnymi kobietami, lesbijkami i jedнопłciowymi parami wychowującymi dzieci, autorka podkreśla, że żyją one w stanie nieustannego zagrożenia. Szczególnie ważne wydają się słowa aktywistek działających na rzecz pomocy kobietom i osobom *queer*, podkreślających, że nie ma takiego dnia, w którym mogłyby poczuć się naprawdę bezpieczne, walcząc o pamięć i respektowanie praw człowieka. Warto wspomnieć, że od 2003 roku dyskryminacja – również ta ze względu na tożsamość płciową – jest w Meksyku prawnie zakazana. Pomimo to, między 2007 a 2015 rokiem, dokonano 283 zabójstw na transseksualnych kobietach. A to tylko porażający wycinek ze statystyk.

Kowalik spisując swoje opowieści, posługuje się wrażliwym i ostrożnym językiem, co zdaje się kluczowe dla przedstawionych w książce problemów, które wciąż spotykają się z niezrozumieniem czy pogardą – dotyczy to tak kwestii dyskryminacji kobiet, jak i przemocy wobec osób *queer*. Bohaterkami książki są również pracownice seksualne. Kowalik opisując je, parokrotnie posługuje się słowem „ prostytutki”, które w krę-



gach osób zajmujących się pracą seksualną zostało już napiętnowane jako aktywujące uprzedzenia, uznane za określenie nacechowane negatywnie.

Opowieści o bólu, zastraszeniu i nierównościach – to właśnie w *No pasa nada!* przedstawia Kowalik. Smutny Meksyk, kraj bezprawia i krzywdy kobiet zdaje się jednak odbiciem bezprawia i krzywdy, których doświadczą obecnie cały świat. Mark Fisher, filozof i autor *Realizmu kapitalistycznego*, w następujący sposób pisał o krytyce i analizie epoki, w której żyjemy: „Moralna krytyka kapitalizmu, naświetlająca, w jaki sposób powoduje on cierpienie, jedynie wzmacnia realizm kapitalistyczny. Ubóstwo, głód i wojna prezentowane są jako nieuniknione elementy rzeczywistości, podczas gdy nadzieja na ukrócenie tych form cierpienia jest eliminowana poprzez nadanie jej łatki naiwnego utopianizmu. Realizm kapitalistyczny może zostać zagrożony jedynie wtedy, kiedy zostanie ujawniony jako niekonsekwentny, nie do utrzymania; to znaczy wtedy, jeśli pozorny »realizm« kapitalizmu okaże się nie być żadnym realizmem” (tłum. – A.H.).

Niespójność i niemożliwość obrony zastanego *status quo*, w którym nierówności społeczne wydają się czymś naturalnym, daje nam istotny powód do namysłu, czy rzeczywistość Meksyku nie jest jedynie zintensyfikowaną wersją rzeczywistości, której doświadczamy na co dzień.

Książka Beaty Kowalik jest wzruszająca, budzi gniew, sprzeciw, uświadamia poczucie niesprawiedliwości. Prowokuje, tak jak autorka *27 śmierci Toby'ego Obeda*, Joanna Gierak-Onoszko, zadanie następującego pytania: Czy doła Meksyku, Meksyku po konkwisie, nie jest również naszym udziałem? ■

**Beata Kowalik: *No pasa nada! Nic się nie dzieje. Kobiące oblicze Meksyku*. Wydawnictwo Mova, Warszawa 2020, 264 s.**

# „Dopokąd idę”

KSIĄŻKI

EDYTA KOREPTA

Współautorką *Na Jowisza! Uzupełniam Jeźycjadę* Małgorzaty Musierowicz jest jej córka, Emilia Kiereś. „Co dwie głowy, to nie jedna” – tak wytłumaczyła pisarka ten współdział. Córka uczestniczyła w selekcji materiału, układała hasła, a przede wszystkim jej autorstwa jest większości zdjęć uzupełnionych o te, które pochodzą ze starych, historycznych albumów rodzinnych. Książka została wydana w pięknej szacie graficznej, co stało się zasługą Anny Pol.

Na internetowej stronie Musierowicz ([musierowicz.com.pl](http://musierowicz.com.pl)) ukazała się informacja o nowym wydaniu, ale odpowiedzi na nią osoby dorosłe, wnosząc więc można, że tym razem ukazała się książka „międzypokoleniowa”, adresowana wprawdzie do szerokiego grona odbiorców, ale pewnie znajdzie największych entuzjastów wśród starszych czytelników. Dowodzi tego jedna z refleksji wpisana przez nauczycielkę: „Pani Małgorzato, bogini literatury, opoko mojego dzieciństwa, książkę dostałam do swych rąk zaledwie wczoraj i jestem ZACHWYCONA. Wspaniała książka, taka ciepła, pełna wspaniałych ludzi, miejsc, wspomnień, anegdot. Na dodatek tak pięknie wydana. Ach! Ogromny szacunek dla obu Pań” (M.K. 2 czerwca 2020, 23:35).

Zaskakująca i niezwykła jest kompozycja tego wydania w formie słownika wiedzy o powieściach Musierowicz w szerokim kontekście kulturowym w powiązaniu z ciekawymi wątkami autobiograficznymi. Sama autorka informuje, iż tekst uzupełniają kolorowe zdjęcia, ilustracje, ciekawostki, anegdoty, cytaty i powiedzonka (MM, blogu 14 marca 2020). Informacje, przyczynki, nawiązania do powieści ułożone zostały w około 130 hasłach, tworząc „jeźycjadowe kompendium” z wyraźną odpowiedzią na pytanie o zakres autobiografizmu w jej tekstach literackich *Na Jowisza!* potwierdza spójność wątków autobiograficznych z bohaterami literackimi. Nie bez znaczenia jest również kontakt autorki z czytelnikami. To niejako trzy poziomy jej pisarstwa.

Ostatnia książka odbiega zasadniczo od tradycji; dotychczasowe powieści są „zawieszane niejako w czasie bieżącym, tak by ich czas pokrywał się z czasem kalendarzowym” (MM, blog 25 maja 2020). Nowa książka sięga do przeszłości i miejscami staje się kroniką rodzinną, dowodząc jedności pisarstwa z osobowością autorki.

Nasuwa się pytanie: co sprawiło, że autorce udało się pogodzić owe dwa światy tak doskonale zestawione w utworze?

Wydaje się, że doprowadzone do perfekcji operowanie szczegółem, co w codziennym życiu bywa naturalne: „diabeł tkwi w szczegółach” mówi przysłowie, gdy chodzi o opracowanie ważnych działań. Szczegóły pełnią bardzo istotną rolę w cytowanej książce, tym bardziej, że autorka zapisuje kronikę swojego życia we wspólnocie z bohaterami. Zaczyna od miejsca – Jeżyc – dzielnicy Poznania – podanej czytelnikom w galerii świetnych zdjęć kamienic i tej, w której toczy się życie Borejów na Roosevelta 5. Każdy szczegół pięknych secesyjnych budynków został sfotografowany, ale i tkwił w pamięci autorki, ponieważ w tej dzielnicy mieszkała, ale to nie wszystko. Musierowicz przekazuje czytelnikom, iż życie ludzi upływa w określonej przestrzeni, która jest siłą kształtującą egzystencję każdego człowieka. I nie chodzi o zewnętrzny opis miejsca, tę funkcję pełnią zdjęcia, lecz o *genius loci* – „ducha miejsca”, które stało się dla człowieka ważne. Prócz domu szczególną rolę zarówno w utworach, jak i w życiu osobistym pełnił stół. Stary, dębowy, zniszczony, ale duży zakupiła autorka w „graciarni” (za połowę honorarium otrzymanego z wydawnictwa za jedną z książek). Odświeżony, wprawdzie nie do końca, umożliwił spotkania rodzinne, przyjacielskie i stał się „członkiem rodziny” – „Nowy stary stół poczuł się u nas jak w domu” (s. 273) napisała MM (tak podpisuje się autorka w blogu). Przede wszystkim stół jednoczył rodzinę będącą w życiu Musierowiczów wielką wartością samą w sobie, ponieważ wśród najbliższych wzory zachowań i postaw przekazywane bywają kolejnym pokoleniom w sposób spontaniczny i naturalny. A twórczość Musierowicz cechują przede wszystkim przesłania moralne, co wynika, jak sama autorka przyznaje, z doświadczeń wyniesionych z jej domu rodzinnego i domu, który stworzyli wraz z mężem.

Wzruszający jest sposób pisania o matce – lekarce, naukowcu, która wiele od swoich dzieci wymagała i nauczyła szacunku dla pracy („Praca jest błogosławieństwem!” – uczyła matka, s. 61). Obdarzała swoje dzieci wielką miłością i nauczyła kochać. Sędziwy wiek spędziła w domu Musierowiczów, otoczona szacunkiem i troskliwością. Matka również nauczyła kochać książki. W rodzinie panował kult książek i wykształcenia oraz model życia oparty na kulturze humanistycznej, ujawniony w kreacji postaci Borejki – seniora, który był filologiem klasycznym i epatował znajomością Seneki; kilka stron jego złotych myśli Musierowicz

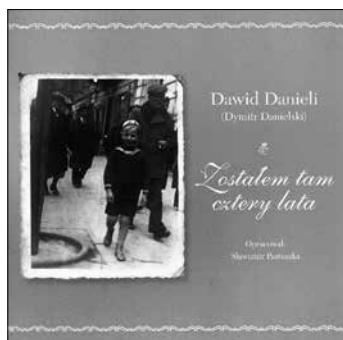


zamieściła w książce. W dobie pandemii można zacytować jedną z nich: „Gubimy się, naśladując innych: oddzielmy się od tłumu, a wrócimy do zdrowia” (s. 253).

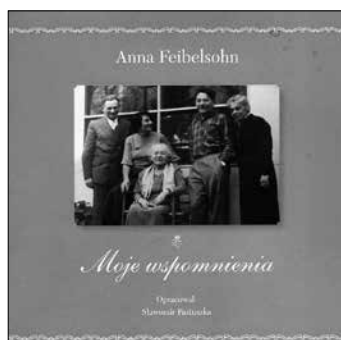
Umiłowanie książek budowało w rodzinie pisarki rodzinną więź. Od najmłodszych lat autorka odwiedzała biblioteki, dając przykład młodszemu bratu – Stanisławowi Barańczakowi, uwielbiała antykwariaty, gdzie zdobywała unikalne wydania. Szczególną rolę odegrały w jej życiu antykwariaty poznański i toruński, które mu poświęciła już wcześniej dużo miejsca w *Kwiecie kalafiora*, i na blogu. Tam spotykała się z bratem. Godna uwagi jest anegdota o dziwnej historii zakupu przez każde z nich przypadkowo pojedynczych z tomów tej samej książki pt. *Współczesny dramat amerykański* i zachodach, by pozyskać całość. Wzrusza i wprowadza szczególnie nastrój opis finału. Musierowicz uzyskała pełne wydanie po wyjeździe Barańczaka do Stanów Zjednoczonych, gdzie objął pracę wykładowcy na Uniwersytecie Harvarda. „Okazało się, już na zawsze” (s. 18). Trzy tomy przechowuje z pietyzmem do dziś.

Ostatnie strony książki są obietnicą dalszego ciągu. Czekamy na utwory pisarki, która potrafiła połączyć mimesis tekstów narracyjnych z osobistą historią, dając świadectwo dobra, jakie niesie dobrze skonstruowana wspólnota tworzona wokół książek, malarstwa, fotografii, pięknej przyrody, a nade wszystko wokół tradycji, szczególnie rodzinnej. Na dowód Musierowicz cytuje wiersz Norwida *Dopokąd idę*. Sugeruje, że jest dla niej ważny i może nie tylko dla niej? „Przecież i ja/ziemi tyle mam./ Ile jej stopa ma pokrywa./ Dopokąd idę!...” Jest w nim i wędrownika, i jej przemijający ślad. [...] Jest w nim wszystko” (MM, 31 marca 2016). ■

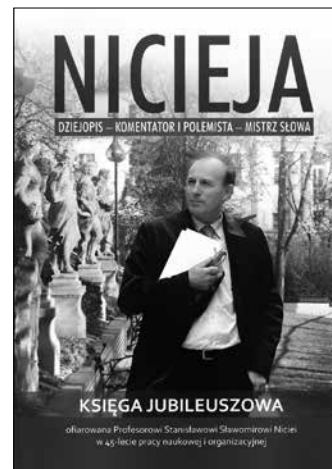
Małgorzata Musierowicz (przy współpracy Emilii Kiereś): *Na Jowisza! Uzupełniam Jeźycjadę*. Egmont, Warszawa 2020, 344 s.



Dawid Danieli (Dymitr Danielski), *Zostałem tam cztery lata*. Opracował Sławomir Pastuszka. Wydawca: Pszczyńskie Centrum Kultury, Pszczyzna 2019.



Anna Feibelsohn, *Moje wspomnienia*. Opracował Sławomir Pastuszka. Wydawca: Pszczyńskie Centrum Kultury, Pszczyzna 2018.



*Nicieja. Dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa. Księga jubileuszowa*. Pod redakcją Danuty Kisielwicz i Mariusza Sawickiego. Wydawca: Uniwersytet Opolski, Opole 2020.



Marzena Orczyk-Wiczowska, *Ranne pieśni*. Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2020.



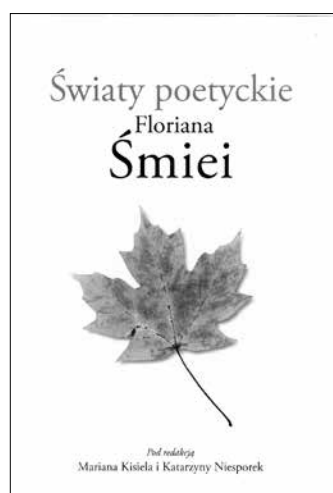
Rafał Jaworski, *Wiersze, które trudno sądzić za pedagogikę wstydu*. Wydawca: Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz, 2020.



Lucyna Żbikowska, *Z jesienią w tle*. Wydawca: RS Druk, Rzeszów 2020.



Agnieszka Huf, *Zawsze myśl o niebie. Historia Hanika – ks. Jana Machy (1914–1942)*. Księgarnia św. Jacka, Katowice 2020.



*Światy poetyckie Floriana Śmiei*, pod red. Mariana Kisiela i Katarzyny Niesporek. Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2020.

# Teresa Trzeciak (1941–2019)

ANNA I KRZYSZTOF WIECZORKOWIE

Pracownik naukowo-dydaktyczny Akademii Ekonomicznej w Katowicach i niezapomniana kierowniczką Dziekanatu Wydziału Przemysłu i Zarządzania (1980–2000), Prezes Stowarzyszenia „Hospicjum” w Katowicach (1991–2004), utalentowana organizatorka wielkich imprez i czuła opiekunka terminalnie chorego – Teresa Trzeciak, laureatka Nagrody im. bł. ks. Emila Szramka zaskoczyła swych przyjaciół śmiercią, tak jak wcześniej zaskakiwała życiem. Teraz trwają starania, by jej postać upamiętnić w Krypcie Katedry Chrystusa Króla, naszym Kościele Akademickim, stosownym epitafium. Prof. Krzysztof Wieczorek wraz z żoną Anną przywołują postać wyjątkowej „Duszpasterki”.

## Anna

Takiej, jak ona, niezwyklej kobiety Kościoła, śląskie środowisko akademickie może się już nigdy nie doczekać. Kim była Teresa Trzeciak i w jaki sposób pozostawiła siebie pośród ludzi i dzieł, które współtworzyła?

Urodzona w Krakowie w roku 1941, związała się ze śląskim duszpasterstwem profesorów i pracowników naukowych od początku jego istnienia, to znaczy od czasów „Solidarności” w 1980 roku i działała w nim wiernie aż do śmierci. Z niezwykłą wrażliwością rozpoznawała potrzeby innych. Życzliwa, uśmiechnięta, serdeczna – hojnie ofiarowywała swój czas, siły, energię, pomysły. W stanie wojennym uczestniczyła w pracach Biskupiego Komitetu Pomocy Aresztowanym i Internowanym w ramach Caritas Academica. Współtworzyła pierwsze na Śląsku hospicjum domowe, od jego powstania w 1987 roku, była jego wolontariuszką, potem przez trzy kadencje pełniła funkcję prezeski, kierowała pracami stowarzyszenia, oddana idei hospicyjnej. W duszpasterstwie nauczycieli akademickich (ewenement w skali kraju) wzięła udział chyba we wszystkich spotkaniach, wyjazdach, rekolekcjach, zajęciach. I to działanie – aktywne, skuteczne, z inicjatywą i sercem – przyniosło jej powszechnie używane miano „duszpasterki”. Stała się gorliwą kronikarką wszelkich działań Duszpasterstwa Akademickiego: w nieodłącznych zeszytach zapisywała daty, nazwiska, wydarzenia, streszczała nauki rekolekcyjne, notowała tezy wykładów. Dbała o ludzką radość i wdzięczność – zawsze na wyjazdach, rekolekcjach, spotkaniach z zaproszonymi gośćmi troszczyła się o stosowne podziękowania i niewielkie chociaż prezenciki. Jej sławne bezy, faworki czy pierniki gościły na urodzinowym lub imieninowym stole w DA, bo zawsze pamiętała o różnych uroczystościach Zresztą gdy ktoś miał jakieś swoje święto, zwykle od Teresy odbierał jeden z pierwszych tego dnia telefonów z życzeniami – była w tym niedościgniona.

Teresa, samotna, rodzinę, której nie założyła, widziała wokół siebie, w tych śro-

dowiskach, z którymi się związała – na uczelni, w DA, w hospicjum, w Kościele. Oddawała siebie radykalnie – aż do końca, ofiarowując swoje ciało na cele naukowe, aby – jak głosi sentencja donatorów – „śmierć mogła przyjść z pomocą życia”. Dla nas, którzyśmy ją znali i kochali, była człowiekiem świętym. Być może, gdyby miała grób nieopodal, nad którym moglibyśmy się spotkać i pomodlić choćby w Zaduszki, ta inicjatywa ufundowania tablicy upamiętniającej Teresę nie narodziłaby się w naszych głowach i sercach... Ale się narodziła i niech się stanie – dla niej, dla nas i dla tych, co po nas.

## Krzysztof

Nazywaliśmy ją „Duszpasterka” i „Kierowniczką”. Była pełna niespożytej energii, dla której wciąż szukała ujścia. Jej żywiołem było pomaganie ludziom potrzebującym, przede wszystkim chorym i umierającym. Wieloletnie zaangażowanie w ruch hospicyjny graniczyło z heroizmem. Nie tylko sama pomagała ofiarom, nie szczędząc czasu i sił, ale też organizowała pomoc, zachęcała innych do działania, aktywnie kierowała stowarzyszeniem „Hospicjum”.

Choć nie założyła własnej rodziny i nie miała bliskich krewnych, nie lubiła samotności. Była zawsze tam, gdzie coś się działo – i odwrotnie: tam, gdzie była Teresa, zawsze coś się działo. Odpoczywała wyłącznie aktywnie, uczestnicząc w niezliczonych rekolekcjach i zwiedzając świat podczas wyjazdów grup i wspólnot związanych z DA. Ale nie potrafiła być bierną uczestniczką; dla wszystkich było oczywiste, że sprawy organizacyjne bierze na siebie Teresa. Przyzwyczaiała nas do tego, że organizowanie było jej drugą naturą, i z roku na rok coraz trudniej było wyobrazić sobie wyjazd turystyczny lub rekolekcyjny bez Teresy. Jak sobie teraz poradzimy bez Ciebie, nasza droga Duszpasterko?

Jeśli jej drugą naturą była aktywność organizacyjna, to trzecią naturą stało się skrupulatne dokumentowanie i archiwizowanie wspólnej historii. Z każdej konfe-



rencji rekolekcyjnej pilnie robiła notatki, które przechowywała latami. Pisała własne kroniki wypraw krajowych i zagranicznych, prowadząc równoległe dokumentację fotograficzną. Cudownie potrafiła opowiadać o tym, gdzie i z kim była, co widziała, co jej się podobało. Stała się chodzącą historią śląskiego środowiska akademickiego, a przynajmniej tej jego części, która była związana z pracownikami śląskich uczelni. Na pewno zostało po niej przebogate archiwum – zdjęcia, notatki, relacje z wypraw i rekolekcji, własne refleksje na marginesie. I na pewno został po niej – i oby się jak najdłużej utrzymał – wyraźny, piękny ślad w naszej pamięci. Drugiej takiej jak Teresa – ze świecą szukać!

No i jeszcze jej legendarne przetwory – powidła, konfitury, gruszki w winie, ciasta i faworki... – wydaje się, że to temat prozaiczny i mało poważny; ale w tym była cała Teresa. Najpierw organizowanie wyprawy na giełdę owocową: ktoś musiał z nią pojechać, pomóc znaleźć odpowiednie stoisko, wybrać, zanieść, przetransportować. Potem, ujawniał się kulinarny kunszt Teresy – nie tylko towaroznawcy, ale też przepiso – i smakoznawcy. I na koniec – cała lista obdarowanych, bo Teresa zawsze piekła, smażyła, pichciła wielokrotnie więcej, niż sama mogłaby spożytkować, więc nasze spizarnie pęczniały od jej smakołyków. Znała drogę przez żołądek do serca – i to była kolejna z wielu dróg, dzięki którym trwale i wdzięcznie zagościła w naszych sercach. Dziękujemy Ci, Tereso!

# Franciszek Maśluszczak – malarstwo



*Wsparcie, 73x50, 2017 r., akryl*





Granciszek Majluszczak 2019





Starówka, 80x60, 2009 r., akryl



Koguty, 70x100, 2017 r., akryl

# Kompozytorka spełnionych nadziei

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

W odpowiedzialnych rękach oraz intencjach Internet staje się narzędziem skutecznym i pozytywnym. Tak sobie pomyślałem, kiedy zaproszony przez młodego, a już głęboko i oryginalnie myślącego skrzypka, miałem przyjemność wziąć udział w elektronicznej dyskusji na temat stylistyki muzycznej. Podał mi obrazowe porównanie – jak stwierdził, styl kompozytorski kojarzy mu się z zabawami w programie Word, gdzie manipulować można krojami czcionek, ich wielkościami, interliniami oraz innymi modyfikatorami takimi jak np. kolory; jest to zatem według niego zbiór wszystkich cech (szablon), kształtujących konkretny materiał (tekst). Ciekawy koncept; moje rozumienie stylu, kontynuując owo lingwistyczno-wizualne skojarzenie, jest inne. Może najpierw trzeba sięgnąć głębiej, przeanalizować morfologię i składnię danego dzieła? W moim rozumieniu styl to wypadkowa wybranych zasad ortografii i gramatyki, zbiorowisko Barthosowych leksji o arbitralnie dookreślonej konstrukcji. Na stylu *Pamiętników* Paska nie waży krój czcionki, jej wielkość itd. – to są, myślę, cechy podrzędne – a jedynie swoiste barokowe, „sarmackie”: pisownia, konstrukcja zdań, obecność zwrotów obcojęzycznych itp. To one właśnie stanowią o stylu. Tekst, np. elektroniczny, można by napisać samymi małymi literami i bez znaków diakrytycznych, jednak nie decydowałoby to nieodwołalnie o styl jako takim. Brak znaków diakrytycznych i dużych liter wskazywałby na wybór pewnej „techniki instrumentalnej”, ale nie determinowałby stylu; dzieje się tak w *Kunst der Fuge*. Dzieło to dopuszcza – choć sąd ten budzi polemiki – wykonania przez dowolne instrumenty, co w niczym nie rzutuje na jego immanentny styl.

Mimo tego prawda leży po środku, jako że styl immanentny, bazę, mogą aktywnie dopełniać środki dźwiękowej nadbudowy (np. efekty instrumentalne), których rolą jest *powierzchniowe* wzbogacenie tego stylu. Tu na myśl przychodzą wczesne utwory Pendereckiego, które komponował w dużej mierze dzięki komasacji nowych wtedy technik instrumentalnych, w wyniku czego procesy drugorzędne nabierały cech wiodących, np. kosztem formy bądź czy-

telnego ujmowania standardowego materiału dźwiękowego.

Przyznaję, jestem przeciwko wypracowywaniu sobie tzw. własnego stylu. Taki zindywidualizowany styl uważam w moim przypadku za bezużyteczne zawężenie pola badania możliwości muzyki. Zdawał sobie z tego świetnie sprawę kameleon Strawiński. Mimo to nie mam zgoła żadnych uprzedzeń wobec tych, którzy sobie wykreowali „autorskie” style i zmanifestowali je w dziełach najwyższej klasy, m.in. malarzy Giorgia de Chirico, Salvadora Dali, Zdzisława Beksińskiego, w polskiej muzyce: Chopina, Lutosławskiego lub Aleksandra Lasonia.

U tego ostatniego studiowała w katowickiej Akademii jedna z najbardziej interesujących polskich kompozytorek XXI stulecia, Justyna Kowalska, po zamążpójściu Kowalska-Lasoń. Lubię jej muzykę. Autorka jest odważna. W przeciwieństwie do wielu koleżanek i kolegów nie stara się być na siłę awangardową, nie dąży do powielania bezpiecznych techniczno-stylistycznych rozwiązań należących do estetyk przedpotopowych. Jej odwaga to odwaga kogoś kto robi swoje, nie patrząc na konsekwencje, to zaś świadczy o fantazji i pewności swych racji.

Oto dlaczego: w ósmej dekadzie poprzedniego wieku odkryłem prawo, które się ciągle potwierdza: im dalej w przeszłość sięgają twórcy po wzory, tym – paradoksalnie – mniejsze szanse by ich oskarżano o plagiat i wtórność; w im bliższą przeszłość wchodzi – tym szanse na takie oskarżenia są niebotycznie większe.

Justyna Kowalska-Lasoń ani nie sięga w daleką przeszłość, ani nie patrzy bałwochwalczo w przyszłość. Narażając się na nierozumne pomówienia i porównania tworzy muzykę, której korzenie tkwią w estetycznych pokładach drażnionych w latach sześćdziesiątych XX wieku (więc stosunkowo niedługo przed narodzinami kompozytorki w 1985) przez tzw. Polską Szkołę – termin sporny; Włodzimierz Kotoński i grupa innych byli mu przeciwni. Nie waha się sięgać po zaawansowane techniki produkcji dźwięku znane z partytur Szalonka, Schaeffera, Serockiego, Pendereckiego (...*dotykam gór, a one dymią* na flet preparowany solo z 2011); elektronikę, którą do polskiej muzyki orkiestrowej wpro-



Justyna Kowalska-Lasoń

wadzili Dobrowolski, Schaeffer i Serocki (*Która wszystko tworzy, wszystko ochronia* na mieszany chór solistów, orkiestrę kameralną i dźwięki elektroniczne z lat 2014–2015). Posługuje się dźwiękowymi masami o silnym natężeniu emocjonalnym i potężnym brzmieniu, które w latach pięćdziesiątych zaszczepili muzyce Xenakis oraz Ligeti; kapitałnie rozwinęli tę technikę Buczkówna, Moszumańska-Nazar, Ptaszyńska, Bloch, Bujarski, Górecki, (wczesny) Kilar, Lasoń, Penderecki, Stachowski (*Śpiewam Nowoczesnego Człowieka* na orkiestrę symfoniczną z 2011; nb. utwór ten zainspirowała poezja Włata Whitmana). W muzyce wokalne osiąga intensywną ekspresję, której patronują Górecki, Eugeniusz Knapik, Penderecki (*Sanctus* na chór mieszany z 2005/2010). W muzyce kameralnej dociera do samych źródeł subtelnej liryki z jednej strony, z drugiej – do ekstatycznego, zaiste gwałtownego wyrazu; mistrzem takich ujęć był Szymanowski (*A Light Exists in Spring...* na kwartet smyczkowy z 2005/2009).

Nie bez kozery rozpocząłem od rozważań o stylu. Porównawcza analiza dzieł kompozytorki prowadzi do intrygujących konkluzji – ich urozmaiconą stylistykę, ściśle powiązaną z nadrzędną, archetypiczną estetyką Polskiej Szkoły, określić można jako jedność w różnorodności. Mimo zróżnicowania modeli stylistycznych charakteryzujących poszczególne utwory, ich uniwersalnym spoiwem jest oryginalne, bardzo osobiste, podejście do funkcji emotywnej muzyki. Stylistyka dzieł Justyny Kowalskiej-Lasoń jest więc niejednorodna – to, sądzę, poważna zaleta; siła tej estetyki tkwi w unikalnej twórczej filozofii, świadomie (i ryzykownie!) wywiedzionej z najświeższej, ciągle odmiennie *syntetyzowanej* rodzimej tradycji lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Już od zarania kariery upatrywałem w kompozytorce nadzieję polskiej muzyki – nadzieję, która się całkowicie, pięknie i efektownie spełniła. ■

# Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie

ANTONI WILGUSIEWICZ

Przymusowy pobyt w domu związany z epidemią koronawirusa skłania do różnych zajęć, na które w codziennym życiu nie mamy po prostu czasu; osoby nałogowo zbierające książki, do których się zaliczam, mogą przejrzeć i przeczytać niektóre z nich, dotąd upchnięte gdzieś na półkach czy w szafach. W ramach tej „operacji” sięgnąłem do zbioru książek wydanych przez PWKS we Lwowie, które znalazły się w moim posiadaniu jako część spuścizny po stryju Stanisławie, przed samą wojną zatrudnionym tam jako młody praktykant. PWKS zostało założone jako lokalne wydawnictwo w 1921 roku, ale prawdziwego rozmachu nabrało w latach trzydziestych, po tzw. reformie jędrzejowiczowskiej szkolnictwa. Siedziba Wydawnictwa mieściła się przy ulicy Kurkowej 21 we Lwowie, zaś pierwszym dyrektorem był Włodzimierz Bystrzanowski. Obok podręczników polskich PWKS miało monopol na wydawanie podręczników dla szkół mniejszościowych, przede wszystkim ukraińskich, także niemieckich i białoruskich; obok podręczników wydawano wiele pozycji przydatnych dla uczniów i nauczycieli, czego przykładem jest *Mitologia* Jana Parandowskiego. Po nieudanych, wskutek oporu środowiska

lwowskiego, próbach przenosin PWKS do Warszawy ponownie rozwinęło swoją działalność we Lwowie; ostatnim przedwojennym dyrektorem został Józef Zaremba. On to zainicjował wobec nadchodzącej szybko groźby wojny przechowanie zapasów wydrukowanych książek w magazynach różnych wydawnictw, przede wszystkim Gebethnera i Wolffa, ale także rozdanie ich wśród pracowników – tym sposobem i mój stryj znalazł się w posiadaniu pewnej ich liczby. Za swój patriotyczny obowiązek uznał nie tylko ich przechowanie w czasie okupacji, ale i przywiezienie na Śląsk, gdzie został ekspatriowany wraz z rodziną w 1946 roku. Ponieważ nikt o te książki się nie upominał, a później, w czasach stalinowskich ich posiadanie mogło być wręcz niebezpieczne, przechował je w swoim mieszkaniu aż do śmierci w 1988 roku. Obecnie znajdują się u mnie jako *sui generis* świadectwo lwowskiego rodowodu mojej rodziny.

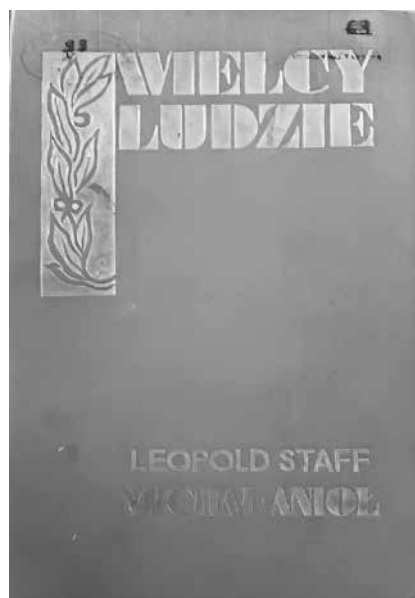
Zbiór liczy kilkadziesiąt pozycji, wśród których prawie nie ma podręczników. Wyjątek stanowią podręcznik do astronomii (dla klasy II liceów humanistycznych i klasycznych) Stanisława i Ewy Kalinowskich, a także trzy podręczniki do języka niemieckiego, z których zwraca uwagę ze wzglę-

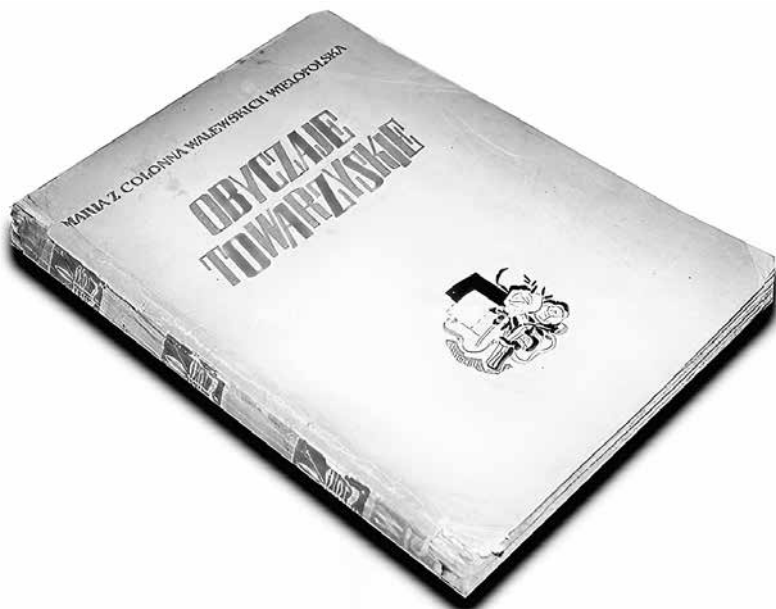
du na współautora podręcznik dla liceów zawodowych – jest nim Karol Zagajewski, po wojnie spacerujący ulicami Gliwic ze swoim wnukiem Adamem. W języku niemieckim znajdziemy także dwa tomiki lektury uzupełniającej (oraz jeden w języku francuskim). Wśród podręczników jest też – na zasadzie wyjątku – podręcznik akademicki chemii nieorganicznej. Dla miłośników nauk ścisłych znajdziemy wśród zjawisk geofizycznych Zofii Kalinowskiej oraz pięknie wydany, w twardych okładkach, tom Egmonta Colerusa *Od tabliczki do różniczki*, poświęcony popularyzacji matematyki. Uwagę zwraca przedmowa, zaczynająca się od słów:

„Matematyka jest najpiękniejszym i najpotężniejszym tworem ducha ludzkiego. Matematyka jest tak starą, jak stary jest człowiek”.

Autorem tej przedmowy jest nie kto inny, jak dr Stefan Banach, prof. UJK.

Większość książek stanowią szeroko pojęte pozycje z zakresu humanistyki i wiedzy o społeczeństwie. Zaczniemy od obszernego tomu *Godziny wieków. Historia świata dla ciebie Ernesta Gombricha*, jak sama nazwa wskazuje przybliżającego temat młodym (acz nie tylko) czytelnikom. Obszernie reprezentowana jest historia sta-





rożytna i średniowieczna, poczynając od wspomnianej już, pięknie wydanej *Mitologii* Jana Parandowskiego (wyd. III, 1932 r.) Książka drukowana była u Jana Żydaczewskiego we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 77. Tegoż autora znajdziemy także *Wojnę trojańską*, zaś wybitny znawca kultury antycznej Tadeusz Sinko jest autorem pozycji *Doskonały Grek i Rzymianin* oraz *Od filantropii do humanitaryzmu i humanizmu*. Jan Parandowski przełożył także z łaciny i opracował klasyczne dzieło Einharda *Życie Karola Wielkiego*. Warto zauważyć, że książka ta wydana została podczas krótkiego okresu działalności PWKS w Warszawie (1935 rok). W Wielkiej Bibliotece Historycznej znajdziemy dziełka tak wybitnych historyków, jak Władysław Tomkiewicz, Mieczysław Żywczyński, Tadeusz Manteuffel, Marian H. Serejski; druga seria, *Kultura polska i obca*, zawiera niemiernie cenne pozycje jak np. *Rozkwit literatury narodowej w XVI wieku* Bronisława Nadolskiego. Z kolei tylko z trzech tomów, ale niezwykle starannie opracowanych przez znanych autorów i tak też wydanych przez wspomnianego Jana Żydaczewskiego, składa się seria biograficzna (*Wielcy ludzie. Biblioteka życiorysów*) – t. 1 *Michał Anioł* Leopolda Staffa, t. 2 *Rej z Nagłowic* Stanisława Wasylewskiego, t. 3 *Balzak* Boya Żeleńskiego.

Nowszej historii Polski dotyczą prace Artura Śliwińskiego *Konstytucja Trzeciego Maja* i *Powstanie Styczeńowe* (obie po kilka wydań), a prawdziwym hitem II RP była książka Artura Górskiego *Ku czemu Polska szła*, będąca sztandarowym dziełem tzw. optymistycznej szkoły historiografii polskiej. Wydana po raz pierwszy w 1917 roku, w PWKS doczekała się wydania czwartego (1938 rok). Podobnym dziełem, ale skierowanym ku przyszłości, była adresowana do młodego czytelnika książka Janusza Jędrzejewicza *W krainie wielkiej przygody*, stanowiąca rodzaj przewodnika po rozumnym życiu czło-wieka i obywatela odrodzonej Polski. Ani autor,

ani czytelnicy (o ile zdążyli ją przeczytać!) wydanej w 1939 roku książki nie przewidywali, jak zmieni się polska rzeczywistość już za kilka miesięcy...

Do najnowszej historii Polski nawiązywała książka adiutanta Marszałka Józefa Piłsudskiego Mieczysława B. Lepeckiego *Sybir wspomnień*, stanowiąca relację z podjętej przez niego podróży w celu pobrania ziemi na Kopiec Józefa Piłsudskiego w Krakowie. Z kolei podsumowanie dwudziestu lat odzyskanej niepodległości stanowi zredagowana przez Stefana Papée książka *XX lat Rzeczypospolitej Polskiej 1918–1939*, zawierająca zbiór wypowiedzi przypominających walkę o Polskę niepodległą, a następnie jej budowanie – zaczyna ją słynny rozkaz Komendanta z 3 sierpnia 1914 roku. Dołączono też kalendarium, noty biograficzne, bibliografię tematu. Miało to stanowić pomoc nauczycielom i uczniom w wychowaniu patriotycznym. Ten cel miał też spełniać śpiewnik Mieczysława Żukowskiego *Hejnał*, zawierający przede wszystkim pieśni narodowe i patriotyczne, a także cenna pozycja Stanisława Łoży *Ordery i odznaczenia polskie*, opisująca je poczynając od ustanowionego w 1705 r. Orderu Orła Białego. Została ona starannie wydrukowana przez księgarnię Bernarda Połonieckiego wraz z barwną wkładką pokazującą poszczególne odznaczenia i ich kolejność – występuje tu także Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, uznany – obok Krzyża Zasługi Wojsk Litwy Środkowej – za odznaczenie państwowe. Osiągnięcia współczesnej Polski propagowała też książka Jerzego Tepy (notabene kierownika programowego katowickiej rozgłośni radiowej) na polskiej antenie, przybliżająca społeczeństwu pracę Polskiego Radia.

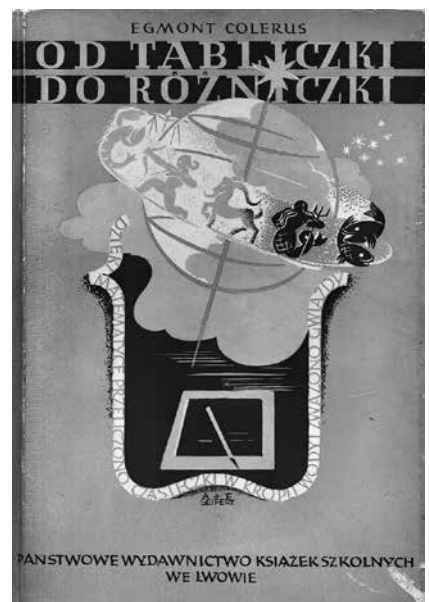
Poszczególным regionom ówczesnej Polski była poświęcona seria wydawnictwa, na czele z książką Lwów i Ziemia Czerwieńska autorstwa znanego po wojnie historyka wrocławskiego Karola Maleczyńskiego i trzech innych współautorów.

Stanowi ona cenny do dziś zarys dziejów tego utraconego wkrótce, a wtedy uważanego za serce Polski regionu ze Lwowem na czele. Mamy wśród tych wydawnictw także barwnie opisane przez Zofię Kosak dzieje Śląska i jego walki o powrót do Polski – Na Śląsku.

Na zakończenie wspomnę o dwóch interesujących pozycjach, które trudno ująć w którejś z wyżej wymienionych kategorii. Pierwsza to *Estetyka życia codziennego* Stanisława Machniewicza z wieloma ciekawymi rycinami, poczynając od egipskich malowideł, a kończąc na ulicznych reklamach w ówczesnym Londynie. Ostatnia książka w moim zbiorze to *Obyczaje towarzyskie* Marii z Colonna Walewskich Wielopolskiej – już po nazwisku widać, że była to dama świetnie znająca temat! Nie są to jednak wskazówki dla hrabiów i baronów, a wręcz przeciwnie – skierowane do młodzieży żyjącej w ówczesnej rzeczywistości II RP i nie zawsze umiejącej się w niej odpowiednio znaleźć.

Książki wydane przez lwowskie PWKS z dzisiejszej perspektywy należy ocenić bardzo wysoko, i to zarówno merytorycznie, jak i pod względem staranności wydania. Ich autorzy to wybitni znawcy tematów, o których pisali – teoretycy i praktycy; poziom i język właściwie skierowany do młodego odbiorcy, ale nie prymitywny, a wręcz odwrotnie, pokazujący mu dobre wzorce jasnego i poprawnego formułowania wypowiedzi. Ilustracje, okładki, oprawa jak na ówczesne warunki techniczne, nieporównywalne przecież z obecnymi – staranne i estetyczne. Zawarte w nich treści łączyły patriotyzm i dumę ze święto odzyskanej niepodległości z wiedzą o ówczesnej Polsce i świecie, jego osiągnięciach, ale też problemach. Niestety, bardzo szybko i Polska, i świat zostały poddane próbie, której nikt z autorów i czytelników nie przewidywał...

p. Aleksandrze Hyli z Bytomia poświęcam



**B**astion św. Barbary na Jasnej Górze wybrany został na lokalizację kaplicy Golgoty Wschodu w roku 2004 na podstawie projektu koncepcyjnego Atelier PS. Po przyjęciu go przez ojców Paulinów i akceptacji przez papieża Jana Pawła II dalsze prace projektowe i badawcze nabrały tempa. Począwszy od końca tego roku uzyskano szereg pozwoleń na prace archeologiczne, konserwatorskie i budowlane. Prowadzone wewnątrz Bastionu odkrywki ukazywały nowe aspekty jego „wnętrza”, kolejne odkrywane warstwy wymagały nowych, reagujących na zastany obraz rozwiązań projektowych (fot.1). Usuwane warstwy rumoszu i skały podlegały ciągłemu monitorowaniu i dokumentowaniu przez archeologów. Schodzący coraz niżej wykop, w części poniżej posadowienia murów spowodował konieczność wykonania żelbetowych podbudów oryginalnych ścian. Formowane były odcinkowo w kształcie litery L, finalnie zespolone ze sobą, następnie dolną półką połączone z płytą podłogową, razem tworząc monolityczną, posadowioną na skale „skrzynię” fundamentową. Taką technikę stosowano przede wszystkim w głównej sali kaplicy, okładając następnie żelbetowe ściany sezonowanym kamieniem wapiennym, ale też w dolnych fragmentach kazamatów, gdzie żelbet wykonany jest starannie dobraną rozbiórkową cegłą, uzupełniającą wyczyszczone i zaimpregnowane oryginalne mury. Gdy w południowo-zachodnim narożniku wewnętrznej strefy Bastionu wykop osiągnął poziom posadzki kazamatów, obie przestrzenie połączono przesklepionymi kolebkowo, wydrążonymi w kilkumetrowej grubości murach tunelami powtarzającymi spotkane w kazamatach łukowate zwieńczenia wnek. Stalowe krąży-



Usuwanie skały i warstw gruzu z wnętrza bastionu, połączone z odsłonięciem oryginalnych otworów strzelniczych w murach XVII wiecznego bastionu (październik 2004)

fol. Marek Skwara

## Realizacja przestrzeni kontemplacyjnej

MAREK SKWARA

ny finalnie obłożono sklepioną cegłą klinkierową. Jako że od strony północno-wschodniej i wschodniej, li-

kwidowana skalna opoka znajdowała się poniżej sąsiadujących pomieszczeń łazienek i Sali Papieskiej, to zanim ją usunięto, dokonano na ich styku wzmocnienia kilkudziesięcioma pionowymi palami, które w przyszłości zaincorporowano do kilkunastometrowej wysokości zbrojonej żelbetowej ściany, stanowiącej tylny element czterokondygnacyjnej skrzyni mieszczącej zaplecze, zakrystię, sanitariaty, przestrzeń techniczną, a stanowiącej od frontu ścianę ołtarzową. Równocześnie aby wyeliminować potencjalne niebezpieczeństwo przesunięć ukośnych płyt skalnych, zdecydowano o ciągłym wypełnianiu szczelin setkami ton zaprawy betonowej zestalającej skalę na której posadowione są nie tylko mury bastionu, ale też sąsiadujące obiekty – Organistówka, Sala Papieska, a dalej Bazylika...

Nad kazamatami wylano strop żelbetowy, wygospodarowując między szczytami ich ceglanych sklepień kolebkowych, a płytą stropową po-



fol. Marek Skwara

Wnętrza Bastionu św. Barbary, przejścia z kazamatów do hali kaplicy (sierpień 2015/2018)



Wnętrza Bastionu św. Barbary, ściana ołtarzowa ze świetlikiem (sierpień 2015/2018)

nad dwumetrowej wysokości przestrzeń na rozbudowany system wentylacyjny, z ogrzewaniem i chłodzeniem obiektu z potężnymi kanałami i kilkoma centralami. Do nawiewu i wywiewu powietrza wykorzystano odkryte w trakcie prac otwory strzelnicze w głównej hali kaplicy oraz istniejące studnie doświetleniowe i wywiercone kanały w murach kazamatów zakończone szczelinami pod kamiennymi parapetami nakrywającymi mury zewnętrzne bastionu. Tak pomyślany system wentylacji nie burzy historycznego obrazu obiektu. Gdy okalająca centralną część obiektu „instalacyjna” skrzynia nad kazamatami była gotowa, to stworzyła wraz z nimi i żelbetową ścianą ołtarzową sztywny ustrój konstrukcyjny. Przystąpiono wtedy do przekrycia centralnej części kubatury stalowo-żelbetową konstrukcją dachu ze szklanym świetlikiem. Finalnie całość tarasów stanowiących dach założenia odtworzono do oryginalnego poziomu Bastionu, zarówno w części centralnej, jak i nad kazamatami.

Zewnątrz Bastionu św. Barbary, ze względu na skalę uszkodzeń, na nowo obłożono cegłą klinkierową, a narożniki odtworzono z potężnych bloków zaimpregnowanego piaskowca. Takim sposobem gabaryty i wygląd zewnętrzny założenia zostały zachowane, choć odnowione.

Tak powstała magiczna przestrzeń, która w koncepcji mieściła w kazamatach las krzyży, a w głównej hali ołtarz z holograficznym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Jako że integralną rolę w kreowaniu przestrzeni wewnętrznej i jej atmosfery stanowi światło – naturalne „dramatycznie” doświetlające główną halę kaplicy przez trójścienny szklany świetlik i docie-

rające do kazamatów przez tubusy wentylacyjne oraz kreowane światło sztuczne, to od momentu wykształ-

cenia docelowego wolumenu obiektu prowadzone były próby oświetleniowe. Oprawy ulokowane w szczelinach na styku kamiennych posadzek oraz ceglanych i wapiennych ścian oświetlają je od dołu, natomiast nieliczne kierunkowe oprawy sufitowe dopełniają świetlną dramaturgię wnętrza. Zastosowano też pionowe podświetlenia ściany ołtarzowej. Równolegle prowadzone były liczne próby z iluminacją kilkunastu modelowych krzyży w kazamatach Bastionu indywidualnie projektowanymi oprawami, co jednak w finalnym rozwiązaniu nie zostało uwzględnione.

Budowa w Bastionie św. Barbary rozpoczęła się projektem w 2004 roku, z natychmiastowym wejściem na budowę z pracami archeologicznymi, konserwatorskimi i architektonicznymi i finiszuje do dziś. Można by powiedzieć, że to długo w przypadku niespełna 2000 metrowej powierzchni, lecz w miejscu, gdzie czas odmierza się stuleciami, tych kilkanaście lat to mgnienie oka...



Próby oświetleniowe krzyży w kazamatach (styczeń 2006)

# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:  
Anna Gaitoer  
Joanna Kotkowska

## Wielokrotny zachwyty drzewem

**CZĘSTOCHOWA.** Każdy nie tylko widział drzewo, ale bez trudu potrafi je narysować. Może nieco schematycznie, mniej realistycznie, ale na pewno rozpoznawalnie. Drzewo to drzewo. Trochę gorzej jest ze znajomością gatunków, zwłaszcza u młodszych pokoleń. Coraz częściej więc zatrzymujemy się na ogólnej klasyfikacji liściaste albo iglaste, bo ten podział zdaje się oczywisty.

Dęby, buki, brzozy i wierzby można oglądać do 12 lipca w Sali Śląskiej Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Pokazano tu prace będące efektem 45 Pleneru Jurajska Jesień *Drzewa – milczące piękno*. Marcowy wernisaż został odwołany z powodu koronawirusa, potem zaproponowano zwiedzanie wirtualne, a od 26 maja można jak dawniej wejść do galerii. Komisarzem pleneru i wystawy był Czesław Tarczyński, długoletni dyrektor tej placówki.

Tytuł pleneru jednoznacznie określał zadanie uczestników. Był to czas, gdy artyści zrzeszeni w częstochowskim okręgu Związku



ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie



Polskich Artystów Plastyków z Folwarku w Zrębicach wyruszyli na wycieczki po gminach Janów, Olsztyn i Poraj. Oglądali pomniki przyrody, milczących świadków historii i życia mieszkańców tych terenów, jednocześnie zapoznając się ze znaczeniem kulturowym drzew. Rosną tu przecież okazy liczące ponad pół tysiąca lat. A ponieważ często były to również punkty orientacyjne, w ich pobliżu stawiano krzyże czy kapliczki.

Swoje wrażenia plenerowe artyści utrwaliли za pomocą rozmaitych technik. To pean na cześć przyrody. Są tu pejzaże, barwne kompozycje utrwalające układy z liści czy gałęzi, zapisy struktury drewna i poszczególnych elementów roślin. Być może, zaprezentowana wystawa zachęci zwiedzających do uważniejszej obserwacji świata, wrażliwości na szczegóły i nauki rozpoznawania gatunków.

---

## Anatomia bunkrów

**CZĘSTOCHOWA.** W czerwcu w OPK Gaude Mater można było obejrzeć pierwszą po pandemii wystawę indywidualną, składającą się prawie z 30 obrazów. Była to *Lekcja anatomii* Magdaleny Barczyk-Kurus. Tytuł kojarzy się ze słynnym obrazem Rembrandta, choć autorka sięga po zupełnie odmienną tematykę. Przedmiotem jej zainteresowania są bowiem schrony wojskowe z czasów II wojny światowej. 26 czerwca odbyło się oprowadzanie autorskie.

Magdalena Barczyk-Kurus od kilku lat pracuje nad projektem, utrwalając rzeczywiste obiekty znajdujące się w okolicach Częstochowy. W tym sensie mamy do czynienia z odwzorowaniem rzeczywistości. Artystka interesuje się budową bunkrów, ale przede wszystkim kompozycją i fakturą obrazów. Zastanawia się nad światłem, układem barw oraz rolą światłocienia w budowaniu trójwymiarowości. Wskutek kolorystyki wybrane przez nią obiekty przywołują na myśl jakieś inne światy. Zróżnicowane są również formaty jej prac. Artystka tworzy zarówno dzieła monumentalne, jak i nieco mniejsze, o czym świadczy choćby jej udział w organizowanym przez OPK Gaude Mater Biennale Miniatury.

Autorka jest absolwentką Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, dyplom obroniła w pracowni prof. Wernera Lubosa. Jest współzałożycielką i członkinią Stowarzyszenia Historycznego Reduta Częstochowa, więc historia i zabytki miasta należą do jej głównych zainteresowań. Nic dziwnego, że w pokazywanych pracach pojawiają się dane techniczne częstochowskich schronów. Magdalena Barczyk-Kurus umieszcza na obrazach także rzuty poziome oraz zastanawia się nad sposobem rozprzestrzeniania się ognia.

Wystawę można oglądać w OPK Gaude Mater do 3 lipca.

---

## Gdy pasja staje się profesją

**CZĘSTOCHOWA.** Od 2 czerwca w Regionalnym Ośrodku Kultury można było oglądać wystawę prac Elżbiety Ginał *Kolorystyka obrazu a emocjonalność kobiety*. Autorka jest z wykształcenia chemikiem, pracowała jako nauczyciel, prowadziła również zajęcia z plastyki. Po zakończeniu aktywności zawodowej znalazła więcej czasu na rozwijanie swojej pasji. A sztuki piękne to jedno z najczęściej wybieranych na emeryturze hobby. Swoje umiejętności Elżbieta Ginał doskonaliła na zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Tu w tajniki warsztatowe wprowadzali ją prof. Maciej Leon oraz Tadeusz Kapałka. Autorka działa również w Stowarzyszeniu Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza w Częstochowie, a od marca 2020 jest członkinią zarządu. Potwierdzeniem jej umiejętności było ukończenie z wyróżnieniem malarstwa II stopnia w pracowni prof. Mariana Jarzemskiego na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie.

Wystawa dyplomowa Elżbiety Ginał złożona z 13 obrazów pokazuje wyobrażenia kobiecości. To postacie intrygujące, kuszące swoim ciałem albo niemal niedostrzegalne, zanurzone w dominującym tle. Jej ulubione techniki to pastele, olej na płótnie, akwarele oraz akryl. Autorka za ich pomocą chce jak najpełniej wyrazić swoje emocje i jednocześnie oddziaływać na odbiorców.

---

## Ostatni akord jubileuszu Zdzisława Beksińskiego

**CZĘSTOCHOWA.** W 2019 roku obchodziliśmy 90-lecie urodzin Zdzisława Beksińskiego. Z tej okazji Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie zorganizowała wiele interesujących wystaw i wydarzeń. Jednym z nich był II Ogólnopolski Konkurs Artystyczny przeznaczony dla uczniów średnich szkół plastycznych oraz studentów kierunków artystycznych *Z inspiracji twórczością Zdzisława Beksińskiego*. Pierwszy zatytułowany *Warsztat i wyobraźnia* odbył się w 2015 roku. Tym razem inspiracją miała stać się twórczość literacka artysty, promowana w Częstochowie przez Elżbietę Hak oraz grupę doktorantów UJD.

I choć z powodu rozmaitych przeszkód konkurs ostatecznie został odwołany, jednak kilka nadesłanych prac można przeczytać na stronie internetowej częstochowskiej placówki. Wśród napisanych z pasją historii znajdziemy notatki z postapokaliptycznej naukowej wyprawy za Bramę, gdy podróż budzi w naukowcach bezradność i prężenie przemijaniem, dziennik ożywionej mumii, psychoanalityczną lekturę obrazów oraz diagnozę kondycji współczesnych rodzin, nieco zabieganych i pogubionych. Prace stają się diagnozą samotności w naznaczonych śmiercią pustyniach, tych prawdziwych i tych wyobrażonych. Pojawiają się tu motywy z najbardziej z znanych obrazów: czaszki, rozkładające się ciała, pająki, wilki, postać w błękitnej szacie nad kołyską.

Prace dowodzą, że spuścizna Zdzisława Beksińskiego wciąż intryguje młodych twórców.

---

## Panteon śląski

**KATOWICE.** Ryszard Kopiec został powołany przez Zarząd Województwa Śląskiego na funkcję dyrektora nowej instytucji kultury, która ma powstać w podziemiach katowickiej katedry Chrystusa Króla. Decyzję uzgodniono z pozostałymi podmiotami tworzącymi projekt, czyli Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Miastem Katowice i Archidiecezją Katowicką.

Ryszard Kopiec jest absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Od lat specjalizuje się w projektowaniu architektury sakralnej i innych budynków użyteczności publicznej. Współpracował z jednostkami samorządu terytorialnego oraz innymi instytucjami w regionie. W projekt „Panteonu Górnośląskiego” zaangażowany jest od początku. Jest autorem m. in. koncepcji architektonicznej i założeń budowlano-instalacyjnych. Według wstępnych założeń instytucja ma zostać oddana do użytku w czerwcu 2022 r., z okazji 100. rocznicy powrotu Górnośląska do Rzeczypospolitej. Umowa w sprawie utworzenia i prowadzenia wspólnej instytucji kultury pod nazwą „Panteon Górnośląski w Katowicach” zawarta została 18 lutego 2020 r.

---

## „Katowice miastem nacjonalizmu”

**KATOWICE.** W ogłoszonym komunikacie dotyczącym zwołanej pod tym hasłem manifestacji, Prezydent Miasta Katowice informuje: „Pozostaje jeszcze jedna istotna kwestia – zgromadzenie ma się odbyć pod hasłem: „Katowice miastem nacjonalizmu”. W naszej ocenie ta nieprawdziwa, bo uogólniająca i generalizująca teza jest krzywdząca dla Katowic. Nie ma naszej zgody na takie zawłaszczanie nazwy Miasta, na tak instrumentalne i niesprawiedliwe dla Katowiczank i Katowiczank określanie naszych poglądów. Prezydent Miasta Marcin Krupa zawsze jednoznacznie stoi na stanowisku, że Katowice są miastem otwartym, które wyrosło na tolerancji, szacunku różnych kultur, przekonań i wyznań. W Katowicach jest miejsce dla każdego i każdy – chociażby najslabszy – znajdzie tu swoje miejsce. Tak było, jest i będzie. „Jestem silny, więc chronię słabszych” – to jedna z form patriotyzmu i dumy narodowej”.

Opera Śląska w Bytomiu ma 75 lat! Jej wspaniała historia jest bardzo dobrze znana i świetnie opisana przez wieloletniego kierownika literackiego tej sceny, poetę, dziennikarza i społecznika – śp. Tadeusza Kijonkę. Galowy koncert z okazji wspaniałego jubileuszu odbył się 14 czerwca 2020 roku bez należytą pompą, ale za to z wielką klasą. Był transmitowany w Internecie z udziałem Polskiego Radia Katowice i jest dostępny online na kanale YouTube.

Ponieważ życie kulturalne przeniosło się w połowie marca do sieci, na początku zachłysnąłem się niesamowitą możliwością oglądania retransmisji spektakli z Metropolitan Opera, a także około 30 europejskich scen operowych (informacje na ten temat można znaleźć na portalach [www.operawire.com](http://www.operawire.com) i [www.orfeo.com.pl](http://www.orfeo.com.pl)). W okresie pandemii koronawirusa znacznie zwiększyła swoją aktywność również strona internetowa Teatru Wielkiego – Opery Narodowej [www.vod.teatr Wielki.pl](http://www.vod.teatr Wielki.pl), publikująca rejestracje spektakli nie tylko z Warszawy, ale także między innymi z Teatru Wielkiego w Poznaniu (*Anhelli*, *Czarodziejski flet*, *Halka*, *Paria*, *Rigoletto*), Opery Nova w Bydgoszczy (*Halka*, *Manru*) i Opery Śląskiej (*Don Desiderio*).

Jubileuszowy koncert odbył się 14 czerwca, ponieważ dokładnie tego dnia, w 1945 roku światowej sławy tenor Adam Didur oficjalnie zainaugurował działalność pierwszej sceny operowej w powojennej Polsce, na deskach Teatru Śląskiego w Katowicach. Premiera *Halki* Moniuszki stała się wielkim wydarzeniem na skalę całego kraju. Od 29 listopada 1945 roku spektakle były już wystawiane na bytomskiej scenie – w imponującym gmachu dawnego Teatru Miejskiego. Występowali tu tacy wybitni śpiewacy jak: Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Krystyna Szostek-Radkowska, Romuald Tesarowicz, Maria Fołtyn, Wiktorial Calma, Antonina Kawecka i Wiesław Ochman. Opera prezentowała spektakle w Polsce i Europie, a także w USA, Kanadzie i Meksyku. Kolejnymi dyrektorami byli między innymi: dyrygent i kompozytor Włodzimierz Ormicki, świetny dyrygent i organizator życia muzycznego Napoleon Siess z otwartą głową na nowy repertuar oraz wychowanek i kontynuator działalności Siessa – Tadeusz Serafin. Łukasz Goik również zna ten teatr od podstaw. Rozpoczął tu pracę w 2004 roku, początkowo jako bileter, pracownik obsługi widowni i koordynator pracy artystycznej, potem zastępca kierownika działu imprez i reklamy, w 2012 roku został zastępcą dyrektora, a jesienią 2016 roku – dyrektorem. Na stanowisko kierownika muzycznego przyjął rok temu francuskiego dyrygenta Francka Chastrusse Colombiera,



Małgorzata Walewska, *Opera Śląska*, 8.06.2020 r.

## Opera Śląska online

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

absolwenta École Normale de Musique w Paryżu i Accademii Chigiana w Sienie.

Koncert jubileuszowy wyreżyserował modny, rozchwytywany artysta Michał Znaniński. Ogromnie spodobała mi się aria Rokiczany z nieukończonej opery Moniuszki, w zabawnej interpretacji Małgorzaty Walewskiej. Solistka stała na pierwszym balkonie widowni Opery Śląskiej i nawiązała interakcję z krawieckimi manekinami ubranymi w piękne suknie. Przypomniało mi się nagranie, opublikowane przez Walewską w kwietniu na Facebooku, które miało ponad 200 tysięcy wyświetleń i tysiąc udostępnień fanów śpiewaczki. Artystka wykonała wtedy tę arię w swojej prywatnej kuchni, w papilotach na głowie i w szlafroku. Przeglądała się w patelni jak w lustrze, wkładała z impetem naczynia do zmywarki, a zakończyła domowy występ, wynosząc czarny worek z kosza na śmieci.

W galowym koncercie Andrzej Lampert z teatralnej łoży zaśpiewał wzruszającą arię Romea z opery Gounoda, z pięknym teatrem cieni w tle, Kamil Zdebel przekonująco wcielił się w tytułowego Cyrulika z opery komicznej Rossiniego w towarzystwie potężnych czerwonych nożyc i wielkiego grzebienia, Małgorzata Walewska wywołała łzy podczas arii Dalili z opery Saint-Saënsa, leżąc na łóżku w kształcie koła, z czerwonym udrapowanym prześcieradłem i poduszkami, Gabriela Gołaszevska poruszająco wykonała arię Lucji z opery Donizettiego, wędrując po balkonie i trzymając welon, ciągnący się na wiele

metrów po widowni. Duże wrażenie wywarły także zainscenizowane fragmenty *Don Carlosa* Verdiego z udziałem Anny Boruckiej, Stanisława Kuflyuka, Aleksandra Teliği i Bogdana Kurowskiego. Podczas tego wieczoru nie mogło zabraknąć Chóru Niewolników z opery *Nabucco* Verdiego (nagranie Opery Śląskiej otrzymało status Platynowej Płyty). Na koniec soliści, stojąc na trzech poziomach widowni i trzymając kieliszki z szampanem, zaśpiewali toast z *Traviaty* Verdiego. Smutny to był toast bez udziału publiczności. Z nadzieją wyczekuję możliwości zobaczenia spektakli Opery Śląskiej na żywo. Mam nadzieję, że uda się to jesienią. Natomiast od 2021 do 2023 roku budynek będzie w remoncie, na który przeznaczono około 58 milionów złotych, w tym około 20 milionów ze środków unijnych. 1 lipca w podpisaniu umowy uczestniczyli: Marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chelstowski, Członek Zarządu Województwa Śląskiego Izabela Domogła, poseł na Sejm RP Wojciech Szarama i Dyrektor Opery Śląskiej Łukasz Goik. Planowane są między innymi prace takie jak modernizacja sceny oraz dostosowanie budynku do potrzeb osób niepełnosprawnych.



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego



*Małgorzata Walewska, Opera Śląska, 8.06.2020 r.*

